

# FERDINAND VON SCHIRACH

**PRZESTĘPSTWO**



**15 zł**

2014

ZIMA  
z kryminałem



**POLITYKA**

Ferdynand von Schirach

PRZESTĘPSTWO

Tytuł oryginału: *Verbrechen*

*Rzeczywistość, o jakiej potrafimy mówić,  
nigdy nie jest rzeczywistością samą w sobie.*

Werner K. Heisenberg

## Wstęp



Jim Jarmusch powiedział kiedyś, że wolałby zrobić film o mężczyźnie, który wychodzi z psem, niż o cesarzu Chin. Ze mną jest tak samo. Piszę o postępowaniach karnych, prowadziłem obronę w ponad siedmiuset - naprawdę jednak piszę o człowieku, jego klęsce, winie i wielkości.

Miałem wuja, który był przewodniczącym składu w sądzie przysięgłych. Sądy takie są władne w sprawach przestępstw przeciwko życiu, morderstw i zabójstw. Opowiadał nam, dzieciom, pewne przypadki, a myśmy je rozumieli. Zaczynał zawsze od słów: rzeczy na ogół nie są proste, a wina to sprawa śliska.

Miał rację. Gonimy za rzeczami, są szybsze, i w końcu ich nie osiągamy. Opowiadam o zabójcach, dilerach narkotyków, prostytutkach i sprawcach napadów na bank.

Każde z nich ma swoją historię i nie bardzo się różni od nas samych. Przez całe życie tańczymy na cienkim lodzie, pod nim jest zimno i szybko się umiera. Pod niektórymi lód pęka i zaczynają tonąć. Ten moment mnie właśnie ciekawi. Nie dochodzi do niego i dalej tańczymy, jeżeli tylko mamy szczęście. Jeżeli.

W czasie wojny wujowi sędziemu, który służył w marynarce, granat urwał prawą rękę. On jednak długo nie dawał za wygraną. Mówiono, że był dobrym, ludzkim sędzią, człowiekiem sprawiedliwym i prawym. Lubił polować i posiadał własny nieduży teren łowiecki. Pewnego dnia poszedł do lasu, wziął w usta podwójną lufę strzelby i kikutem prawej ręki nacisnął spust. Miał na sobie czarny golf, żakiet powiesił przedtem na gałęzi. Rozsadziło mu głowę, o wiele później widziałem to na zdjęciach. Najbliższemu przyjacielowi zostawił list. Napisał w nim, że zwyczajnie ma dosyć, a zaczął od słów: „Rzeczy na ogół nie są proste, a wina to sprawa

śliska”. Ciągle mi wuja brak. Codziennie.

O takich ludziach oraz ich historiach mówi ta książka.

## Fähler



Friedhelm Fähler był lekarzem ogólnym w Rottweil. Dwa tysiące osiemset wystawianych zwolnień rocznie, gabinet przy głównej ulicy miasta, prezes Koła Miłośników Egiptu, członek Lions Club, żadnych czynów zabronionych ani nawet wykroczeń. Oprócz domu dla siebie posiadał dwie kamienice na wynajem, trzyletniego mercedesa klasy E ze skórzaną tapicerką i automatyczną klimatyzacją, mniej więcej siedemset pięćdziesiąt tysięcy euro w akcjach i obligacjach oraz ubezpieczenie kapitałowe na życie. Bezdzienny, nie miał żyjących krewnych prócz młodszej o sześć lat siostry, która z mężem i dwójką dzieci mieszkała w Stuttgarcie. O jego życiu nie było właściwie nic do opowiedzenia.

Prócz sprawy z Ingrid.



Fähler, mając dwadzieścia cztery lata, poznał ją na sześćdziesiątych urodzinach swojego ojca - także lekarza w tym mieście.

Rottweil jest arcymieszkańskie. Przyjezdnemu obwieszcza się na dzień dobry, że to najstarsze w Badenii-Wirtembergii miasto założyli członkowie dynastii Hohenstaufów. Rzeczywiście, widuje się tutaj średniowieczne wykusze i ładne szyldy z XVI wieku. Fählerowie, cenieni lekarze, sędziowie i aptekarze, byli w Rottweil od zawsze. Należeli do tak zwanych pierwszych rodzin miasta.

Friedhelm Fähler wyglądał trochę jak John F. Kennedy w latach młodości. Miał życzliwą twarz, uważano go za człowieka pogodnego, dobrze mu się wiodło. Dopiero po uważnym przyjrzeniu się uderzało w jego rysach coś starego, smutek i posępność, jakie można często zobaczyć w tej okolicy, między Szwarzwaldem a Jurą Szwabską.

Ingrid przyszła na przyjęcie z rodzicami, aptekarzami z Rottweil. Trzy



lata starsza od Föhnera, była krzepką prowincjonalną pięknoscią o ciężkich piersiach. Wodnistoniebieskie oczy, czarne włosy, jasna skóra - wiedziała, że robi wrażenie. Föhnera wytręcał z równowagi jej dziwnie wysoki, metaliczny głos, któremu obce były jakiegokolwiek modulacje. Zdania miały u niej melodię tylko wtedy, kiedy mówiła cicho.

Nie ukończyła dziesięcioklasowej szkoły, a teraz pracowała jako kelnerka. „Chwilowo”, powiedziała do Föhnera. Jemu to było obojętne. Przeważała nad nim w innej dziedzinie, która go bardziej obchodziła. Dotychczas miał z kobietami tylko dwa przelotne doświadczenia seksualne, które nie dodały mu pewności siebie. Od razu się w Ingrid zakochał.

Uwiodła go dwa dni później, kiedy po zakończonym pikniku położyli się w szałasie. Była dobra w tych sprawach. Föhner stracił głowę i ledwie minął tydzień, a już się oświadczył. Przyjęła to bez wahania, stanowił tak zwaną dobrą partię; przystojny, delikatny, studiował medycynę w Monachium, był już blisko egzaminów końcowych. Przede wszystkim jednak pociągał ją powagą. Nie umiała tego sformułować, ale przyjaciółce powiedziała, że Föhner nigdy nie puści jej kantem. Cztery miesiące później u niego zamieszkała.

\*

W podróż poślubną pojechali do Kairu, na jego prośbę. Kiedy go później pytano o Egipt, mówił, że to była „beztroska”, choć wiedział, że nikt go nie zrozumie. Był tam jak ogłupiały młody Parsifal i przeżywał szczęście. Zdarzyło mu się to po raz ostatni w życiu.

Wieczorem w przeddzień powrotu leżeli w małym pokoju hotelowym, przy otwartych oknach, ciągle w skwarze, w stojącym powietrzu. Był to tani hotel, pachniało zgniłymi owocami, a z dołu dobiegał hałas ulicy.

Mimo gorąca właśnie przed chwilą się ze sobą kochali. Föhner leżał na plecach i śledził obroty wentylatora pod sufitem, Ingrid paliła papierosa. Obróciła się na bok, oparła głowę na dłoni i spojrzała na niego.

Uśmiechnął się. Długo milczeli.

W końcu zaczęła opowiadać. O mężczyznach przed Föhnerem, o rozczarowaniach, błędach, ale przede wszystkim o poruczniku Francuzie, z

którym zaszła w ciążę, o aborcji i że się to dla niej omal nie skończyło śmiercią. Rozplakała się. Przestraszony wziął ją w ramiona. Poczul na piersi bicie jej serca, był bezradny.

Odpowiadam za nią, pomyślał.

- Przysięgnij, że będziesz mnie pilnował. Nie możesz mnie opuścić. - Głos jej drżał.

Wzruszył się, uspokajał ją, no przecież jej przysięgał już na ślubie, w kościele, przecież jest z nią szczęśliwy i chciałby...

Przerwała mu stanowczo, mocniejszym głosem, który nabrał teraz tego metalicznie bezbarwnego brzmienia:

- Przysięgnij!

Nagle zrozumiał, że to nie tylko jakaś tam rozmowa kochanków i wentylator, Kair, piramidy i skwar hotelowego pokoju; wszelkie stereotypy przysły. Odsunął Ingrid lekko, by jej spojrzeć w oczy - i powiedział to.

Powiedział wolno, świadom, co mówi:

- Przysięgam.

Pociągnął ją ku sobie, zaczął całować po twarzy. Kochali się jeszcze raz. Tym razem inaczej. Siadła na nim i dogadzała sobie wedle woli. Byli poważni, samotni, obcy sobie. Kiedy dostała orgazmu, uderzyła go w twarz. Później długo jeszcze nie spał i patrzył w sufit. Tymczasem wysiadł prąd i wentylator już się nie kręcił.

\*

Oczywiście Fähner zdał egzaminy z wyróżnieniem, uzyskał tytuł doktora i w Rottweil podjął w szpitalu okręgowym swoją pierwszą pracę. Znaleźli sobie mieszkanie - trzy pokoje, kuchnia, widok na skraj lasu.

Kiedy w Monachium pakowali sprzęty, wyrzuciła jego zbiór płyt. Zauważył to dopiero, wprowadzając się do nowego mieszkania. Powiedziała, że tych płyt by nie zniosła, bo słuchał ich z innymi kobietami. Fähner był wściekły. Przez dwa dni prawie nie rozmawiali.

Lubił proste wzornictwo Bauhausu, a ona urządziła mieszkanie dębem i sosną, zawiesiła w oknach firanki i nakupiła kolorowej bielizny pościelowej. Ścierpiał nawet haftowane serwetki pod naczynia i cynowe kubki, nie chciał



jej niczego narzucać.

Kilka tygodni później Ingrid oświadczyła, że przeszkadza jej sposób, w jaki on trzyma sztucce. Zaśmiała się i stwierdziła, że jest dziecinna. Powtórzyła ten zarzut nazajutrz i przez kolejne dni. A ponieważ to nie były żarty, zaczął inaczej trzymać nóż.

Skarżyła się, że Fähner nie wynosi śmieci. Wmawiał sobie, że to takie docieranie się na początku. Wkrótce pojawiły się wyrzuty, że za późno wraca do domu, flirtuje z innymi kobietami.

Pretensje nie ustawały, wkrótce wysłuchiwał ich już co dzień. Że jest nieporządny, brudzi sobie koszule, gazeta jak psu z gardła, on brzydko pachnie, myśli tylko o sobie, wygaduje bzdury, zdradza ją. Nie bardzo już się bronił.

Po kilku latach zaczęły się wyzwiska. Najpierw lekkie, później coraz cięższe. Świnia, wykańcza ją, dureń. Z czasem doszły krzyki oraz kloaczne słownictwo. Dał za wygraną. Nocami wstawał i czytał powieści science—fiction. Jak za studenckich czasów, codziennie godzinę biegał. Od dawna ze sobą nie sypiali. Inne kobiety robiły mu propozycje, ale nie miał romansów. W wieku trzydziestu pięciu lat przejął gabinet lekarski po ojcu, w wieku czterdziestu osiwił. Był zmęczony.



Kiedy miał czterdzieści osiem lat, umarł mu ojciec, kiedy miał pięćdziesiąt - matka. Ze spadku kupił stojący na skraju miasta dom z pruskiego muru. Z domem tworzyły całość niewielki park, zaniedbane byliny, czterdzieści jabłoni, dwanaście kasztanowców i staw. Ogród stał się ocaleniem dla Fähnera. Abonował czasopisma fachowe, sprowadzał książki i czytał wszystko, co było do przeczytania o bylinach, stawach i drzewach. Kupował najlepsze narzędzia, poznawał technikę nawadniania i wszystkiego uczył się z właściwą sobie systematycznością. Ogród rozkwitł, a byliny nabrały w okolicy takiego rozgłosu, że pośród jabłoni widywał nieznanym, którzy robili tam zdjęcia.

W tygodniu długo przesiadywał w gabinecie. Był lekarzem wnikliwym i empatycznym. Pacjenci go cenili, diagnozy Fähnera stanowiły w Rottweil

wzorzec. Wychodził z domu, zanim Ingrid się obudziła, a wracał dopiero po dziewiątej. Ciągłe pretensje przy kolacjach przyjmował w milczeniu. Metaliczny głos Ingrid bez melodii, zdanie po zdaniu, mnożył złośliwości. Roztyła się, jej jasna skóra z latami poróżowiała. Mięsista szyja straciła dawną jędrność, obwisły fałd na gardle trząsł się w takt wyzwisk. Ingrid cierpiała na duszności oraz nadciśnienie. Fähner stale chudł. Kiedy któregoś wieczoru, ubierając to w bogate słowa, zaproponował jej zasięgnięcie pomocy u znajomego neurologa, cisnęła w męża patelnią, wrzeszcząc, że z niego niewdzięczne bydlę.



W noc poprzedzającą jego sześćdziesiąte urodziny Fähner nie spał, po tym jak wyjął zblakłą fotografię z Egiptu: Ingrid i on na tle piramidy Cheopsa, w głębi wielbłądy, turyści w turbanach i piasek. Kiedyś Ingrid wywaliła ich ślubne albumy, a on wyciągnął tę fotografię z kosza na śmieci. Odtąd ukrywał ją w szafie na samym dole.

Tej nocy zrozumiał, że do końca życia będzie więźniem. W Kairze złożył obietnicę i musi jej dotrzymać właśnie teraz, w złe dni; nie ma czegoś takiego jak obietnica tylko na dni dobre. Tamten obraz rozmył mu się w oczach. Fähner rozebrał się i nagi stanął przed lustrem w łazience. Długo na siebie patrzył, po czym usiadł na skraju wanny. Pierwszy raz w dorosłym życiu się rozplakał.



Siedemdziesięciodwuletni już Fähner, który cztery lata wcześniej sprzedał swój gabinet, pracował właśnie w ogrodzie. Tego dnia jak zwykle wstał o szóstej. Cicho wyszedł z pokoju gościnnego, który zajmował od lat. Ingrid spała jeszcze. Poranna mgła ustąpiła, wrześnie przedpołudnie było rozświetlone, powietrze przejrzyste i rześkie. Motyką pełń jesienne byliny - męcząca, jednostajna praca. Był zadowolony. Cieszył się na kawę, którą jak zwykle wypije w przerwie o wpół do dziesiątej. Pomyślał o zasadzonej wiosną ostróżce. Późną jesienią zakwitnie po raz trzeci.

Ingrid gwałtownie otworzyła drzwi na taras. Wywrzeszczała, że znowu zapomniał zamknąć okna w pokoju gościnnym, skończony idiota. Aż się

zachłystywała. Głos jak czysty metal.

Później miał nie pamiętać dokładnie, co w tamtej chwili pomyślał. Coś mu gdzieś głęboko w głowie zaświtało. Wszystko w tym zimnym świetle było aż nadto widoczne, raziło.

Poprosił Ingrid, by zeszła do piwnicy, a sam dotarł tam schodami zewnętrznymi. Sapiąc, wkroczyła do piwnicznego pomieszczenia, gdzie przechowywał narzędzia ogrodnicze, kompletowane przez lata. Te ładne przyrządy wisiały uporządkowane według funkcji i wielkości na ścianach albo wyczyszczone stały w blaszanych bądź plastikowych wiadrach. Ingrid rzadko tu zachodziła. Kiedy otworzyła drzwi, Fähner bez słowa zdjął ze ściany siekierę do ścinania drzew. Szwedzkiej roboty, ręcznie kuta, była natłuszczona i bez śladu rdzy. Ingrid zamilkła. Na dłoniach wciąż jeszcze miał grube ogrodnicze rękawice. Wpatrywała się w siekierę. Nie uchyliła się. Już pierwszy cios, który jej rozłupał pokrywę czaszki, był śmiertelny. Siekiera z odłamkami kości wbiła się aż po mózg, ostrze rozcięło jej twarz. Zanim upadła, już nie żyła. Farmerowi trudno było wydobyć siekierę z czaszki, jedną stopę postawił na szyi Ingrid. Dwoma gwałtownymi ciosami odciął głowę od tułowia. Lekarz medycyny sądowej zarejestrował później siedemnaście dalszych ciosów, jakich Fähner potrzebował, by odrąbać jej kończyny.

Oddychał ciężko. Siadł na drewnianym stołeczku, którego kiedy indziej używał do sadzenia, a którego nogi teraz były zakrwawione. Poczul głód. W pewnej chwili wstał, rozebrał się koło zwłok i w znajdującej się tutaj umywalce splukał krew z włosów i twarzy. Zamknął piwnicę i wewnętrznymi schodami przeszedł do mieszkania. Na górze się ubrał, zadzwonił pod policyjny numer alarmowy, podał swoje nazwisko oraz adres, i powiedział dosłownie: „Pociąłem Ingrid. Przyjeżdżajcie zaraz”. Zostało to nagrane. Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę. Jego głos nie zdradzał zdenerwowania.

Kilka minut później, bez włączania sygnału, podjechali policjanci. Jeden z nich, będący od dwudziestu dziewięciu lat na służbie, leczył całą rodzinę u Fähnera. Ten dał mu klucze, stojąc przy ogrodowej furtce. Powiedział, że ona

jest w piwnicy. Policjant zrozumiał, że lepiej nie zadawać pytań - doktor był bez butów i skarpetek, choć miał na sobie garnitur i bardzo spokojnie się zachowywał.



Proces trwał cztery dni. Przewodniczący izby sądu przysięgłych był człowiekiem doświadczoneym. Znał Farmera, którego miał sądzić. I także Ingrid. A jeżeli jej nie znał dostatecznie, to resztę objaśnili świadkowie. Każdemu żal było doktora, każdy brał jego stronę. Listonosz powiedział, że uważał go za „świętego” i że to „cud, jak on z nią wytrzymał”. Psychiatra stwierdził, że Fähner miał „kumulację złości”, niepoczytalny nie był.

Prokurator żądał ośmiu lat. Nie spieszył się; przedstawiając przebieg zdarzenia, brodził w tamtej zakrwawionej piwnicy. Powiedział, że Fähner miał wybór, mógł się rozwieść.

Prokurator mylił się, akurat tego Fähner nie mógł. Ostatnia reforma kodeksu postępowania karnego zniosła w procesie obowiązek składania przyrzeczeń przez świadków. Dawno przestaliśmy wierzyć takim formalnym przysięgom. Jak świadek kłamie, to kłamie, i tyle - żaden sędzia nie pomyślałby, że przyrzeczenie mogłoby to zmienić. Ono się dla dzisiejszego człowieka nie liczy. Jednak Fähner - w czym niebotyczna różnica - był niedzisiejszy. Obietnicę złożył kiedyś serio. Wiązała go, ba - więziła przez całe życie. Nie mógł się z niej zwolnić, byłaby to zdrada. Przynależność dożywotnią przysięgą, jej ciśnienie, spowodowało u niego wybuch przemocy.

Siostra Fähnera, która prosiła, bym go bronił, siedziała wśród publiczności. Płakała. Trzymała ją za rękę stara pielęgniarka, która dawniej pracowała u doktora. On sam w więzieniu jeszcze bardziej schudł. Siedział teraz nieruchomo w ławie oskarżonych, drewnianej, ciemnej.

W tej sprawie nie było czego bronić. Stanowiła problem z dziedziny filozofii prawa: jaki jest sens kary? Jaki jej cel? Próbowałem określić go w mowie obrończej. Istnieje tu mnogość teorii: kara ma nas odstraszyć, kara ma nas chronić, kara ma odwieść sprawcę od ponownego popełnienia jakiegoś czynu, kara ma być przeciwwagą krzywdy. Nasze prawo łączy te

teorie, ale żadna z nich nie pasowała do sprawy Föhnera. On drugi raz nie zabije. Krzywda, choć oczywista, jednak trudna do zmierzenia. A czy ktokolwiek pragnął odwetu? Mowa obrończa trwała długo. Opowiedziałem jego historię. Chciałem, by zrozumiano, że Föhner tamtego dnia doszedł do ściany. Mówiłem, aż odniosłem wrażenie, że do sądu coś dotarło. Kiedy jeden z ławników pokiwał głową, skończyłem i usiadłem.

Ostatnie słowo miał Föhner. Przed zakończeniem procesu sąd wysłuchuje oskarżonego, by sędziowie zabrali jego słowa na naradę. Ukłonił się, splótł dłonie. Nie były to zdania, których by się musiał uczyć na pamięć, ale streszczenie jego życia:

- Kochałem moją żonę, a w końcu ją zabiłem. Kocham ją nadal, obiecałem jej to, ona jest ciągle moją żoną. To się nie zmieni do końca mojego życia. Złamałem obietnicę. Będę żył ze swoją winą.

Usiadł, zamilkł i znowu wbił wzrok w ziemię. W sali było cicho, nawet przewodniczący sprawiał wrażenie skrepowanego. Wreszcie oświadczył, że sąd udaje się na naradę. Wyrok zostanie ogłoszony nazajutrz.

Tego wieczoru jeszcze raz odwiedziłem Föhnera w więzieniu. Niewiele było już do powiedzenia. Przyniósł wygniecioną kopertę, z której wyjął zdjęcie z podróży poślubnej. Przesunął kciukiem po twarzy Ingrid. Wierzchnia warstwa ochronna dawno się oderwała od zdjęcia, twarz jego żony była prawie biała.

\*

Skazano go na trzy lata, nakaz aresztowania uchylono i Föhnera wypuszczono z aresztu śledczego. Pozwolono mu na odbywanie kary w zakładzie karnym typu otwartego. Znaczyło to, że tam nocował, a w ciągu dnia mógł przebywać na wolności. Warunkiem było wykonywanie jakiegoś zawodu. A wymyślić nowy dla siedemdziesięciodwulatka nie było łatwo. Wreszcie jego siostra znalazła rozwiązanie: Föhner zarejestrował działalność gospodarczą w branży handlu owocami i zabrał się do sprzedaży jabłek ze swojego ogrodu.

Cztery miesiące później do mojej kancelarii dotarła skrzynka, a w niej dziesięć czerwonych jabłek. W załączonej kopercie znajdowała się jedna

kartka papieru:

„Tego roku jabłka się udały. Fähner”.

## Tanata i jego czarka



Byli na jednej z tych berlińskich otwartych studenckich zabaw. Zawsze się tam znalazło parę dziewczyn, co leciały na chłopaków z dzielnic Kreuzberg i Neukölln, tylko dlatego, że inni. Może tak bardzo chciały odkryć, kiedy oni są bezbroni. Więc i tym razem wyglądało na to, że Samir miał szczęście - ta była roześmiana i miała niebieskie oczy.

Nagle pojawił się przy niej chłopak i kazał mu zjeżdżać, a jak nie, to sfinalizują sprawę na ulicy. Samir nie zrozumiał słowa „sfinalizować”, ale agresję zrozumiał. Obu wypchnięto na zewnątrz. Jakiś starszy student powiedział mu, że tamten to bokser amator, mistrz uniwersytetu.

- Ja to pierdolę - odparł Samir.

Chociaż dopiero siedemnastolatek, miał za sobą ponad sto pięćdziesiąt bójek ulicznych i tylko niewielu rzeczy się bał, a takie walki do nich nie należały.

Bokser był muskularny, o głowę wyższy, sporo szerszy. I jeszcze się głupio uśmiechał. Dokoła obu utworzył się krąg ludzi, a kiedy bokser zdejmował jeszcze kurtkę, Samir czubkiem buta kopnął go w jądra. Buty po wewnętrznej stronie miały stalowe podkuwki, bokser zacharczał i zaraz by się zwinął z bólu, ale Samir złapał go za włosy, szarpnął głowę w dół i jednocześnie walnął go prawym kolaniem w twarz. Mimo że na ulicy było dosyć głośno, dało się słyszeć, jak tamtemu trzasnęło w szczękę. Krwawiąc, leżał na asfalcie, jedna ręka przy podbrzuszu, druga przy twarzy. Samir wziął dwa kroki rozbiegu; ten kopniak złamał bokserowi dwa zębra.

Uważał, że postąpił fair. Nie kopnął w twarz, a przede wszystkim - nie użył noża. Poszło mu łatwo, nawet się nie zasapał. Był zły, bo blondyneczka nie zwała z nim, tylko rycząc, zajęła się mężczyzną na ziemi.

- Zdzira jebana - powiedział i poszedł do domu.



Sędzia rodzinny skazał go na dwa tygodnie aresztu i udział w zajęciach resocjalizacyjnych. Samir, wściekły na to, tłumaczył wychowawcom w zakładzie karnym, że wyrok jest niesłuszny. Zaczął bokser, a on tylko był szybszy. Boks to nie berek, nie zabawa, i sędzia reguł nie załapał.

Dwa tygodnie później do więzienia przyszedł po Sandra Özcan, jego najbliższy przyjaciel. Był to osiemnastoletni, wysoki i powolny chłopak o gąbczastej cerze. Już w wieku dwunastu lat miał dziewczynę i swoje poczynania z nią sfilmował komórką. Dzięki temu po wsze czasy stał się kimś. Özcan miał absurdalnie duży penis i przy pisuarze zawsze ustawiał się tak, by inni to zobaczyli. Koniecznie chciał się przenieść do Nowego Jorku. Nie był tam nigdy, nie znał angielskiego, ale na punkcie tego miasta miał obsesję. Nigdy się nie pokazywał bez swojej granatowej czapki z napisem „N.Y.”. Chciał prowadzić na Manhattanie klub nocny z restauracją i tancerkami go-go. Albo coś w tym rodzaju. Nie potrafił wyjaśnić, czemu akurat w Nowym Jorku, ale się też nad tym nie zastanawiał. Jego ojciec przepracował życie w fabryce żarówek, po tym jak z jedną walizką przyjechał z Turcji. Pokładał nadzieje w synu. Tej sprawy z Nowym Jorkiem nie rozumiał.

Özcan powiedział Samirowi, że poznał człowieka nazwiskiem Manólis, który ma pewien plan. Dobry plan, ale on sam jest „trochę świrnięty”.

Manólis pochodził z greckiej rodziny, która na Kreuzbergu i w Neukölln prowadziła kilka restauracji i kawiarenek internetowych. Po maturze zaczął studia historyczne, a na boku próbował swoich sił w handlu narkotykami. Parę lat temu coś mu nie wyszło. W walizce zamiast kokainy był sam papier i piasek. Kiedy chciał samochodem uciec z pieniędzmi, nabywca wystrzelił do niego dziewięć kul. Nie był dobrym strzelcem, trafiła tylko jedna. Utkwiła w potylicy. No i jak Manólis zderzył się z policyjnym radiowozem, miał jeszcze ten pocisk w głowie. Odkryli to dopiero lekarze w szpitalu, i odtąd był z nim tylko kłopot. Po operacji obwieścił rodzinie, że jest Finem. Co roku, szóstego grudnia, obchodził święto państwowe Finów i bezskutecznie próbował się nauczyć ich języka. Poza tym zawieszał się czasami, i może dlatego nie za bardzo swój plan dopracował.

Jednak Samir uznał, że jakiś plan to jest. Otóż przyjaciółka siostry Manólisa miała pilne potrzeby finansowe, więc za niewielki udział w zysku zaproponowała, by ten włamał się do pewnej willi w dzielnicy Dahlem, gdzie ona sprzątała. Znała kod instalacji alarmowej i zamka elektronicznego, znała położenie sejfu, a przede wszystkim wiedziała, że wkrótce właściciel będzie cztery dni poza Berlinem. Samir i Özcan zgodzili się od razu.

W nocy poprzedzającej przestępstwo Samir źle spał, śnił mu się Manólis i Finlandia. Obudził się o drugiej po południu. Wygonił z łóżka swoją dziewczynę, mówiąc:

- Sędzia jebany. - O czwartej miał być na zajęciach resocjalizacyjnych.

\*

Koło drugiej w nocy Özcan zabrał Samira samochodem. Na Manólisa musieli czekać dwadzieścia minut pod drzwiami, bo zasnął. Było zimno, szyby zaparowały, pomylili drogę, krzyczeli jeden na drugiego. Krótco przed trzecią dotarli do Dahlem. W samochodzie nałożyli czarne wełniane maski, były za duże, zsuwały się i drapały, pocili się w nich. Özcan miał w ustach kłaczek wełny, wypluł go na deskę rozdzielczą. Wciągnęli plastikowe rękawiczki i zwirowaną dróżką pospieszyli ku drzwiom willi.

Manólis wprowadził kod na klawiaturze zamka, drzwi cyknęły i się otworzyły. Przy wejściu znajdował się alarm. Także tam wklepał kombinację liczbową, po czym lampki zmieniły kolor z czerwonego na zielony. Özcan się zaśmiał.

- Złoto dla zuchwałych - powiedział głośno, uwielbiał kino.

Napięcie opadło. Tak łatwo nie poszło jeszcze nigdy. Drzwi wejściowe zatrzasnęły się, stali w ciemności. Nie znaleźli włącznika światła. Samir przewrócił się o stopień i skaleczył lewą brew o stojak na garderobę. Özcan potknął się o jego stopy, upadł, oparł się o plecy Samira, ten jęknął pod ciężarem. Manólis, który zapomniał latarek, jeszcze stał.

Oczy nawykły im do ciemności. Samir otarł krew z twarzy, a Manólis wreszcie znalazł włącznik. Wnętrze było urządzone po japońsku; Samir i Özcan byli przekonani, że tak się nie da mieszkać. Mieli dobry opis i parę minut wystarczyło im na znalezienie sejfu. Wydobyli go łomami ze ściany i

zaciągnęli do samochodu. Manólis chciał jeszcze wrócić do willi, odkrył tam kuchnię, a był głodny. Dyskutowali długo, aż Samir rozstrzygnął, że to zbyt niebezpieczne, a po drodze mogą stanąć przy jakiejś budzie z hot dogami. Na co tamten zaburczał.

Kiedy dotarli do Neukölln, spróbowali w pewnej piwnicy otworzyć sejf. Mieli doświadczenie z szafami pancernymi, ale ten stawiał opór. Özcan musiał od szwagra pożyczyć profesjonalną wiertarkę. Kiedy po czterech godzinach sejf dał się otworzyć, zobaczyli, że było warto. Znaleźli sto dwadzieścia tysięcy euro gotówką i skrzynkę z sześcioma zegarkami. Była jeszcze jakaś lakierowana na czarno drewniana szkatułka. Samir zajrzał do niej. Wnętrze, wyłożone czerwonym jedwabiem, zawierało starą czarkę. Özcanowi się nie podobała, chciał ją wyrzucić, Samir miał ochotę podarować ją siostrze, a Manólisa nic nie obchodziło, bo ciągle był głodny. W końcu zgodzili się, że zhandlują czarkę Mike'owi. Był on właścicielem niedużego sklepu z dużym szyldem, a siebie nazywał sprzedawcą antyków, ale w gruncie rzeczy miał tylko furgonetkę i zajmował się rupieciami oraz likwidacją mieszkań. Zapłacił za czarkę trzydzieści euro.

Kiedy wychodzili z piwnicy, Samir poklepał Özcana po ramieniu, powtarzając: „Złoto dla zuchwałych” - i wszyscy się roześmiali. Siostra Manólisa dostanie dla przyjaciółki trzy tysiące euro, każdy z nich ma w kieszeni prawie czterdzieści tysięcy, a Samir sprzeda zegarki paserowi. Łatwe i dobre włamanie, myśleli. Teraz już z górki.

Mylili się.



Siedemdziesięciosześcioletni Hiroshi Tanata, którego rodzina, aktywna w bankowości, ubezpieczeniach i przemyśle ciężkim, od stuleci współtworzyła historię Japonii, stał w swojej sypialni. Przyglądał się dziurze w ścianie. Nie krzyczał, nie gestykulował, tylko się w tę dziurę wpatrywał. Ale jego sekretarz, w służbie Tanaty od trzydziestu lat, powiedział wieczorem swojej żonie, że jeszcze nigdy nie widział go tak wściekłego.

Tego dnia sekretarz miał dużo roboty. W domu byli policjanci i zadawali pytania. Ponieważ ktoś tutaj wyłączył instalację alarmową i bez użycia siły

otworzył drzwi, mieli podejrzenia wobec zatrudnionych w tym domu, jednak nie dały się one skonkretyzować. Tanata chronił swoich pracowników. Prace na miejscu przestępstwa też nie przyspieszały dochodzenia. Technicy z brandenburskiej policji kryminalnej nie znajdowali odcisków palców, a o śladach DNA nie mogło być mowy - zanim wezwano policję, sprzątaczką gruntownie wszystko wypucowała. Sekretarz dobrze znał swojego szefa, i na pytania policji odpowiadał wymijającymi półsłówkami. Ważniejsze było poinformowanie prasy i wielkich kolekcjonerów, że Tanata za najwyższą cenę odkupi czarę, własność rodzinną od ponad czterystu lat, gdyby ktoś chciał ją sprzedać. Byłaby wtedy prośba tylko o nazwisko tego kogoś.

\*

Zakład fryzjerski na Yorckstrasse nazywał się „Pocol”, podobnie jak jego właściciel. Na wystawie widniały dwa wyblakłe zdjęcia reklamowe firmy Weila z lat osiemdziesiątych: ubrana w pasiasty sweterek piękność z szopą włosów oraz wąsaty mężczyzna o spiczastym podbródku. Pocol odziedziczył zakład ojca, od którego też nauczył się zawodu. W młodości jeszcze sam strzygł, a teraz prowadził kilka legalnych salonów gry i dużo nielegalnych. Zachował ten lokal, całe dni przesiadywał na jednym z dwóch wygodnych foteli fryzjerskich, pił herbatę i załatwiał interesy. Z latami zrobił się tłusty, uwielbiał tureckie słodycze. Jego szwagier prowadził trzy domy dalej cukiernię i robił najlepsze w mieście *balli elmalar*, racuchy z jabłkami i miodem, smażone w gorącym tłuszczu.

Pocol był brutalnym cholerykiem i wiedział, że to jego kapitał. Wszyscy słyszeli o tej historii, jak to piętnaście lat temu właściciel pewnego lokalu, który go nie znał, powiedział, by zapłacił za jedzenie. Pocol też go nie znał. Rzucił potrawą o ścianę, wyszedł i wrócił z kijem baseballowym, wyjętym z bagażnika samochodu. Właściciel lokalu stracił wzrok w prawym oku, śledzionę i lewą nerkę, i resztę życia spędził na wózku. Zasądzono osiem lat pozbawienia wolności za usiłowanie zabójstwa. W dniu ogłoszenia wyroku tamten razem z wózkiem inwalidzkim spadł ze schodów w metrze. Złamał sobie kark, a Pocol po wypuszczeniu już nigdy nie musiał płacić za jedzenie.

Pocol przeczytał w gazecie o tej kradzieży. Po kilkunastu rozmowach telefonicznych z krewnymi, przyjaciółmi, paserami i innymi kontrahentami wiedział, kto się włamał do Tanaty. Wysłał przebojowego chłopaka, który był jak torpeda i robił dla niego wszystko. Torpeda przekazała Samirowi i Özcanowi wiadomość, że Pocol chce z nimi pomówić. Zaraz.

Obaj zjawili się w zakładzie fryzjerskim szybko. Nie zdarzało się, by gospodarzowi ktoś kazał czekać. Kawa, słodycze, miły nastrój - aż Pocol zaczął krzyczeć, złapał Samira za włosy, zawlókł go w kąć zakładu i skopał. Ten nie bronił się i między dwoma kopniakami zaproponował trzydzieści procent. Pocol, pomrukując, skinął głową, odwrócił się i walnął Özcana w czoło deską, którą do tych celów miał tutaj zawsze na podorędziu. Uspokoił się, usiadł w fotelu fryzjerskim i z sąsiedniego pokoju wywołał swoją partnerkę.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej pracowała jako modelka, została nawet wrześnieową dziewczyną „Playboya”. Marzyła o pokazach mody albo karierze w rozgłośni muzycznej, aż odkrył ją Pocol. Pobił chłopaka modelki i został jej menedżerem. Nazywał coś takiego „wyjęciem”. Kazał powiększyć jej piersi i usta. Z początku wierzyła w jego plany, a on rzeczywiście starał się dla niej o kontrakt z agencją. Kiedy mu te wysiłki zbrzydły, przyszła pora na występy w dyskotekach, później klubach go-go, wreszcie filmach porno, których nie można było w Niemczech nabyć legalnie. Pewnego dnia zaaplikował jej pierwszą dawkę heroiny, uzależnił modelkę od siebie i przez to rozkochał. Nie uprawiał z nią seksu, odkąd w jednym z filmów jego przyjaciele zrobili z dziewczyny urynał. Trzymał ją już tylko po to, by sprzedać do Bejrutu. Handel ludźmi działał i w tę stronę, a przecież musiały się zwrócić pieniądze za operacje plastyczne.

Opatrzyła ranę tłuczoną Özcana, Pocol dowcipkował, że ten wygląda jak czerwonoskóry. „Indianiec, masz pojęcie?”. Znowu świeża herbata, słodycze, modelka została odprawiona i można było wznowić negocjacje. Zgodzono się na pięćdziesiąt procent, zegarki i czarkę miał dostać Pocol. Jego dwaj kontrahenci przyznali się do błędów, on podkreślił, że nic do nich osobiście nie ma, a na pożegnanie uścisnął Samira i ucałował go serdecznie.

Chwilę po tym jak obaj wyszli z zakładu, Pocol zadzwonił do Wagnera. Był to oszust i hochsztapler, metr sześćdziesiąt wzrostu, o skórze pożółkłej przez lata solarium, farbowany szatyn z kilkucentymetrowymi siwymi odrostami. Dwupoziomowe mieszkanie Wagnera, znajdujące się na najwyższym piętrze, stanowiło kwintesencję lat osiemdziesiątych - w sypialni lustrzane szafy, dywany futrzaki, olbrzymie łóżko. Pokój dzienny na dole tworzył pejzaż, na który składały się białe skórzane kanapy, białe marmurowe posadzki, lakierowane białe ściany i niskie stoły w kształcie diamentu. Wagner uwielbiał wszelkie błyskotki, szklane paciorki pokrywały nawet jego telefon komórkowy.

Kilka lat temu ogłosił upadłość konsumencką, rozdał majątek rodzinie, a ponieważ wymiar sprawiedliwości jest w tych kwestiach ociężały, zdołał porobić dalsze długi. W rzeczywistości nic już nie posiadał, mieszkanie należało do byłej żony, na ubezpieczenie zdrowotne od miesięcy nie było go stać, a rachunek w salonie kosmetycznym za makijaż permanentny jego partnerki ciągle czekał na zapłacenie. Pieniądze, które wcześniej zarabiał bez trudu, powydawał na samochody i koksowo-szampańskie przyjęcia na Ibizie. Towarzysze tamtych zabaw, szefowie banków inwestycyjnych, tymczasem poznikali, a on nie miał na nowe opony do dziesięcioletniego ferrari. Od dawna czekał na tę jedną okazję, która wszystko obróci ku dobremu. W kawiarniach, składając zamówienia u kelnerek, oświadczał: „Walnę se kapucyna”, i za każdym razem rechotał, ubawiony tym brodatym dowcipem. Wagnerowi całe życie doskwierało to, że się nie liczy.

Zwykły hochsztapler jedynie oszukuje, tymczasem on był zręczniejszy. Odgrywał berlińskiego „twardziela”, który się „wybił z samego dna”. Ludzie z wyższych niż on sfer nabierali do Wagnera zaufania. Owszem, myśleli sobie, to przykry cham i knajak, ale dzięki temu widać, że autentyczny i uczciwy. A z niego nie był ani twardziel, ani uczciwy człowiek. On się nawet we własnym pojęciu nie „wybił”. Miał w sobie tylko cwaniacką inteligencję, a ponieważ sam był słaby, dostrzegał też cudze słabości. Wykorzystywał je, nawet kiedy mu z tego nic nie przychodziło.

Czasami posługiwał się nim Pocol. Bił Wagnera, kiedy ten robił się

bezczelny, kiedy dawno nie było komu przywalić albo kiedy zwyczajnie mu się zachciało. Poza tym uważał go za śmiecia. Jednak do tej roboty Wagner wydawał mu się w sam raz. Pocol przekonał się, że jego samego, ze względu na język i pochodzenie, poza jego środowiskiem nie biorą poważnie.

Wagner dostał zadanie, by zgłosić się do Tanaty i bez dopowiadania szczegółów zaproponować mu odkupienie czarki i zegarków. Zgodził się. Zdobył numer telefonu Tanaty i przez dwadzieścia minut rozmawiał z sekretarzem. Otrzymał zapewnienie, że nie wkroczy do sprawy policja. Odłożywszy słuchawkę, z radością głaskał pieski chihuahua, które wabiły się Dolce i Gabbana, i rozmyślał, jak by tu jednak trochę oszukać Pocola.

\*

Garota to cienki drut, na którego końcach przymocowane są małe drewniane uchwyty. Wywodzi się od średniowiecznego narzędzia oprawców i katów, do roku 1973 wykonywano nią w Hiszpanii wyroki śmierci i do dziś należy do popularnych narzędzi mordy. Jej części składowe nabyć można w każdym markecie budowlanym, jest korzystna cenowo, łatwa do transportu i wydajna - pętlę zakłada się ofierze od tyłu na szyję i mocno zaciska; ofiara, niezdolna krzyknąć, szybko umiera.

Cztery godziny po telefonie do Tanaty Wagner na dźwięk dzwonka lekko uchylił drzwi. Nie ocalił go schowany w rozporoku pistolet. Już od pierwszego ciosu w krtani go zatkało, a trzy kwadranse później, kiedy jego życiu położyła kres garota, był wdzięczny, że mu dano umrzeć.

Nazajutrz rano sprzątaczką Wagnera, odstawiając zakupy w jego kuchni, zobaczyła przyklejone w zlewie dwa odcięte palce. Wezwała policję. Wagner leżał w łóżku, uda miał ściśnięte śrubową zwornicą, w rzepce lewego kolana tkwiły dwa ćwieki, w rzepce prawego - trzy. Szyję opasywała mu garota, język był wywalony. Przed śmiercią zmoczył się, a funkcjonariusze prowadzący śledztwo zgadywali, jakie informacje zdradził sprawcy.

W pokoju dziennym, przyciśnięte do marmurowej posadzki przy ścianie, leżały oba pieski. Musiały szczekaniem przeszkadzać gościowi, skoro je zادةptał. Funkcjonariusze od zabezpieczania śladów próbowali z ich zwłok



wziąć odcisk podeszwy, ale dopiero na wydziale patologii odkryto w jednym z psów kawałek plastiku. Najwyraźniej sprawca miał na butach plastikowe torby.

Tej samej nocy, kiedy Wagner pożegnał się z życiem, około piątej nad ranem Pocol w dwóch plastikowych wiadrach przyniósł do zakładu fryzjerskiego bilon ze swoich salonów gier. Był zmęczony, a kiedy pochylił się, żeby otworzyć drzwi, usłyszał przenikliwy świst. Znał ten odgłos. Nie zdążył go w mózgu zaklasyfikować, a jednak wiedział już, co to jest, zanim kula umieszczona na końcu teleskopowej stalowej pałki klasnęła o jego potylicę.

Partnerka znalazła Pocola w zakładzie, kiedy chciała od niego wyżebrać heroinę. Leżał twarzą w dół na jednym z dwóch foteli fryzjerskich, opasując go rękami. Zdawało się, że trzyma ten fotel w objęciach. Dłonie miał pod siedziskiem związane opaską zaciskową, masywne ciało tkwiło zaklinowane między poręczami. Był nagi, w jego odbytnicy tkwił złamany kij od miotły. Przy obdukcji lekarz medycyny sądowej stwierdził, że siła, z jaką ten kij wprowadzono, spowodowała też perforację pęcherza. Na głowie i ciele Pocola wykazano łącznie sto siedemnaście ran tłuczonych, stalowa kula pałki złamała czternaście kości. Który cios go w końcu zabił, tego nie zdołano stwierdzić. Nie było włamania do sejfów, wiadra z bilonem stały przy wejściu prawie nieruszone. Jedną monetę Pocol z chwilą śmierci miał w ustach, drugą znaleziono w przełyku.

Śledztwo spełzło na niczym. Odciski palców w zakładzie Pocola można było przypisać wszelkim możliwym sprawcom czynów karalnych w Neukölln i Kreuzbergu. Tortura z kijem wskazywała na sprawców arabskich, uchodziła za wyjątkowe upokorzenie. W otoczeniu ofiary nastąpiło kilka zatrzymań i przesłuchań, policja była przekonana, że to lokalne porachunki, ale nie miała konkretów. Pocol w żadnej ze spraw policyjnych nie pojawił się w kontekście Wagnera, wydział zabójstw nie mógł ich obu powiązać. Pozostało tylko dużo teorii.



Zakład Pocola i przyległy chodnik zabezpieczono, rozpinając czerwono-

białą taśmę; reflektory oświetlały pomieszczenia. Policjanci pracowali jeszcze na miejscu zbrodni, kiedy w Neukölln ciekawscy wiedzieli już, jak Pocol umarł. Samir, Özcan i Manólis przestraszyli się teraz na dobre. W tłumie przed zakładem Pocola stali o jedenastej z pieniędzmi, zegarkami i czarką. Handlarz antyków Mike, któremu sprzedali początkowo czarkę, cztery ulice dalej przykładał sobie kompres do prawego oka, po tym jak mu kazano oddać czarkę i zwrócić wydatki. Siniec pod okiem był wliczony w całość, takie panowały zasady.

Manólis powiedział głośno, co myśleli wszyscy trzej: Pocola torturowano, a jeżeli chodziło o nich, to oczywiście ich wydał. Skoro ktoś odważył się zabić Pocola, to oczywiście oni mają niewielką szansę przeżycia. Samir powiedział, że trzeba czym prędzej załatwić sprawę z czarką. Pozostali dwaj przytaknęli, wreszcie Özcan wpadł na pomysł pójścia do adwokata.

\*

Trzej młodzi ludzie opowiedzieli mi całą historię. To znaczy, mówił Manólis, co chwila wpadając w dygresje filozoficzne i nie bardzo mogąc się skupić. Wszystko to trwało dosyć długo. W końcu powiedzieli, że nie są pewni, czy Tanata wie, kto się włamał. Na stole konferencyjnym położyli zegarki, pieniądze i czarkę, prosząc, bym je zwrócił właścicielowi. Wszystko jak najdokładniej zinwentaryzowałem; nie przyjąłem ukradzionej sumy, byłoby to pranie brudnych pieniędzy. Zadzwoiłem do sekretarza Tanaty i umówiłem się na spotkanie po południu.

Dom Tanaty znajdował się przy spokojnej ulicy w Dahlem. Nie było dzwonnka do drzwi, niewidoczna zapora świetlna włączyła sygnał, głuchy dźwięk gongu jak w klasztorze zen. Sekretarz oburącz, jakby trzymał coś kruchego, wręczył mi swoją wizytówkę. Wydawało się to trochę bez sensu, skoro już byłem na miejscu. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że wymiana wizytówek stanowi w Japonii cały rytuał, i zrewanżowałem się swoją. Sekretarz, uprzejmy i poważny, zaprowadził mnie do pomieszczenia o ścianach koloru ziemi i posadzce z czarnego drewna. Siedliśmy przy stole na twardych krzesłach, poza tym pokój był pusty, tylko w niszy ściennej stała ciemnozielona aranżacja ikebany Światło nie wpadało bezpośrednio, było

ciepłe i przytłumione.

Otworzyłem teczkę i rozłożyłem przyniesione przedmioty. Sekretarz położył zegarki na czekającej już skórzanej tacy, zamkniętej szkatułki z czarką nie dotknął. Podałem mu sporządzone wcześniej pokwitowanie z prośbą o podpis. Przeprosił i zniknął za przesuwными drzwiami.

Zapadła cisza.

Po chwili wrócił, podpisał pokwitowanie za zegarki i czarkę, zabrał tacę i znowu zostawił mnie samego. Szkatułka wciąż stała nieotwarta.

Tanata był niski i dziwnie zaszuszone. Najwyraźniej w dobrym humorze, przywitał mnie po zachodniemu i zaczął opowiadać o swojej rodzinie w Japonii.

Po pewnym czasie podszedł do stołu, otworzył szkatułekę i wyciągnął czarkę. Ujął ją za dno, a drugą ręką powoli obracał przed oczami. Służyła do przyrządzania herbaty matcha, którą bambusowa miotełka miała w niej kruszyć na świetliście zielony proszek. Była czarna, ciemny czerep pokrywało szkliwo. Takie czarki wyrabiano nie na kołach garncarskich, ale lepiono, i nie zdarzały się dwie podobne; pewien przyjaciel mówił mi, że w nich przetrwała dawna Japonia. Najstarsza szkoła garncarska sygnowała ceramikę znakiem „Raku”.

Tanata ostrożnie odstawił czarkę do szkatułki i powiedział:

- Pochodzi z 1581 roku, dla naszej rodziny stworzył ją Chojiro. - Był to założyciel szkoły Raku. Naczynie wyzierało z czerwonego jedwabiu jak czarne oko. - Wie pan, już kiedyś o nią toczyła się wojna. Trwała pięć lat, bardzo dawno temu. Dobrze, że tym razem poszło szybciej. - Tanata zamknął wieko szkatułki. Trzask odbił się echem.

Powiedziałem, że zwrócono by także pieniądze, na co pokręcił głową.

- Jakie pieniądze?

- Te z pańskiego sejfu.

- Tam żadnych nie było.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem:

- Moi klienci mówili, że...

- Jeżeli tam były pieniądze - przerwał mi - to być może nieopodatkowane.

- Tak?

- A ponieważ musi pan okazać pokwitowanie policji, mogą zadawać jakieś pytania. W ogłoszeniu też nie było mowy o pieniądzach.

Uzgodniliśmy w końcu, że poinformuję policję o zwróconej czarce i zegarkach. Tanata oczywiście nie pytał, kim są sprawcy, a ja nie pytałem o Pocola ani Wagnera. Pytania miała tylko policja, a ja, dla ochrony moich klientów, powołałem się na tajemnicę adwokacką.

\*

Samir, Özcan i Manólis uszli z życiem.

Do Samira ktoś zadzwonił, zapraszając jego i przyjaciół do pewnej kawiarni na Kurfürstendamm. Powitał ich tam uprzejmy mężczyzna. Na wyświetlaczu komórki pokazał ostatnie chwile Wagnera i Pocola, przepaszając za kiepską jakość nagrania i fundując wszystkim trzem ciasto. Nie tknęli go, ale nazajutrz oddali sto dwadzieścia tysięcy euro. Wiedzieli, że tak wypada - i dopłacili dwadzieścia osiem tysięcy jako „zwrot kosztów”, więcej nie zdołali wytrzasnąć. Ależ naprawdę, powiedział uprzejmy pan, nie trzeba. I schował pieniądze.

Manólis porzucił branżę, zaczął prowadzić jedną z restauracji należących do rodziny, ożenił się i usatkwował. W jego restauracji wiszą zdjęcia łodzi rybackich i fiordów, podaje się fińską wódkę, a on sam zamierza z najbliższymi wyemigrować do Finlandii.

Özcan i Samir zajęli się handlem narkotykami; nigdy więcej nie ukradli czegoś, czego nie umieli zaklasyfikować.

Sprzątaczką Tanaty, która naraiła włamanie, dwa lata później, dawno już nie pamiętając o sprawie, spędzała wakacje w Antalyi. Wybrała się popływać. Mimo że tego dnia morze było spokojne, uderzyła głową o skałę i utonęła.

Tanatę widziałem później raz, w berlińskiej filharmonii, siedział cztery rzędy za mną. Kiedy spojrzałem za siebie, bez słowa uprzejmie mi się uklonił. Pół roku później umarł. Jego ciało przewieziono do Japonii, dom w Dahlem sprzedano, a sekretarz także wrócił w rodzinne strony.

Czarka jest obecnie główną atrakcją w tokijskim muzeum Fundacji Tanata.

## Dopisek

Kiedy Manólis poznał Samira i Özcana, ciążyło na nim podejrzenie handlu narkotykami. Było bez podstaw i wkrótce wyłączono zarządzony przez sędziego podsłuch. Jednak nagrano jeszcze pierwszą rozmowę między Manólisem i Samirem. Özcan też brał w niej udział, słuchając przez głośnik komórki.

Samir: Jesteś Grekiem?

Manólis: Finem.

Samir: Nie słychać tego.

Manólis: Jestem Finem.

Samir: Mówisz jak Grek.

Manólis: No i co z tego. Niby jak matka, ojciec są Grekami, babcia i dziadek też, w ogóle cała rodzina, to ja od razu mam robić za Greka do końca życia? Nie znoszę tzatzików, oliwek i tego kretyńskiego tańca. Jestem Finem w każdym calu, Finem od środka.

Özcan do Samira: Wygląda też jak Grek.

Samir do Özcana: A niech już sobie będzie Finem, jak chce.

Özcan do Samira: Ani nawet jak Szwed nie wygląda.

(Özcan znał ze szkoły jednego Szweda).

Samir: Czemu jesteś Finem?

Manólis: Przez tę sprawę z Grekami.

Samir: ...

Özcan: ...

Manólis: Z Grekami od setek lat jest w kółko ta sama historia. Wyobraźcie sobie, że statek idzie na dno.

Özcan: Czemu?

Manólis: Bo ma dziurę albo kapitan zapił.

Özcan: Ale czemu ten statek ma dziurę?

Manólis: Ożeż kurwa, to tylko przykład.

Özcan: Yhym.

Manólis: Statek idzie na dno i tyle. Okej?

Özcan: Yhym.

Manólis: Wszyscy toną. Wszyscy. Rozumiecie? Tylko jeden Grek nie. Płynie, płynie i wreszcie dopływa do brzegu. Wyrzyguje słoną wodę. Rzyga ustami, nosem, wszystkimi porami. Wyszmarkuje wszystko, a w końcu półżywy zasypia. Facet jedyny przeżył. Wszyscy inni się utopili. Leży na brzegu i kima. Budzi się i nagle rozumie, że przeżył on jeden. Więc wstaje i zabija pierwszego, kto tamtędy akurat spaceruje. Tak sobie. Dopiero jak tamten nie żyje, rachunek się zgadza.

Samir: ?

Özcan: ?

Manólis: Rozumiecie? Musi kogoś zabić, żeby ten jeden, którego nie ma na dnie, też nie żył. Tamten za niego. Minus jeden, plus jeden. Jarzycie?

Samir: Nie.

Özcan: Gdzie była dziura?

Samir: Kiedy się widzimy?



## Wiolonczela

Tackler miał na sobie jasnoniebieski smoking i różową koszulę. Podwójny podbródek wylewał mu się na kołnierzyk i muszkę, marynarka opinała brzuch i marszczyła się na piersi. Stał między córką Theresą a swoją czwartą żoną, wyższymi od niego. Palce jego lewej ręki, porośnięte czarną szczecina, trzymały w uścisku biodro córki. Spoczywały tam jak ciemne zwierzę.

Przyjęcie kosztowało go spore pieniądze, ale uznał, że się opłaciło, bo przyszli wszyscy: premier, bankierzy, celebryci, piękności, a przede wszystkim - ten sławny krytyk muzyczny. O niczym więcej nie chciał teraz myśleć. To było święto Theresy.

Była wtedy szczupłą dwudziestolatką klasycznej urody, z doskonale symetryczną twarzą. Sprawiała wrażenie spokojnej, zrównoważonej, i tylko cienka żyłka na szyi zdradzała niespokojne bicie serca.

Po krótkim przemówieniu ojca usiadła na obitym czerwoną materią podium i nastroiła wiolonczelę. Obok zajął miejsce jej brat Leonhard, który miał przewracać kartki z nutami. Trudno było o bardziej niepodobne do siebie rodzeństwo. Leonhard, o głowę niższy od Theresy, odziedziczył po ojcu posturę i rysy, ale nie twardość. Z rudych włosów spływał mu pot, skraj kołnierzyka pociemniał. Jego uśmiechy w stronę słuchaczy miały w sobie życzliwość i miękkość.

Goście, siedzący na miniaturowych krzeselkach, pomału milkli, światła przygasały. A zanim jeszcze zdecydowałem, czy z ogrodu wrócić tam, do dużej sali mieszczącej się w willi z epoki Bismarcka, odezwała się wiolonczela. Theresa grała trzy pierwsze z sześciu suit solowych Bacha, i już po kilku taktach wiedziałem, że jej nigdy nie zapomnę. W ten ciepły letni wieczór, w sali z wysokimi przeszklonymi drzwiami, otwartymi szeroko na



rozświetlony park, przeżyłem jedną z rzadkich chwil absolutnego szczęścia, jakie daje tylko muzyka.



Tackler był przedsiębiorcą budowlanym w drugim pokoleniu. On i jego ojciec, przebojowi, inteligentni mężczyźni, dorobili się we Frankfurcie majątku na nieruchomościach. Ojciec przez całe życie w prawej kieszeni spodni nosił rewolwer, a w lewej plik banknotów. Tackler obywatel się już bez broni.

Trzy lata po narodzinach Leonharda jego matka zwiedzała świeżo wybudowany przez męża wieżowiec. Na osiemnastym piętrze budowli, będącej w stanie surowym, świętowano zawieszenie wiechy. Ktoś zapomniał o zabezpieczeniu jednej z balustrad. Ostatnimi śladami po żonie, jakie Tackler zobaczył, były jej torebka i kieliszek z szampanem, które odstawiła na barowy stolik chwilę wcześniej.

W następnych latach wokół obojga dzieci przewinęło się wiele „matek”. Żadna nie przetrwała dłużej niż trzy lata. Tackler, jak przystało na zamożnego pana domu, zatrudniał kucharkę, kierowcę, kilka sprzątaczek i dwóch ogrodników do utrzymania parku. Nie miał czasu zajmować się wychowaniem dzieci, przez co niezmiennie obecna w ich życiu była tylko pewna niemłoda pielęgniarka, która kiedyś wychowywała Tacklera, zwana przez wszystkich po prostu Ettą. Pachniała lawendą, a najbardziej interesowały ją kaczkę. Ściany jej dwupokojowego mieszkania na poddaszu willi Tacklera zdobiło pięć wypchanych okazów i nawet brązowy kapelusz filcowy, bez którego nie wychodziła, miał wetknięte za otokiem dwa niebieskie pióra kaczorów. Za dziećmi nie przepadała.

Była od zawsze, należała do rodziny. Tackler uważał dzieciństwo za stratę czasu, własne uleciało mu z pamięci, a Etcie ufał. Zgadzała się z nim bowiem co do zasad wychowania: dzieci mają dorastać w dyscyplinie i jak mawiał, „nie zadzierać nosa”. Odrobina twardości nie zawadzi.

Theresa i Leonhard musieli sami zarabiać na kieszonkowe. Latem wykopywali w ogrodzie mleczę i za każdy dostawali pół feniga. „Ale tylko z korzeniem, inaczej nic z tego”, mawiała Etta. Rośliny przeliczała równie

drobiazgowo jak fenigi. Zimą odgarniali śnieg, płaciła od metra.

Leonhard uciekł z domu, gdy miał dziewięć lat. Wdrapał się na jodłę w parku i czekał, aż go złączną szukać. Wyobrażał sobie, jak Etta, a później ojciec, będą rozpaczać i biadać nad jego zniknięciem. Nikt nie rozpaczał. Przed kolacją Etta zawołała, że jak zaraz nie przyjdzie, to ona nie da mu jedzenia, tylko lanie w tyłek. Skapitulował. Ubranie miał całe w żywicy i dostał w twarz.

Na Gwiazdkę Tackler kupował dzieciom mydło i sweterki. Tylko raz pewien jego kontrahent, z którym wspólnie zarobili tego roku dużo pieniędzy, przysłał dzieciom zabawki, Leonhardowi karabin, a Theresie - kuchnię dla lalek. Etta zaniósła te prezenty do piwnicy. „Nie dla nich coś takiego”, powiedziała, a Tackler, nie słuchając, przytaknął.

Etta uznała edukację za zakończoną, kiedy dzieci umiały się już zachować przy stole, mówiły bez dialektu, a poza tym siedziały cicho. Powiedziała Tacklerowi, że źle z nimi będzie. Za miękkie, nie są z nich prawdziwi Tacklerowie, jak on albo jego ojciec. Zapamiętał to zdanie.

Etta dostała alzheimera, powoli cofała się w rozwoju i łagodniała. Zapisła ptaki muzeum regionalnemu, które nie miało co z tymi preparatami zrobić i zdecydowało o ich zniszczeniu. Na jej pogrzebie był tylko Tackler z obojgiem dzieci. W drodze powrotnej powiedział: „No to kolejna sprawa z głowy”.

Leonhard na wakacjach pracował dla ojca. Wolałby wtedy gdzieś wyjechać z przyjaciółmi, ale nie miał pieniędzy. Tak chciał Tackler. Zawiózł syna na jeden z placów budowy, przekazał brygadziście i powiedział, żeby mu dać „solidny wycisk”. Brygadzista zrobił, co w jego mocy, a kiedy nazajutrz wieczorem Leonhard zwymiotował z wyczerpania, ojciec powiedział mu, że się przyzwyczai. Ze on sam w jego wieku nieraz nocował z ojcem na budowie i jak inni zbrojarze, „srał w przykucu”. Niech no się Leonhard nie uważa za „coś lepszego”.

Theresa też na wakacje dostawała robotę - w księgowości firmy. Podobnie jak Leonhard, otrzymywała zaledwie trzydzieści procent średniego wynagrodzenia. „Wy nie pomagacie, tylko jesteście w pracy.

Wasza pensja to prezent, a nie zarobek”, mawiał Tackler. Kiedy się wybierali do kina, dawał im dziesięć euro na dwoje, a ponieważ musieli dojechać autobusem, starczało tylko na jeden bilet. Bali mu się o tym powiedzieć. Czasami kierowca ojca potajemnie zawoził rodzeństwo do miasta i dawał obojgu trochę pieniędzy; sam miał dzieci, a znał swojego szefa.

Z wyjątkiem siostry Tacklera, która pracowała w firmie i zdradziła bratu wszelkie możliwe ich tajemnice, dzieci nie miały krewnych. Ojca z początku się bały, później nienawidziły, wreszcie jego świat stał się im tak obcy, że już nic mu nie miały do powiedzenia.

Tackler nie gardził Leonhardem, ale brzydził się jego miękkością. Uważał, że musi dać synowi twardość, „ukuć go”, jak sam mawiał. Mając piętnaście lat, Leonhard powiesił sobie w pokoju zdjęcie z przedstawienia baletowego, na którym był z klasą. Ojciec zerwał je ze ściany, wrzeszcząc, żeby uważał, bo jeszcze się z niego zrobi pedał. Jest za tłusty, powiedział, i nigdy nie znajdzie sobie dziewczyny.

Theresa każdą minutę spędzała z wiolonczelą u pewnego frankfurckiego nauczyciela. Tackler nie rozumiał jej, więc dał Theresie spokój. Tylko raz było inaczej, w bezchmurny letni dzień, krótko po jej szesnastych urodzinach. Pływała nago w basenie. Kiedy wyszła z wody, na brzegu stał jej ojciec. Był po alkoholu. Patrzył na córkę jak na obcą kobietę. Wziął ręcznik i zaczął ją wycierać. Kiedy dotknął jej piersi, poczuła od niego whisky. Theresa pobiegła do domu. Do basenu nigdy więcej nie weszła.

Przy nielicznych wspólnych kolacjach rozmawiali na „jego” tematy - o zegarkach, jedzeniu, samochodach. Theresa i Leonhard poznali cenę każdego auta i każdego markowego zegarka. Była to abstrakcyjna zabawa. Czasami ojciec pokazywał im wyciągi ze swoich kont, akcje i sprawozdania z działalności przedsiębiorstwa. „To wszystko kiedyś będzie wasze”, mawiał, a Theresa szeptała do Leonharda, że on to cytuje z jakiegoś filmu. „Życie wewnętrzne to bzdura”, powtarzał Tackler. Ono przecież nic nie daje.

Oboje mieli tylko siebie nawzajem. Kiedy Theresę przyjęto do konserwatorium, postanowili, że razem porzucą Tacklera. Chcieli mu o tym powiedzieć przy kolacji, przedtem ćwiczyli tę scenę, zastanawiając się, jak

on zareaguje, i układając sobie odpowiedzi. Kiedy zaczęli mówić, ojciec odparł, że nie ma dzisiaj czasu, i zniknął. Przyszło im czekać trzy tygodnie, wreszcie w imieniu obojga wystąpiła Theresa. Bo chociaż jej Tackler nie uderzy.

- Wyjeżdżamy z Bad Homburg - powiedziała. Takie sformułowanie uznali za lepsze, niż gdyby nazwać rzecz po imieniu. Dorzuciła, że zabiera Leonharda i jakoś sobie dadzą radę.

Tackler nie zrozumiał, zwyczajnie jadł dalej. Kiedy poprosił Theresę o chleb, Leonhard krzyknął:

- Dosyć tego znęcania się nad nami!

Theresa trochę ciszej dodała:

- Nie chcemy być tacy jak ty. - Ojciec z brzękiem upuścił nóż na talerz. Bez słowa wstał, poszedł do samochodu i pojechał do swojej kobiety. Wrócił dopiero koło trzeciej w nocy.

Po przyjeździe siedział sam w swojej bibliotece. Na ekranie wbudowanym w ścienny regał szedł nakręcony przez niego film bez dźwięku, przegrany z kamery super 8 na kasetę wideo. Były to prześwietlone zdjęcia:

Jego pierwsza żona trzyma oboje dzieci za ręce, Theresa może mieć trzy lata, Leonhard dwa. Żona coś mówi, porusza bezgłośnie ustami, wskazuje gdzieś daleko. Kamera idzie w ślad za jej ręką, na nieostrych tle widać ruiny twierdzy. Najeżdża z powrotem na Leonharda, który chowa się za nogą matki i płacze. Kamienie i murawa z bliska, poruszone; kamera, nie przestając filmować, przechodzi w czyjeś inne ręce. Ktoś ją podnosi, Tackler ma na sobie dzinsy i rozpiętą koszulę, włochata pierś, wyszczerzone zęby, śmieje się bez dźwięku, podnosi Theresę ku słońcu, całuje ją, kiwa ręką do kamery. Obraz się rozjaśnia, film urywa.

Tej nocy Tackler postanowił, że urządzi dla córki koncert pożegnalny. Jego znajomości powinny wystarczyć, już on ją wywinduje „na samą górę”. Chciał być w porządku. Wypisał dla obojga dzieci czeki po dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro i przed śniadaniem położył je na stole. Uważał, że to wystarczy.



Nazajutrz po koncercie pojawił się w ogólnokrajowej gazecie entuzjastyczny artykuł. Sławny krytyk muzyczny wróżył Theresie jako wiolonczelistce „światłą przyszłość”. Nie stawiała się w konserwatorium. Uznała, że przy swoim wielkim talencie może poczekać. Pora na co innego. W ciągu prawie trzech lat rodzeństwo objechało Europę i USA. Theresa grała na paru prywatnych koncertach, a poza tym tylko dla brata. Pieniądze od ojca dawały obojgu niezależność przynajmniej na pewien czas. Jeżeli miewali romanse, to przelotne, i przez te lata prawie ani dnia nie spędzili jedno bez drugiego. Wydawało się, że są wolni.



Niemal dokładnie w dwa lata po koncercie Theresy w Bad Homburg spotkałem oboje na przyjęciu w Castello di Tomano niedaleko Florencji. Tę zrujnowaną twierdzę z XI wieku otaczały oliwki, cyprysy i winnice. Rodzeństwo, które zajechało kabrioletem z lat sześćdziesiątych, pan domu powitał jako *jeunesse dorée*. Theresa go ucałowała, a Leon z przesadną elegancją uchylił głupkowatego borsalina.

Tego samego wieczoru, kiedy powiedziałem Theresie, że nigdy później suity wiolonczelowe nie były dla mnie takim przeżyciem jak wtedy w domu jej ojca, odparła:

- Liczy się preludium z pierwszej suity. Nie szóstka, najtrudniejsza, którą wszyscy uważają też za najważniejszą. Nie ta, tylko pierwsza. - Wypiła łyk, pochyliła się i szepnęła mi do ucha: - Masz pojęcie, preludium z pierwszej. Całe życie w trzy minuty. - Roześmiała się.



Pod koniec następnego lata rodzeństwo było na Sycylii. Przez kilka dni mieszkali u pewnego handlarza surowców, który na lato wynajął tam dom, a podkochał się w Theresie.

Leonhard obudził się z lekką gorączką. Pomyślał, że to od alkoholu ostatniej nocy. Nie chciał chorować, nie tego promiennego dnia, nie w ten szczęśliwy czas. W jego organizmie szybko się rozprzestrzeniały pałeczki okrężnicy. Bakterie te wzięły się z wody, którą dwa dni wcześniej pił na stacji

benzynowej.

W garażu znaleźli skuter, starą vespe, i pojechali w stronę morza. Tamto jabłko, które spadło sadownikom z wozu, leżało na środku asfaltowej jezdni, prawie kuliste, i lśniło w słońcu. Theresa powiedziała coś, a Leonhard, chcąc ją usłyszeć, obrócił głowę. Przednie koło pośliznęło się na jabłku i skręciło w poprzek. Leonhard stracił panowanie nad skuterem. Theresa miała szczęście, stłukła sobie tylko bark i w kilku miejscach się skaleczyła. Leonhardowi pękła czaszka, wgnieciona między tylne koło a kamień.

Pierwszej nocy w szpitalu jego stan się pogorszył. Nikt mu nie badał krwi, co innego trzeba było robić. Theresa

zadzwoiła do ojca i Tackler firmowym samolotem Learjet przysłał z Frankfurtu lekarza - ale ten dotarł za późno. W ciele Leonharda toksyny z nerek dostały się tymczasem do krwiobiegu. Theresa siedziała na korytarzu pod salą operacyjną. Lekarz podczas rozmowy trzymał ją za rękę. Klimatyzacja była hałaśliwa, szyba, w którą Theresa się godzinami wpatrywała - nieprzejrzysta z brudu. Lekarz powiedział, że to urosepsa z niewydolnością wielonarządową. Nie rozumiała. W organizmie Leonharda jest mocz, szanse przeżycia wynoszą dwadzieścia procent. Lekarz nic tylko dalej mówił, jego słowa stwarzały dystans. Theresa miała za sobą prawie czterdzieści godzin bez snu. Kiedy wrócił do sali, zamknęła oczy. Wcześniej użył słowa „zgon” i teraz widziała je przed sobą, jak czarne litery. Nie miało nic wspólnego z jej bratem. Odpowiedziała wtedy: „Nie”. Po prostu „nie”. Tylko tyle.

Szóstego dnia hospitalizacji stan był już stabilny. Dało się Leonharda przewieźć samolotem do Berlina. Kiedy był przyjmowany do szpitala Charité, jego ciało czarną, skórzastą warstwą pokrywały martwice, oznaka obumierania komórek. Lekarze zrobili mu czternaście operacji. Amputowano kciuk, palec wskazujący i serdeczny lewej ręki. Usunięto palce lewej stopy w stawach śródstopno-paliczkowych, tak samo prawe śródstopie i części prawego stopu. Pozostała po tym zniekształcona, nieodporna bryła, w której kości i chrząstki wyraźnie uciskały skórę. Leonharda utrzymywano w śpiączce farmakologicznej. Przeżył. Skutków urazu głowy nie można było

jeszcze ocenić.

Hippokampus to zwierzę pociągowe Posejдона, grecki potwór morski, pół koń, pół ryba. Od niego nazwano hipokampem bardzo starą część mózgu między płatami skroniowymi. Tam treści zapamiętywane przenoszą się z pamięci krótko-do długoterminowej. U Leonharda hipokampy uległy naruszeniu. Wybudzony po dziewięciu tygodniach ze śpiączki, zapytał Theresę, kim ona jest. I kim jest on sam. Całkowicie utracił pamięć i wszystko, co mu mówiono, zapominał po trzech albo czterech minutach. Lekarze po zrobieniu mnóstwa testów tłumaczyli mu, że to amnezja, następcza i wsteczna. Leonhard zrozumiał ich wyjaśnienia, ale po trzech minutach i czterdziestu sekundach zapomniał. Nie pamiętał też swojej niepamięci.

A kiedy Theresa się nim opiekowała, widział tylko jakąś piękną kobietę.

\*

Po dwóch miesiącach rodzeństwo wprowadziło się do berlińskiego mieszkania ojca. Codziennie na trzy godziny przychodziła pielęgniarka, poza tym wszystkim zajmowała się Theresa. Z początku zapraszała jeszcze przyjaciół na kolacje, później nie mogła już znieść tego, jak patrzyli na Leonharda. Tackler odwiedzał ich raz na miesiąc.

To były miesiące samotności. Theresa powoli się zapuszczała, włosy lepiły się jej w strąki, skóra szarzała. Któregoś wieczoru wyjęła z futerału wiolonczelę, której nie tykała od miesięcy. W półmroku pokoju zaczęła grać. Leonhard leżał na łóżku i przysypiał. W pewnej chwili odgarnął kołdrę i zaczął się masturbować. Przerwała i odwróciła się do okna. Powiedział, żeby przyszła. Spojrzała na niego. Uniósł się na łóżku, domagając się, by go pocałowała. Potrząsnęła głową. Opadł na łóżko i poprosił, by chociaż rozpięła bluzkę. Zabliźniony kikut jego prawej stopy leżał na białym prześcieradle jak kawałek mięsa. Podeszła i pogłaskała go po policzku. Rozebrała się, siadła na krześle i z zamkniętymi oczami zaczęła grać. Odczekała, aż zaśnie, wstała, ręcznikiem wytarła mu z brzucha spernę, przykryła go i pocałowała w czoło.

W łazience wymiotowała.

Chociaż lekarze wykluczyli to, by Leonhard mógł odzyskać pamięć,



wydawało się, że wiolonczela do niego przemawia. Grając, Theresa miała poczucie, że to choćby słabo, choćby ledwo zauważalnie, łączy ją z ich wcześniejszym życiem, jak nikły odbłask tamtej żarliwości, której tak jej brakowało. Czasem Leonhard nawet nazajutrz pamiętał jeszcze wiolonczelę. Mówił o niej, i choć nie potrafił kojarzyć ze sobą różnych spraw, zdawało się, że coś zostaje mu w pamięci. Theresa grywała dla niego teraz co wieczór i prawie zawsze się wtedy masturbował, a potem ona, płacząc, osuwała się w łazience na podłogę.

W sześć miesięcy po ostatniej operacji Leonharda zaczęły boleć blizny. Lekarze mówili, że potrzebne będą kolejne amputacje. Jak oświadczyli po zrobieniu tomografii komputerowej, niedługo czekała go też utrata mowy. Theresa czuła, że tego nie wytrzyma.



Dwudziestego szóstego listopada, w szary, jesienny dzień, ściemniło się wcześniej. Theresa ustawiła na stole świece i przysunęła Leonharda na wózku w miejsce, gdzie jadał. Z ingrediencji kupionych w domu handlowym KaDeWe zrobiła właśnie zupę rybną, którą dawniej lubił. W tej zupie, w groszku, w pieczeni sarniej, w musie czekoladowym, nawet w winie, był luminal, który bez kłopotu dostała ze względu na bóle brata. Podała mu ten barbituran w małych dawkach, nie chcąc, by go zwrócił. Sama nie jadła. Czekala.

Zdradzał już senność. Zawiozła go do łazienki i napuściła wody do dużej wanny. Rozebrała Leonharda, nie miał już siły złapać nowych uchwytów i wydźwignąć się do wanny. Sama też się rozebrała i weszła za nim do ciepłej wody. Siedział przed nią, głowę opierał na jej piersiach, oddychał spokojnie i równomiernie. Jako dzieci często tak siedzieli w wannie, bo Etta nie chciała marnować wody. Theresa trzymała teraz brata w objęciach, położyła głowę na jego ramieniu. Kiedy zasnął, pocałowała go w szyję i opuściła pod wodę. Zrobił głęboki wdech. Żadnej walki ze śmiercią - luminal odebrał Leonhardowi zdolność koordynacji. Płuca wypełniła mu woda, utonął. Leżał z głową między jej nogami, oczy miał zamknięte, a długie włosy unosiły się na powierzchni. Po dwóch godzinach Theresa wyszła z zimnej wanny, okryła

nieżywego brata ręcznikiem i zadzwoniła do mnie.



Przyznała się do winy, ale nie tylko. Przez prawie siedem godzin siedziała naprzeciw dwóch funkcjonariuszy dochodzeniowych i dyktowała do protokołu swoje życie. Rozliczała się. Zaczęła od dzieciństwa, a skończyła na śmierci brata. Nie pominęła niczego. Nie płakała, nie zasłabła, siedziała prosto jak świeca i mówiła w równym tempie, spokojnie, pełnymi zdaniami. Nie było potrzeby wtrącania pytań. Kiedy protokółantka drukowała jej zeznania, w pokoju obok zapaliliśmy papierosa. Powiedziała, że więcej nie będzie o tym mówić. „Nic więcej nie mam”, stwierdziła.

Oczywiście wydano nakaz aresztowania pod zarzutem zabójstwa. Prawie codziennie odwiedzałem ją w więzieniu. Sprowadzała sobie książki i zostawała w celi nawet, kiedy mogła stamtąd wyjść. Lektury były dla niej znieczuleniem. Kiedy się spotykaliśmy, nie chciała mówić o bracie. Nie obchodził też Theresy czekający ją proces. Woląa czytać mi wybrane w celi fragmenty z książek. Więzienne spotkania z literaturą. Lubilem jej ciepły głos, ale nie rozumiałem wtedy, że nie miała już innego sposobu ekspresji.

Dwudziestego czwartego grudnia byłem u niej do czasu, aż skończyła się pora odwiedzin, po czym drzwi z pancernego szkła zamknęły się za mną. Na dworze spadł tymczasem śnieg, panował spokój, było Boże Narodzenie. Theresę zaprowadzono z powrotem do celi, gdzie siadła przy stoliku i napisała list do ojca. Następnie podarła prześcieradło, ukręciła z niego sznur i powiesiła się na uchwycie okna.

Dwudziestego piątego grudnia do Tacklera zadzwoniła dyżurna prokurator. Po odłożeniu słuchawki otworzył sejf, wyjął rewolwer ojca, wsadził sobie lufę w usta i nacisnął spust.



Administracja więzienia przechowywała dobytek Theresy w depozycie. W naszym pełnomocnictwie do obrony zawiera się taki punkt, że możemy odbierać rzeczy będące własnością klientów. Któregoś dnia wymiar sprawiedliwości przysłał paczkę z jej ubraniem i książkami. Przekazaliśmy wszystko mieszkającej we Frankfurcie ciotce Theresy.

W jednej z tych książek, *Wielkim Gatsby* Francisca Scotta Fitzgeralda, na pierwszej stronie Theresa napisała moje nazwisko. Tę książkę zachowałem. Dwa lata przeleżała nietknięta w moim biurku, zanim potrafiłem ją znowu wziąć do ręki. Miejsca do przeczytania na głos miały niebieskie podkreślenia, a obok maleńkie nuty. Jedno miejsce tylko było zaznaczone kolorem czerwonym - ostatnie zdanie. Czytając je, ciągle słyszę głos Theresy:

*Tak oto dążymy naprzód, kierując łodzią pod prąd, który nieustannie znosi nas w przeszłość.*



## Jeź

Sędziowie w pokoju narad wkładali togi, jeden z ławników spóźnił się kilka minut, a strażnika musiał zastąpić inny, bo ten skarżył się na ból zęba. Oskarżony, zwalisty Libańczyk Walid Abou Fataris, milczał od samego początku. Świadkowie zeznawali, ofiara trochę wyolbrzymiała sprawę, oceniano materiał dowodowy. Rozprawa dotyczyła najzwyczajszego rabunku, za który przewidziano karę od pięciu do piętnastu lat. Wobec wcześniejszych wyroków oskarżonego, widniejących w centralnym rejestrze, sędziowie byli zgodni: dadzą mu osiem. Sprawstwo ani poczytalność nie budziły wątpliwości. Proces leniwie płynął sobie cały dzień. Bez żadnych sensacji - ale i nie było powodu, by jakichś oczekiwać.

Zrobiła się trzecia po południu, niedługo miał się skończyć dzień rozprawy głównej. Niewiele już było do roboty. Przewodniczący składu sędziowskiego spojrział na listę świadków. Do przesłuchania pozostał tylko Karim, jeden z braci oskarżonego. No tak, pomyślał sędzia, już my znamy te alibi od rodziny, i spojrział na niego znad okularów. Miał zresztą do tego świadka tylko jedno pytanie: czy mianowicie naprawdę utrzymuje on, że jego brat Walid był w domu, kiedy obrabowano lombard na Wartenstrasse. Sędzia postarał się je zadać Karimowi jak najprościej, dwa razy dopytał nawet, czy Karim aby zrozumiał.

Nikt nie przypuszczał, że tamten bąknie choćby słowo. Przewodniczący najpierw długo pouczał go, że brat oskarżonego ma prawo odmówić składania zeznań. Tak jest w ustawie. Wszystkich w tej sali, łącznie z Walidem i jego adwokatem, zaskoczyło to, że Karim chce zeznawać. Czekali teraz na jego odpowiedź, od której miała zależeć przyszłość brata. Sędziowie byli zniecierpliwieni, adwokat znudzony, a jeden z ławników ciągle patrzył na zegarek, bo chciał jeszcze zdążyć na pociąg do Drezna, ten o piątej. Mało

ważnych świadków sąd zostawia na koniec, tego przesłuchiowano ostatniego w całej rozprawie. Karim wiedział, co robi. Zawsze wiedział.

\*

Dorastał w rodzinie przestępców. Mówiło się, że jego wuj w Libanie zastrzelił sześć osób z powodu jednej skrzynki pomidorów. Każdy z braci Karima miał swoją listę wyroków, której odczytywanie na procesach trwało nieraz do pół godziny. Figurowały tam kradzieże, rozboje, oszustwa, wymuszenia rozbójnicze i fałszywe zeznania. Nie skazano ich jeszcze tylko za morderstwo ani zabójstwo.

W tej rodzinie kuzyni od pokoleń brali za żony kuzynki, a cioteczni bracia - siostry cioteczne. Kiedy Karim zaczął chodzić do szkoły, nauczyciele, wzdychając - no nie, jeszcze jeden Abou Fataris - traktowali go jak idiotę. Kazali sześciolatkowi siadać w ławce na końcu klasy, a pierwszy wychowawca oznajmił mu, że ma nie rzucać się w oczy, nie bić się z kolegami i milczeć. Więc Karim milczał. Szybko zdał sobie sprawę, czego nie wolno okazywać: że jest inny. Bracia go trzepali w głowę, bo nie rozumieli, co mówi. Koledzy - dzięki miejskiemu programowi integracji w osiemdziesięciu procentach obcokrajowcy - w najlepszym razie się natrzęsali, jak próbował im coś wytłumaczyć. Zwykle i oni go bili, kiedy wydał się za bardzo inny. Dlatego zarabiał na złe stopnie. Tylko to mu pozostało.

Gdy miał dziesięć lat, dzięki podręcznikowi ukradzionemu z biblioteki nauczycielskiej poznał stochastykę, rachunek różniczkowy i geometrię analityczną. Ale przy klasówkach obliczał, ile z tych śmiechu wartych zadań rozwiązać źle, by dostać niebudzący podejrzeń dostateczny z minusem. Czasami, kiedy natknął się w tej książce na problem jakoby nie do rozwiązania, miał wrażenie, że mózg mu pracuje na najwyższych obrotach. To były jego chwile szczęścia.

Jak wszyscy bracia, łącznie z dwudziestosześcioletnim najstarszym, Karim - którego ojciec umarł krótko po jego narodzeniu - mieszkał z matką. Ich mieszkanie w dzielnicy Neukölln miało sześć pokoi. Sześć pokoi na dziesięć osób. Jako najmłodszy dostał w przydziale graciarnię, gdzie był

sosnowy regał i świetlik z mleczną szybą. Można tam było znaleźć rzeczy, których nikt już nie chciał: miotły bez kijów, niemające pałaka wiadra, kable od urządzeń, których już nie było. Całymi dniami przesiadywał tam przed komputerem; matka sądziła, że Karim, jak jego silni bracia, zajmuje się grami wideo, tymczasem on czytał klasyków na stronie [gutenberg.de](http://gutenberg.de).

Mając dwanaście lat, po raz ostatni spróbował dorównać braciom. Napisał program, który przechytrzał zabezpieczenia elektroniczne banku pocztowego i z milionów kont dyskretnie potraçał setne części centa. Bracia nie zrozumieli, co im wręcza ten, jak go nazywali, „głupek”. Znów go trzepali w głowę, a płytę kompaktową z programem wywalili. Tylko Walid czuł, że Karim ich przerasta. Brał go w obronę przed bardziej ordynarnymi braćmi.

W wieku osiemnastu lat Karim rozstał się ze szkołą. Zadał o to, by ledwo ledwo zaliczyć ukończenie ostatniej, dziesiątej klasy - coś, czego dotąd nie osiągnął nikt w jego rodzinie. Pożyczył osiem tysięcy euro od Walida, który dał mu te pieniądze z chęcią, myśląc, że brat potrzebuje na handel narkotykami. Karim wiedział już o giełdzie na tyle dużo, że zaczął przez internet handlować na rynku walutowym. Przez rok zarobił prawie siedemset tysięcy euro. Wynajął niewielki apartament w zamożniejszej dzielnicy, co rano wychodził z rodzicielskiego mieszkania i poruszał się okrężnymi drogami tak długo, aż zyskał pewność, że go nikt nie śledzi. Umieblował swój azyl, nakupił książek matematycznych i spędzał czas na transakcjach giełdowych albo czytaniu.

Rodzina z zadowoleniem sądziła, że „głupek” handluje narkotykami. Oczywiście, jak na prawdziwego Abou Fatarisa był za drobny. W ogóle nie chodził na kick-boxing, ale przecież tak jak oni nosił złote łańcuszki, satynowe koszule w jaskrawych kolorach i skórzane kurtki z czarnej nappy. Mówił slangiem ludzi z Neukölln, a nawet zaskarbił sobie trochę szacunku, bo nigdy nie zgarnęła go policja. Bracia nie traktowali go serio. Gdyby ich zapytać o Karima, odparliby, że jest z rodziny i tyle. Poza tym nikt sobie nie zaprzętał nim głowy.

Nikt też nie domyślał się jego podwójnego życia. Ani tego, że skompletował zupełnie inną garderobę, ani że w szkole wieczorowej

śpiewająco zdał maturę i dwa razy w tygodniu słuchał wykładów matematycznych na politechnice. Miał niewielki majątek, płacił podatki i znalazł sobie ładną dziewczynę, która studiowała literaturoznawstwo i nic nie wiedziała o Neukölln.



Karim znał akta postępowania karnego przeciwko Walidowi. Dostali je do ręki wszyscy z rodziny, ale tylko on zrozumiał treść. Walid napadł właściciela lombardu, zrabował czternaście tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt euro i pognął do domu, by zapewnić sobie alibi. Ofiara zaalarmowała policję i dała dokładny rysopis sprawcy; obaj funkcjonariusze dochodzeniowi wiedzieli od razu, że to któryś Abou Fataris. Jednak tamci byli do siebie szalenie podobni - okoliczność, która już niejednego z nich uratowała. Żaden świadek na konfrontacji nie rozróżniał braci i nawet na filmach z kamer monitoringu nie bardzo się dało poznać, który to.

Tym razem policjanci byli szybcy. Walid po drodze ukrył łup i wyrzucił do Szprewy broń, dowód popełnienia przestępstwa, a kiedy policja wtargnęła do mieszkania, siedział sobie na kanapie i pił herbatę. Miał na sobie jasnozielony T-shirt ze świetlicie żółtym napisem FORCED TO WORK. Nie wiedział, co to znaczy - ale podobało mu się liternictwo. Policjanci zatrzymali Walida. Zważywszy na „wypadek niecierpiący zwłoki”, wyrządzili „szkody w związku z przeszukaniem”: pruli kanapy, wywalali szuflady na ziemię, przewracali szafy, a nawet, domyślając się kryjówek, odrywali od ścian cokoły podłogowe. Nic nie znaleźli.

Walid jednak pozostał w areszcie, bo właściciel lombardu od razu opisał jednoznacznie T-shirt napastnika. Obaj policjanci cieszyli się z jego złapania - wreszcie chociaż z jednym Abou Fatarisem na pięć lat będzie spokój.



Karim siedział na krześle dla świadków i spoglądał na ławę sędziowską. Wiedział, że kiedy zwyczajnie dostarczy bratu alibi, nikt nie uwierzy ani jednemu jego słowu. W końcu on też był z Abou Fatarisów, z rodziny, którą prokuratura zaliczała do recydywistów. Każdy tutaj oczekiwał, że Karim skłamię. Walid przepadłby wtedy w więzieniu na całe lata. Nie tędy droga.

Karimowi przypomniała się jego dewiza, zdanie Archilocha, który był synem niewolnika: „Lis wie wiele rzeczy, ale jeź jedną niemałą”. Prokuratorzy i sędziowie to może lisy, ale on jest jeżem i swoje umie.

Panie sędzio... - powiedział i zaszlochał.

Zdawał sobie sprawę, że to nikogo nie wzruszy. Mogło jednak wzbudzić większą ciekawość. Karim starał się jak mógł, by wyjść na głupka, ale wiarygodnego.

- Panie sędzio, Walid był cały wieczór w domu. - Dla efektu zrobił pauzę. Kątem oka zobaczył, że prokurator pisze zarządzenie, czyli wszczyna postępowanie w sprawie składania fałszywych zeznań.

- Tak, tak, cały wieczór w domu... - odpowiedział przewodniczący i pochylił się na krzesło. - Ale ofiara jednoznacznie Walida rozpoznała.

Prokurator pokręcił głową, a obrońca zagłębił się w akta.

Swego czasu Karim widział w tych aktach zdjęcia z konfrontacji. Czterej policjanci wyglądający jak policjanci - blond wąsik, szaszetka u pasa, sportowe buty. I Walid - wyższy o głowę i dwa razy szerszy, śniady, w zielonym T-shircie z żółtym napisem. „Jednoznacznie” go jakoby rozpoznała półślepa dziewięćdziesięcioletnia pani, która nie była przy samym zdarzeniu.

Karim znowu zaszlochał i wytarł nos rękawem. Coś niecoś na nim zostało. Popatrzył na rękaw i odpowiedział:

- Nie, to nie był Walid. Pan sędzia mi uwierzy, proszę.

- Powtarzam pouczenie: jak już świadek zeznaje, to niech mówi prawdę.

- Przecież ja mówię prawdę.

- Grożą świadkowi ciężkie kary, może świadek pójść do więzienia - odparł sędzia, chcąc to pouczenie dostosować do poziomu Karima. - Bo skoro nie Walid - dodał - to któżby inny? - Spojrzał po sali, prokurator się uśmiechał.

- No, któżby inny? - powtórzył prokurator. Przewodniczący skarcił go spojrzeniem, teraz on zadawał pytania.

Karim starał się odczekać jak najdłużej. W myślach policzył do pięciu i powiedział:



- Imad.

- Co proszę? Co świadek ma na myśli, mówiąc „Imad”?

- Że to był Imad, nie Walid - odparł Karim.

- A któż to taki ów Imad?

- Mój brat, tylko że inny - odpowiedział - Karim.

Przewodniczący patrzył na niego ze zdumieniem i nawet obrońca się nagle ocknął. Wszyscy sobie zadawali pytanie: „Czyżby jeden z Abou Fatarisów naruszył zasady i obciążył kogoś z własnej rodziny?”.

- Ale Imad poszedł, zanim przyjechała policja - dodał Karim.

- Naprawdę? No tak. - Przewodniczący zaczął być zły. Co za głupie gadanie, pomyślał.

- Dał mi jeszcze to. - Karim zdawał sobie sprawę, że nie wystarczy samo zeznanie, i już na wiele miesięcy przed procesem zaczął ze swoich kont podejmować rozmaite sumy. Teraz w szarej kopercie tkwiły takie same nominały jak te zrabowane przez Walida. Karim wręczył pieniądze przewodniczącemu.

- Co jest w środku? - spytał sędzia.

- Nie wiem.

Sędzia rozdarł kopertę i wyjął banknoty. Nie przejmował się odciskami palców, ale i tak by żadnych nie znalaziono. Powoli i głośno przeliczył:

- Czternaście tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt euro. I to właśnie dał świadkowi Imad wieczorem siedemnastego kwietnia?

- Tak, panie sędzio, tak było.

Przewodniczący zastanowił się. Po chwili, z szyderczą nutą w głosie, zadał pytanie, które miało tego Karima przygwoździć:

- Czy świadek pamięta, jakie ubranie miał na sobie Imad, dając świadkowi tę kopertę?

- Yyy yyy, zaraz, zaraz...

Ulga na ławie sędziowskiej. Przewodniczący odchylił się w krześle.

Teraz powoli, pauza, rób na siłę przerwy, pomyślał Karim i odparł:

- Dżinsy, czarną skórzaną kurtkę, T-shirt.

- Jaki T-shirt?

- Oj, tego to już naprawdę nie pamiętam.

Przewodniczący z satysfakcją popatrzył na sędziego sprawozdawcę, który później zapisze wyrok. Kiwnęli porozumiewawczo głowami.

- Yyy... - Karim drapał się po głowie. - Owszem, pamiętam. Wszyscy mieliśmy te T-shirty od wujka. Dostał je bardzo tanio i dał nam w prezencie. Tam pisze coś takiego po angielsku, że musimy pracować, w tym stylu. Ale znaczy, na wesoło.

- Czy świadek ma na myśli T-shirt, w jakim jego brat Walid jest na zdjęciu? - Przewodniczący pokazał Karimowi fotografię zawartą w dokumentacji.

- Tak, tak, panie sędzio, dokładnie taki. Dostaliśmy ich bardzo dużo. Też mam taki na sobie. Ale na zdjęciu jest Walid, nie Imad.

- Owszem, to i ja wiem - odpowiedział sędzia.

- Mógłby świadek pokazać? - wtrącił prokurator.

Wreszcie, pomyślał Karim, i odpowiedział:

- Jak to pokazać? Przecież są w mieszkaniu.

- Nie, chodzi o ten, który świadek ma na sobie.

- Naprawdę pokazać?

- No, jazda - powiedział przewodniczący.

Kiedy także prokurator przytaknął, Karim wzruszył ramionami. Siłą się na flegmatyczność, rozpiął zamek błyskawiczny skórzanej kurtki i ją rozchylił. Miał taki sam T-shirt jak Walid na zdjęciu w aktach. W minionym tygodniu pojechał do dzielnicy Kreuzberg, w jednym z niezliczonych tamtejszych zakładów ksero zrobił dwadzieścia sztuk podkoszulka, rozdał je wszystkim braciom, a pozostałe zmagazynował u matki - na wypadek kolejnego przeszukania.

Przerwano rozprawę i wysłano Karima za drzwi. Wcześniej usłyszał jeszcze, jak sędzia mówi do prokuratora, że pozostaje tylko konfrontacja, nie ma innych środków dowodowych. Pierwsza runda wygrana, pomyślał.

Po wezwaniu Karima do sali spytano go, czy był karany. Odpowiedział, że nie, co też potwierdzał wyciąg z rejestru, sporządzony przez prokuraturę.

- Świadek zdaje sobie chyba sprawę - powiedział prokurator - że jego

zeznania obciążają Imada.

Karim skinął głową. Z zawstydzeniem patrzył na swoje buty.

- Dlaczego świadek to robi?

- N-no więc - Karim zaczął się nawet trochę jąkać - Walid to też mój brat. Ja jestem najmłodszy, oni ciągle mówią, że jestem głupek i w tym stylu. Ale Walid i Imad są obaj moimi braćmi. Pan sędzia rozumie? A kiedy to inny brat, nie może być tak, żeby Walid szedł do pudła za Imada. Najlepiej byłoby, żeby kto inny, znaczy, nie z rodziny, ale to brat. Znaczy, Imad. - Pora była zadać ostateczny cios, więc Karim ciągnął: - Panie sędzio, to naprawdę nie był Walid. Ale fakt, Walid i Imad wyglądają tak samo. Pan sędzia zobaczy. - Z wyświechtanej portmonetki wygrzebał pogniecione zdjęcie rodzinne ze wszystkimi dziewięcioma braćmi i podetknął je przewodniczącemu nieprzyjemnie blisko pod nos. Sędzia ze złością chwycił zdjęcie i położył na stole. - O, ten pierwszy to ja. Drugi to, panie sędzio, Walid, trzeci to Farouk, czwarty to Imad, piąty to...

- Czy możemy to zdjęcie zachować? - przerwał mu niemłody obrońca z urzędu, życzliwy adwokat, któremu cały ten przypadek przestał się nagle wydawać tak beznadziejny.

- Ale jak dostanę z powrotem, mamy tylko jedno. Zrobiliśmy je kiedyś dla ciotki Halimy w Libanie. Pół roku temu, znaczy, wszyscy bracia razem, rozumie pan? - Karim popatrzył, czy uczestnicy procesu rozumieją. - Żeby ciotka zobaczyła wszystkich. Ale potem nie wysłaliśmy, bo Farouk mówił, że źle wyszedł... - Karim spojrzał jeszcze raz na zdjęcie. - No bo źle wyszedł. On wcale nie...

Przewodniczący powstrzymał go gestem dłoni.

- Niech świadek wróci na swoje miejsce.

Karim siadł na krześle dla świadków i zaczął od nowa:

- No więc jeszcze raz, panie sędzio. Ten pierwszy to ja, drugi to Walid, trzeci to Farouk, czwarty...

- Dziękuję - odparł sędzia, który miał dosyć. - Zrozumieliśmy.

- Znaczy, ich wszyscy mylą, w szkole nauczyciele też mylili. Kiedyś na klasówce z fizy - ciągnął niewzruszenie Karim - a Walid był z fizy taki

kiepski...

- Dziękuję - powtórzył głośno sędzia.

- No nie, może opowiem, jak z tą fizą...

- Nie - odparł przewodniczący.

Karim, jako zwolniony świadek, wyszedł z sali.

Właściciel lombardu siedział na ławce dla publiczności. Wcześniej zeznawał już przed sądem, ale chciał jeszcze zobaczyć, jak zapada wyrok. W końcu był ofiarą. Teraz mu znowu kazano podejść do stołu sędziego i pokazano zdjęcie rodzinne. Jak rozumiał, chodziło o „numer dwa”, który trzeba rozpoznać. Powiedział - trochę za szybko, jak sam później uznał - że sprawca to „oczywiście ten drugi na zdjęciu”. Nie, nie, bez żadnych wątpliwości. To jest sprawca, jednoznacznie „numer dwa”. Sąd się trochę uspokoił.

Tymczasem pod drzwiami Karim się zastanawiał. Jak długo potrwa, zanim sędziowie zrozumieją całą sytuację? Przewodniczący, niewiele myśląc, postanowi jeszcze raz przesłuchać właściciela lombardu. Karim odczekał dokładnie cztery minuty i jeszcze raz, bez wezwania, wszedł do sali. Zobaczył, jak przy stole sędziowskim ofiara pochyła się nad zdjęciem - wszystko tak, jak on zaplanował. I teraz jak się nie rozgadał. Że o czymś jeszcze zapomniał. Żeby go jeszcze posłuchali, koniecznie, już tylko raz, króciutko. To bardzo ważna sprawa. Przewodniczący, który nie lubił takiego przerywania, rozdrażniony odparł:

- Co znowu?

- Przepraszam, zrobiłem błąd, głupi błąd, panie sędzio, bez sensu.

Karim znowu ściągnął na siebie uwagę całej sali. Wszyscy oczekiwali, że teraz cofnie zeznania obciążające Imada. Takie rzeczy ciągle się zdarzały.

- No więc, panie sędzio, na zdjęciu Imad to jest ten drugi. Walid nie jest drugi, tylko czwarty. Przepraszam, po prostu coś nie tak ze mną. Te wszystkie pytania i w ogóle. Przykro mi.

Przewodniczący pokręcił głową, właściciel lombardu poczerwieniał, obrońca patrzył z uśmiechem.

- Drugi, tak? - zapytał rozwścieczony sędzia. - Więc to drugi...

- Tak, tak, drugi. Wie pan, z tyłu napisaliśmy dla cioci, który jest który, bo ona, znaczy ciocia, w ogóle nas nie zna. Chciała kiedyś zobaczyć wszystkich, ale nie może przyjechać do Niemiec, no bo wiza i w ogóle. Ale nas jest tyłu braci. Panie sędzio, pan jeszcze odwróci zdjęcie. Widzi pan? Tam po kolei pisze, kto mająk na imię, tak jak to jest na zdjęciu. Więc kiedy dostanę zdjęcie z powrotem?



Po sprowadzeniu i dokładnych oględzinach zdjęć Imada z kartoteki fotograficznej sąd musiał uniewinnić Walida.

Imada aresztowano. Jednak - o czym Karim oczywiście wiedział - dzięki pieczętom przekroczenia granicy mógł on wykazać, że w czasie gdy popełniono przestępstwo, był w Libanie. Po dwóch dniach go wypuszczono.

W końcu prokuratura wszczęła postępowanie przeciwko Karimowi pod zarzutem składania fałszywych zeznań i pomówienia Walida. Karim opowiedział mi tę historię i postanowiliśmy, że teraz będzie milczał. Również jego bracia, jako bliscy krewni, zrobili użytek z prawa do odmowy zeznań. Prokurator wyczerpał środki dowodowe. W końcu wobec Karima pozostało tylko uzasadnione podejrzenie. Trafnie przewidział, że nie można go będzie oskarżyć. Za dużo było innych możliwości, na przykład Walid mógł dać pieniądze Imadowi albo któryś z innych braci pojechał na paszport Imada - ot, oni wszyscy byli do siebie bardzo podobni.

Oczywiście znowu trzepali Karima w głowę. Nie zrozumieli, że uratował Walida i wygrał z wymiarem sprawiedliwości.

Karim milczał. Pamiętał o jeżu i lisie.



## Szczęście

Rozbierając się, jej klient, polityk z dwudziestopięcioletnim stażem, opowiadał, jak się wspinał po szczeblach kariery. Jak na początku rozlepił plakaty, wygłaszał przemówienia na zapleczach małych lokali, pozyskiwał sobie wyborców w okręgu, a teraz, jako poseł, już przez trzecią kadencję utrzymuje pozycję w środku listy wyborczej. Mówił, że ma wielu przyjaciół, a nawet przewodniczy parlamentarnej komisji śledczej. Oczywiście, nie jakiejś ważnej komisji, ale jednak. Stał przed nią w białym. Irina nie wiedziała, co to parlamentarna komisja śledcza.

Ten otyły mężczyzna czuł, że mu w jej pokoju za ciasno. Pocił się. Dzisiaj był zmuszony załatwić tę sprawę rano, o dziesiątej miał posiedzenie. Dziewczyna twierdziła, że nie ma problemu. Teraz łóżko się okazało schludne, a ona ładna. Nie więcej niż dwudziestolatka, piękne piersi, pełne usta, co najmniej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Jak większość tych dziewczyn z wschodniej granicy, miała za mocny makijaż. Otyły mężczyzna to lubił. Wyjął z portfela siedemdziesiąt euro i usiadł na łóżku. Najpierw jednak starannie rozwiesił ubranie na krześle, zależało mu, żeby nie ucierpiał kant spodni. Zdjęła mu majtki, podgarnęła fałdy tłuszczu na brzuchu. Widział już tylko włosy dziewczyny i wiedział, że ona się napracuje. Trudno, od tego jest, pomyślał i opadł na łóżko. Ostatnim, co poczuł, było ukłucie w piersi; chciał unieść ręce i powiedzieć, żeby przestała, ale mógł już tylko charczeć.

Irina rozumiała ten charkot jako wyraz aprobaty i jeszcze parę minut robiła swoje, aż zauważyła, że mężczyzna umilkł. Podniosła wzrok. Głowę miał przekręconą na bok, oczy wywrócone do sufitu, ślina pociekła na poduszkę. Krzyknęła na niego, a kiedy wciąż się nie ruszał, przyniosła z kuchni szklankę wody i chlusnęła mu w twarz. Ani drgnął. Miał ciągle

jeszcze skarpetki na nogach. Nie żył.



Irina mieszkała w Berlinie od półtora roku. Wolałaby żyć dalej u siebie, w kraju, gdzie chodziła do przedszkola i szkoły, gdzie mieszkali przyjaciele i rodzina i gdzie mówiła swoim językiem. Pracowała tam swego czasu jako krawcowa, miała ładne mieszkanie, było w nim wszystko - meble, książki, płyty kompaktowe, rośliny, albumy ze zdjęciami, czarno-biały kot, co się przyplątał. Cieszyła się, że całe życie przed nią. Projektowała modę damską, uszyła kilka sukni i dwie nawet sprzedała. Marzyła o otwarciu małego butikku przy głównej ulicy.

Ale w jej kraju była wojna.

Któregoś weekendu Irina pojechała na wieś do brata. Dzięki temu, że przejął gospodarstwo po rodzicach, był zwolniony z wojska. Namówiła go, żeby poszli nad jeziorko graniczące z obejściem. W popołudniowym słońcu siedzieli na pomoście, opowiadała mu o swoich planach i pokazała zeszyt z nowymi wykrojami. Ucieszył się, objął ją ramieniem.

Kiedy wrócili, w obejściu stali ci żołnierze. Brata zastrzelili, ją zgwałcili. W tej kolejności. Było ich czterech. Jeden, leżąc na Irinie, splunął jej w twarz. Nazwał ją kurwą i walnął po oczach, potem się już nie broniła. Kiedy poszli, leżała dalej na kuchennym stole. Owinęła się w czerwono-biały obrus i zamknęła oczy. Miała chęć je zamknąć na zawsze.

Nazajutrz rano znowu poszła nad jezioro. Myślała, że łatwo jest się utopić z własnej woli - a nie udało się. Kiedy wypłynęła na powierzchnię, gwałtownie otworzyła usta, jej płuca wypełnił tlen. Naga stała w wodzie, poza nią były tylko drzewa na brzegu, sitowie i niebo. Nagle krzyknęła. Krzyczała, aż jej brakło sił, chciała zakrzyczeć śmierć, samotność i ból. Wiedziała, że przeżyje, ale wiedziała też, że to już nie jej kraj.

Tydzień później pochowała brata. Grób był zwyczajny, z drewnianym krzyżem. Pop mówił coś o winie i przebaczeniu, tymczasem burmistrz patrzył w ziemię i zaciskał pięści. Dała najbliższym sąsiadom klucze do gospodarstwa, podarowała im tych parę sztuk bydła i wszystko, co było w domu. Wzięła torebkę, niewielką walizkę i pojechała autobusem do stolicy.

Nie spoglądała za siebie. Zeszyt ze szkicami zostawiła.

Na ulicach i w lokalach dopytywała o pośredników, którzy by ją mogli przemycić do Niemiec. Tamten okazał się sprawny. Wziął wszystkie pieniądze, jakie miała. Wiedział, że Irina chce bezpieczeństwa i za to zapłaci; dużo było takich jak ona, nieźle na nich można było zarobić.

Razem z innymi kobietami pojechała na zachód mikrobusem. Po dwóch dniach zatrzymał się na polanie. Wysiedli wśród nocy i ruszyli przed siebie. Mężczyzna, który szedł przodem przez potoki i bagna, mówił niewiele. Kiedy już nie miały siły, powiedział, że są w Niemczech. Inny mikrobus zawiózł je do Berlina. Przystanął gdzieś na skraju miasta, był ziąb i mgła, Irina czuła zmęczenie, ale myślała, że teraz jest bezpieczna.

W następnych miesiącach poznała inne kobiety i mężczyzn z jej stron. Opowiadali jej o Berlinie, o urzędach i prawach. Potrzebowała pieniędzy. Nie mogła w Niemczech legalnie pracować ani nawet przebywać. W tych pierwszych tygodniach pomogły jej kobiety. Stała na Kurfürstenstrasse, uczyła się cen za stosunek oralny i waginalny. Własne ciało było już jej obce, używała go jak narzędzia, chciała żyć dalej, chociaż nie wiedziała po co. Przestała czuć samą siebie.

\*

Siedział codziennie na chodniku. Widywała go, kiedy dosiadała się do mężczyzn w samochodach, widywała, kiedy co rano wracała do domu. Stawiał przed sobą plastikowy kubek, do którego ludzie czasem rzucili byle pieniądze. Przyzwyczyła się do jego widoku, był tutaj zawsze.

Kiedy nastąpiła zima, Irina przyniosła mu koc z second handu. Ucieszył się. „Jestem Kalle”, powiedział i kazał usiąść na kocu swojemu psu. Owinął go i podrapał za uszami, a sam z powrotem usiadł na kilku gazetach. Miał na sobie cienkie spodnie i marzył, ogrzewając psa. Irinie drżały nogi, czym prędzej poszła dalej. Za rogiem siadła na ławce, podkuliła kolana i schowała głowę. Miała dziewiętnaście lat, a od roku nikt jej nie objął. Od tamtego popołudnia w starym kraju pierwszy raz się rozplakała.

Kiedy jego psa przejechał samochód, stała po drugiej stronie ulicy. W zwolnionym tempie zobaczyła, jak Kalle przebiegł ulicę i padł przed tym



samochodem na kolana. Podniósł psa. Kierowca krzyczał za Kallem, ale on, z psem w ramionach, szedł środkiem ulicy. Nie odwracał się. Irina pobiegła za nim, rozumiała jego ból, i nagle zdała sobie sprawę, że dzielą taki sam los. Razem pochowali psa w parku, Irina trzymała Kallego za rękę.

Tak się wszystko zaczęło. W pewnej chwili postanowili, że spróbują razem. Irina wyprowadziła się z obskurnego pensjonatu, znaleźli jednopokojowe mieszkanie, kupili pralkę, telewizor i po kolei resztę rzeczy. Było to pierwsze mieszkanie Kallego. Odkąd mając szesnaście lat, zwiął z domu, żył na ulicy. Irina strzygła mu włosy, kupiła T-shirty, swetry, kilka par spodni i dwie pary butów. Znalazł robotę przy roznoszeniu prospektów, a wieczorami też pracował - jako podkuchenny.

Mężczyźni przychodzili teraz do ich mieszkania, Irina nie musiała już wychodzić na ulicę. Kiedy rano obydwójce zostawali sami, wyjmowali z szafy pościel, kładli się i trzymali wzajemnie w uścisku. Nadzy, wtuleni w siebie, leżeli nieruchomo i cicho, jedno słuchało tylko oddechu drugiego, i nie dopuszczali do siebie świata. O przeszłości nie mówili nigdy.

Irina złąkała się nieżywego grubasa, złąkała się, że ją zamkną w areszcie deportacyjnym i wydalą. Woląca pójść do przyjaciółki i tam poczekać na Kallego. Wzięła torebkę i zbiegła po schodach. Zapomniała zabrać z kuchni telefon komórkowy.

Kalle jak każdego ranka pojechał rowerem z przyczepką do dzielnicy przemysłowej, ale ten, co przydzielał pracę, akurat nic dla niego nie miał. Żeby wrócić do domu, Kalle potrzebował trzydziestu minut. Wjechał windą na górę. Wydawało mu się, że słyszy, jak na schodach stukoczą buty Iriny. Kiedy otwierał drzwi mieszkania, ona była na dole, wyszła z domu i skierowała się na przystanek autobusowy.

Kalle, siedząc na jednym z dwóch drewnianych krzesel, wpatrywał się w nieżywego grubasa i jego świetlicie biały podkoszulek. Na podłodze leżały bułki, które właśnie przyniósł. W ten letni dzień w pokoju było ciepło.

Próbował zebrać myśli. Irina pójdzie do więzienia, a potem każą jej wracać do kraju. Może grubas ją bił, ona nic nie robi bez powodu. Kalle przypomniał sobie dzień, kiedy pojechali pociągiem na wieś. W letnim

skwarze leżeli na łące, a Irina wyglądała jak dziecko. Był wtedy szczęśliwy, a teraz miał wrażenie, że za to płaci. Pomyślał też o swoim psie. Czasami chodził do parku w to miejsce, by zobaczyć, czy się coś zmieniło.

Pół godziny później żałował swojego pomysłu. Był rozebrany do majtek, a jego pot mieszał się z krwią w wannie. Najpierw torbą plastikową zasłonił mężczyźnie głowę, nie chciał na nią patrzeć w trakcie tego. Źle robił, usiłując początkowo przepiłować kość. Wreszcie przypomniał sobie, jak się rozkrawa kurczaki, i wykręcił grubasowi rękę z barku. Poszło lepiej, wystarczyło przeciąć mięśnie i włókna. W pewnej chwili na żółtych płytkach posadzki leżało już ramię, z ciągle przypiętym zegarkiem. Kalle odwrócił się do muszli klozetowej i po raz kolejny zwymiotował. Napuścił wody do umywalki, zanurzył w niej głowę i przepłukał usta. Woda była zimna, zęby od niej bolały. Zapatrzył się w lustro, nie wiedząc, czy sam stoi przed nim, czy za nim. Żeby on się poruszył, musiał się poruszyć mężczyzna w głębi. Woda przelała się przez krawędź umywalki, chlusnęła mu na stopy i wtedy Kalle się ocknął. Z powrotem ukląkł na podłodze i sięgnął po piłę.

Trzy godziny później, już po odcięciu wszystkich kończyn, nakupił w sklepie spożywczym czarnych worków na śmieci. Kasjerka dziwnie na niego patrzyła. Kalle próbował nie myśleć, co zrobi z głową - z nią się nie udało. Jak zostanie na karku, to się facet nie zmieści na przyczepce, pomyślał, po prostu nie dam rady. Wyszedł ze sklepu, na chodniku rozmawiały dwie panie domu, niedaleko przejechał pociąg szybkiej kolei miejskiej, na jezdni jakiś chłopak dryblował jabłkiem. Kalle wpadł we wściekłość.

- Przecież nie jestem mordercą - powiedział głośno, mijając matkę z dzieckiem w wózku. Spojrzała za nim.

Solidnie się spał. Od rękojeści piły rozplątncy odpadła z jednej strony okładzina, zaciął sobie palce. Poryczał się jak dziecko, pod nosem robiły mu się bąbelki, piłował z zamkniętymi oczami. Ryczał i piłował, ryczał i piłował. Pod pachą ścisnął głowę grubasa, co chwila nie mogąc jej utrzymać, plastikowa torba zrobiła się śliska. Kiedy wreszcie odciął głowę od tułowia, zdziwiło go, jaka ciężka. Jak worek węgla do grilla, stwierdził i zdziwił się, czemu akurat to mu przyszło na myśl. Jeszcze nigdy nie grillował.

Zawłókł największy worek do windy i zablokował nim automatyczne drzwi. Poszedł po resztę. Worki trzymały, ten na kadłub włożył jeszcze w drugi. Wprowadził przyczepkę od roweru na klatkę schodową, nikt mu się nie przyglądał. Czarnych worków na śmieci było cztery. Tylko ramiona musiał wcisnąć do plecaka, przyczepka była pełna i mogłyby wylecieć.

Miał na sobie świeżą koszulę. Do parku potrzebował dwudziestu minut. Pomyślał o głowie, o rzadkich włosach i o ramionach. Poczuł na plecach palce grubasa. Były mokre. Przewrócił się na rowerze, pociągnął za sobą plecak i padł na trawę. Czekał na to, że ludzie podbiegną z krzykiem, ale tak się nie działo. W ogóle nie działo się nic.

Leżał sobie, patrzył w niebo i czekał.

Zakopał całego grubasa w parku. Trzonek łopaty złamał się, Kalle klęczał i trzymał w dłoniach jej metalową część. Wepchnął wszystko do dołu, oddalonego zaledwie o parę metrów od tego z martwym psem. Nowy dół był za płytki, Kalle musiał te worki dopiero wdeptać. Tymczasem już ubabrał świeżą koszulę, palce miał czarne i zakrwawione, swędziała go skóra. Resztki łopaty wrzucił do kosza na śmieci i prawie godzinę przesiedział na parkowej ławce. Patrzył, jak studenci grają we frisbee.

\*

Kiedy Irina wróciła od przyjaciółki, łóżko było puste. Na krześle ciągle jeszcze wisały marynarka i poskładane spodnie grubasa. Zajrzała do łazienki i gwałtownie zasłoniła usta, byle nie krzyknąć. Zrozumiała od razu: Kalle próbował ją uratować. Policja go znajdzie. Pomyślała, że zabił tamtego. Ci Niemcy wykrywają każde morderstwo, nic tylko to pokazują w telewizji, pomyślała. Kalle pójdzie do więzienia. W marynarce grubasa bez przerwy dzwoniła komórka. Irina wiedziała, że musi działać.

Poszła do kuchni i zadzwoniła na policję. Funkcjonariusze nie bardzo rozumieli, co mówi. Przyjechali, zajrzeli do łazienki, po czym Irina została zatrzymana. Na pytanie o zwłoki nie umiała odpowiedzieć. Co chwila mówiła, że grubas umarł „normalnie”, że „serce kaputt”.

Oczywiście funkcjonariusze jej nie wierzyli. Kiedy Irinę w kajdankach wprowadzano z domu, przejeżdżał tamtędy Kalle. Spojrzała na niego i

pokręciła głową. Nie zrozumiał, zeskoczył z roweru i podbiegł do niej. Potknął się. Jego też policjanci zatrzymali. Później mówił, że to w porządku, bez Iriny i tak by nie miał co ze sobą zrobić.



Kalle milczał. Umiał milczeć, a więzienie było mu niestraszne. Trafiał tam nieraz - włamania i kradzieże. Usłyszał w więzieniu o mnie i poprosił, żebym się podjął jego obrony. Chciał wiedzieć, co będzie z Iriną, własny los go nie obchodził. Powiedział, że nie ma pieniędzy i żebym się zajął jego dziewczyną.

Kallego mogło ocalić złożenie zeznań, ale trudno go było przekonać. Ciągle tylko pytał, czy nie zaszkodzi tym Irinie. Ścisnął mnie za przedramiona, drżał, powtarzał, że nie chce zrobić błędu. Uspokajałem go i obiecywałem, że znajdę adwokata dla Iriny. W końcu się zgodził zeznawać.

Zaprowadził funkcjonariuszy do dołu w parku i stał przy nich, kiedy wykopywali grubasa i sortowali części ciała. Pokazał też policjantom miejsce, gdzie był pochowany pies. Zaszło nieporozumienie, psa też wykopali i spojrzeli na Kallego pytająco.

Lekarze medycyny sądowej stwierdzili, że wszystkie rany zadano dopiero po śmierci. Zbadali serce grubasa, nie było wątpliwości, że umarł na zawał. Podejrzenie zabójstwa się rozwiało.

Na koniec oskarżenie ograniczyło się do samego poćwiartowania. Prokurator rozważał zarzut o znieważenie zwłok. Prawo zabrania wybryków ze zwłokami, a pociąć je piłą i zakopać to, jak powiedział prokurator, wielki wybryk.

Miał rację. Ale nie to było ważne. Liczy się tylko, do czego oskarżony zmierza. Celem Kallego było uratowanie Iriny, a nie zbezczeszczenie zwłok. „Wybryk z miłości”, powiedziałem. Przedłożyłem orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, które oddawało sprawiedliwość Kallemu. Prokurator uniósł brwi, ale zamknął akta.

Uchylono nakazy aresztowania i wypuszczono obydwójce. Irina z pomocą adwokatki wystąpiła o azyl i pozwolono jej na razie zostać w Berlinie. Nie trafiła do aresztu deportacyjnego.

\*

Siedzieli obok siebie na łóżku. W szafie podczas przeszukania wyłamał się zawias w jednym skrzydle drzwi, wisiały teraz krzywo. Poza tym nic się nie zmieniło. Irina trzymała Kallego za rękę, wyglądali za okno.

Teraz musimy się zająć czym innym - powiedział Kalle. Irina skinęła głową, myśląc sobie, że mieli szczęście.



## Summertime

Consuela pomyślała, że będą urodziny wnuka i dzisiaj musi dla niego kupić tę konsolę do gier. Pracowała tego dnia od siódmej. Robota pokojowej była męcząca, ale dawała bezpieczeństwo, bardziej niż większość tych, które się jej wcześniej trafiały. Hotel płacił trochę ponad stawki układu zbiorowego, był pierwszym adresem w mieście.

Miała do sprzątnięcia już tylko numer 239. Spojrzała na zegarek i wpisała godzinę na listę czynności. Płacono jej od pokoju, ale dyrekcja hotelu zażądała, by prowadzono taką listę. A Consuela robiła wszystko, czego sobie dyrekcja zażyczyła. Nie chciała stracić tej pracy. Zanotowała na kartce „15.26”.

Nacisnęła guzik dzwonka. Nikt nie otwierał, i znowu po odczekaniu chwili zapukała. Odblokowała elektryczny zamek, uchyliła drzwi na szerokość dłoni. Tak jak ją nauczono, powiedziała głośno:

- Sprzątanie!

Nie słysząc odpowiedzi, weszła.

Apartament, utrzymany w ciepłych brązach, miał trzydzieści pięć metrów kwadratowych powierzchni, ściany obite beżową tkaniną, parkiet przykryty jasnym dywanem. Pościel była zmierzwiona, na stoliku nocnym stała otwarta butelka wody. Między dwoma pomarańczowymi szezlongami leżała naga młoda kobieta - Consuela zobaczyła jej piersi; stąd, gdzie stała, głowy nie było widać. Na skraju jasnego dywanu krew, która wsiąkła w wełniane włókna, tworzyła poszarpany wzór. Consuela wstrzymała oddech, serce jej waliło. Ostrożnie podeszła dwa kroki, chcąc koniecznie zobaczyć twarz kobiety. Krzyknęła. Przed nią leżała brudno-krwista maź złożona z kości, włosów i oczu, przy rozbitej głowie część mózgu białawymi odpryskami znaczyła ciemny parkiet, a ciężka lampa żeliwna, którą

Consuela codziennie odkurzała, zbroczone krwią sterczała z twarzy.



Abbas czuł ulgę, po tym jak się właśnie ze wszystkiego wypowiadał. Obok niego, w tym jej małym mieszkaniu siedziała Stefanie i płakała.

Wyrastał w Szatili, bejruckim obozie dla Palestyńczyków. Place zabaw miał wśród baraków z drzwiami z blachy falistej, wśród pięciopiętrowych domów podziurawionych kulami i wiekowych samochodów z Europy. Dzieci nosiły dresy i T-shirty z zachodnimi napisami, pięcioletnie dziewczynki mimo upału miały na głowach chusty i jadło się tam ciepły chleb pakowany w cienki papier. Abbas urodził się w cztery lata po wielkiej masakrze, kiedy to chrześcijańska milicja libańska okaleczyła i zabiła setki ludzi, kiedy gwałcono kobiety i strzelano nawet do dzieci. Ofiar nikt później nie zdołał zliczyć, strach już nie mijał. Czasami Abbas kładł się na gliniastej ziemi swojej ulicy. Próbował porachować rozpięte między domami kable elektryczne i telefoniczne, których płątanina przecinała niebo.

Rodzice zapłacili za jego przemycenie duże pieniądze, chcąc by on, wówczas siedemnastoletni, miał w Niemczech przyszłość. Oczywiście nie dostał azylu, a władze nie dały mu pozwolenia na pracę. Żył z państwowych zapomóg, czego innego mu zabroniono. Nie mógł iść do kina, nie mógł do McDonalda, nie miał ani konsoli do gier, ani komórki. Języka uczył się na ulicy. Był ładny, ale nie miał dziewczyny, nawet nie byłby w stanie żadnej zaprosić na obiad. Miał tylko siebie. Siedział beczynnym, przez dwanaście miesięcy rzucał kamieniami do gołębi, oglądał telewizję w ośrodku dla azylantów i łąził wzdłuż wystaw sklepowych na Ku'dammie. Umierał z nudów.

W pewnej chwili zaczął robić drobne włamania. Złapano go, a po trzecim upomnieniu sędziego do spraw nieletnich odbył swój pierwszy areszt. To był kapitalny czas. W więzieniu znalazł wielu nowych przyjaciół, a kiedy go wypuszczono, co do pewnych rzeczy miał już jasność. Powiedzieli mu, że dla takich jak on - a takich tam było wielu - istnieje tylko handel narkotykami.

Sprawa była prościutka. Zatrudnił go pewien większy diler, który sam już nie wychodził na ulicę. Miejscem Abbasa była jedna ze stacji szybkiej kolei

miejskiej, dzielił je z dwoma innymi. Najpierw był tylko „bunkrem”, ludzkim sejfem na narkotyki. Zapakowane porcje trzymał w ustach. Drugi prowadził rozmowy z nabywcami, trzeci brał pieniądze. Nazywali to „pracą”.

Ćpuni chcieli „brązowe” albo „białe”, płacili banknotami po dziesięć albo dwadzieścia euro, które ukradli, wyżebrali lub zarobili prostytutką. Handel szedł szybko. Czasami kobiety proponowały dilerom swoje ciało. Kiedy jeszcze któraś była ładna, Abbas ją zabierał. Z początku go to ciekawiło, bo dziewczyny robiły wszystko, czego zażądał. Ale po jakimś czasie zaczęła mu przeszkadzać pożądlivość w ich oczach - nie chciały Abbasa, tylko narkotyków w jego kurtce.

Kiedy się zbliżali policjanci, musiał wiać. Szybko uczył się, po czym ich poznać - nawet w cywilu mieli na sobie uniformy: adidasy, szaszetki u pasa, kurtki do bioder. Wszyscy byli jak od jednego fryzjera. A biegnąc, Abbas połykał celofanowe torebki. Kiedy zdążył je w siebie wepchnąć, zanim go dostali, trudno było coś udowodnić. Czasami podawali mu środki wymiotne, siadali obok i czekali, aż zwróci torebki do sita. Czasami któryś z jego nowych przyjaciół umierał, kwasy żołądkowe rozpuszczały folię za wcześnie.

Interes był niebezpieczny, szybki i dochodowy. Abbas miał dzięki niemu pieniądze, i regularnie wysyłał rodzinie większe sumy. Przestał się już nudzić. Dziewczyna, którą od jakiegoś czasu kochał, miała na imię Stefanie. Poznał ją w dyskotecce, gdzie najpierw długo obserwował, jak tańczyła. A kiedy odwróciła się do niego, on, wielki diler, pan ulicy, poczerwieniał.

Oczywiście nie wiedziała nic o jego narkotykowych interesach. Rano zostawiał jej na lodówce listy miłosne. Przyjaciółom opowiadał, że kiedy Stefanie pije wodę, to widać, jak jej spływa przez gardło. Dziewczyna była mu domem, nic poza nią nie miał. Odczuwał brak matki, rodzeństwa i gwiazd nad Bejrutem. Myślał o tym, jak ojciec go spoliczkował tylko za to, że ze straganu z owocami ukradł, a miał wtedy siedem lat, jedno jabłko. „W naszej rodzinie nie ma przestępców”, powiedział ojciec. Poszedł z nim do sprzedawcy i zapłacił za to jabłko. Abbas marzył swego czasu, żeby zostać mechanikiem samochodowym. Albo malarzem pokojowym. Albo stolarzem. W ogóle kimś. Ale został dilerem narkotyków. A teraz nawet nim już nie



był...

Rok temu pierwszy raz pojawił się w salonie gier. Z początku odwiedzał go tylko z przyjaciółmi, oni się zgrywali, udawali Jamesa Bonda i wygłupiali się przed obsługującą tam ładną dziewczyną. Ale potem, chociaż go ostrzegano, chodził do salonu gier już sam. Te automaty go ciągnęły. W pewnej chwili zaczął z nimi rozmawiać, każdy miał inny charakter, stanowiły o jego losie jak bogowie. Wiedział, że to nałóg. Od czterech miesięcy tracił każdy dzień. Nawet we śnie słyszał melodię automatów, która obwieszczała wygraną. Nie mógł inaczej, nie mógł nie grać.

Przyjaciele nie brali go więcej do handlu narkotykami, był dla nich już tylko nałogowcem, podobnie jak kupujący od nich ćpuni. Kradłby pieniądze. Wiedzieli, jaka przed nim przyszłość, i Abbas wiedział, że mają rację. Ale i to nie było najgorsze.

Najgorszy był Danninger. Abbas kiedyś pożyczył od niego pieniądze, pięć tysięcy euro, a do zwrócenia miał siedem tysięcy. Danninger, życzliwy człowiek, mówił, że każdemu czasem bywa trudno. Abbas nie bał się, a to dlatego, że na pewno wkrótce ugra tyle, ile trzeba, automat nie da mu ciągle tylko przegrywać. Mylił się. W dniu spłaty przyjechał Danninger i podał mu rękę. A potem poszło bardzo szybko. Tamten wyjął z kieszeni obcęgi, Abbas zobaczył uchwyty, powleczone żółtym plastikiem, świecące w słońcu, a po chwili na krawężniku leżał mały palec jego prawej ręki. Kiedy Abbas wył z bólu, Danninger dał mu chusteczkę i opisał najkrótszą drogę do szpitala. Był nadal uprzejmy, ale powiedział też, że teraz dług urósł, jak Abbas za trzy miesiące nie odda dziesięciu tysięcy euro, to straci kciuk, i tak dalej aż po głowę. Że bardzo mu przykro, lubi Abbasa, fajny facet, ale są pewne zasady i nikt ich nie zmieni. Abbas ani przez chwilę nie wątpił, że on mówi serio.

Stefanie płakała bardziej nad palcem niż nad straconymi pieniędzmi. Nie wiedzieli, co zrobić. Ale grunt, że są we dwoje. I już jakiś sposób się znajdzie. Przez minione dwa lata znajdowali sposoby na wszystko. Powiedziała, że Abbas musi czym prędzej zacząć terapię. Ale to nie rozwiązywało kwestii finansowej. Stefanie postanowiła, że znowu weźmie pracę jako kelnerka. Z napiwkami dałoby to tysiąc osiemset euro

miesięcznie. Abbasowi nie podobało się, że znowu by pracowała w tym piwnym ogródku, na myśl o gościach był zazdrosny Ale inaczej się nie da, on nie wróci do handlu narkotykami, tamci by go tylko pobili i przegonili.

Po miesiącu jasne było, że w ten sposób nie zbiorą pieniędzy. Stefanie wpadła w desperację, chciała znaleźć jakiś sposób, bała się o Abbasa. Nie wiedziała nic o Danningerze, ale pamiętała, jak co dzień przez dwa tygodnie opatrywała Abbasowi dłoń.

Kochała go. Był inny niż chłopcy, jakich znała wcześniej, poważniejszy i dziwniejszy. Dobrze jej było z nim, choć przyjaciółki Stefanie miały jakieś głupie zastrzeżenia. A teraz ona coś dla niego zrobi, uratuje go. W tej myśli było nawet coś romantycznego.

Nie miała nic do sprzedania. Ale wiedziała, jaka jest ładna. I podobnie jak jej przyjaciółki, czytywała w miejskiej gazecie ogłoszenia towarzyskie i się z nich wyśmiewała. A teraz odpowie na któreś - dla Abbasa, dla ich miłości.

Spotykając się po raz pierwszy z tym mężczyzną w luksusowym hotelu, aż dygotała ze zdenerwowania. Zachowywała się chłodno, ale on był uprzejmy i wcale nie taki, jak sobie wyobrażała - nawet przystojny i zadbany. Wprawdzie brzydziło Stefanie to, jak jej dotykał i jak musiała go zaspokajać, ale w końcu dała sobie radę. Nie był inny niż mężczyźni, których znała przed Abbasem, tyle że starszy. Po wszystkim spędziła pół godziny pod prysznicem i myła zęby tak długo, aż jej zaczęły krwawić dziąsła. A teraz w puszcze na kawę leżało ukrytych pięćset euro.

Okutana w płaszcz kąpielowy, leżała na kanapie w swoim mieszkaniu. Wystarczy, że to zrobi parę razy, a już zbierze całe pieniądze. Pomyślała o mężczyźnie z hotelu. On żyje w innym świecie. Chciałby się z nią spotykać raz albo dwa w tygodniu i płacić po pięćset euro. Ona to jakoś wytrzyma. Była pewna, że nic się jej od tego nie stanie. Byle się Abbas nie dowiedział. Stefanie sprawi mu niespodziankę tymi pieniędzmi. Powie, że je dostała od cioci.

\*

Percy Boheim czuł zmęczenie. Wyglądał przez hotelowe okno. Była jesień, wiatr zrywał liście z drzew, słoneczne dni minęły i wkrótce Berlin

miał na dobrych pięć miesięcy zapaść w zimową szarość. Tamta studentka już sobie poszła. Miła dziewczyna, trochę nieśmiała, ale na początku wszystkie są takie. To jasno postawiona sprawa, biznes. Boheim płaci i dostaje za to seks, jakiego potrzebuje. Żadnej miłości, żadnego dzwonienia po nocy ani innych bzdur. Gdyby sobie za dużo pozwalała, on z tym skończy.

Boheim nie lubił prostytutek, raz przed laty próbował, brzydziły go. Pomyślał o swojej żonie. Melanie, szeroko znana ujeżdżaczka, jak wiele kobiet uprawiających ten sport żyła wyłącznie końmi. Była zimna, obydwój od dawna nie mieli sobie nic do powiedzenia, ale odnosili się do siebie uprzejmie i jakoś ułożyli wzajemne relacje. Widywali się niezbyt często. Wiedział, że nie zniosłaby jego studentek. A rozwód byłby mu teraz średnio na rękę, choćby ze względu na ich syna Benedykta. Trzeba jeszcze kilka lat poczekać, aż dorośnie. Benedykt kocha matkę.

Percy Boheim należał do czołowych w kraju przemysłowców; po ojcu odziedziczył większość akcji pewnego poddostawcy w branży samochodowej, zasiadał w wielu radach nadzorczych i był doradcą rządu do spraw gospodarczych.

Pomyślał o czekającym go przejęciu fabryki śrub w Alzacji. Odradzali to jego rewidenci. Ale oni się na niczym nie znają. Od dawna odnosił wrażenie, że rewidenci i adwokaci tylko stwarzają problemy, a nigdy ich nie rozwiązują. A może powinien po prostu wszystko sprzedać i pójść na ryby. Któregoś dnia tak zrobię, pomyślał, któregoś dnia, jak Benedykt wystarczająco podrośnie. Zasnął.

\*

Abbas był niespokojny, Stefanie zadawała ostatnio dziwne pytania. Czy on myśli czasem o innych dziewczynach, czy ona mu się jeszcze podoba, czy ją kocha. Dawniej nigdy nie pytała o nic takiego. Dotychczas była trochę niepewna w łóżku, a w relacji dominowała, teraz to się jakby odwróciło. Jak tylko się ze sobą przespali, tuliła się do niego jeszcze długo i nawet we śnie go obejmowała. To też było coś nowego.

Kiedy zasnęła, wstał i sprawdził jej telefon komórkowy. Kontrolował go już niejednokrotnie, a teraz był tam nowy kontakt: „P<sub>B</sub>”. Przebiegł myślą

wszystkich znajomych, nie nasunął mu się nikt o takich inicjałach. Przeczytał skrzynkę odbiorczą esemesów. „Środa 12.00 Parkhotel. Jak zawsze pokój 239”. Była to wiadomość od „P<sub>B</sub>”. Abbas poszedł do kuchni i usiadł na jednym z drewnianych krzeseł. Ze złości nie mógł złapać oddechu. „Jak zawsze”. Więc to nie był pierwszy raz. Jak ona mogła. W tej chwili, kiedy on przechodzi największy kryzys w życiu. Przecież ją kocha, Stefanie jest dla niego wszystkim, myślał, że przez to teraz przejdą razem. Nie mógł tego pojąć.

W pierwszą środę o dwunastej stanął przed Parkhotelem. Był to najlepszy hotel w mieście. I na tym właśnie polegał kłopot. Portier przy wejściu go nie wpuścił. Abbas nie miał mu tego za złe, nie za bardzo wyglądał jak gość hotelowy. Wiedział, że jego arabska powierzchowność budzi zastrzeżenia. Usiadł więc na ławce i czekał. Czekał ponad dwie godziny. Wreszcie Stefanie wyszła z hotelu. Ruszył naprzeciw, obserwując jej reakcję. Stefanie złękła się i poczerwieniała.

- Co ty tu robisz? - zapytała.

- Czekałem na ciebie.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - Zadawała sobie pytanie, co on może jeszcze wiedzieć.

- Szedłem za tobą.

- Szedłeś za mną? Czemu? Zwariowałeś?

- Masz innego, wiem o tym. - Miał łzy w oczach, złapał ją za ramię.

- Nie bądź śmieszny. - Wyrwała mu się i pobiegła przez plac. Czuła się jak bohaterka jakiegoś filmu.

Abbas biegł dwa kroki z tyłu, wreszcie dogonił ją i znowu chwycił.

- Stefanie, co robiłaś w tym hotelu?

Skupiła się. Tylko spokojnie, pomyślała.

- Staram się tutaj o robotę, płacą lepiej niż w piwnym ogródku. - Nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Oczywiście Abbas jej nie uwierzył. Pokłócili się głośno na tym placu, było to dla Stefanie niezręczne; on krzyczał, ona go odciągała. W pewnej chwili złagodniał. Pojechali do jej mieszkania. Abbas siedział przy kuchennym

stole, pił herbatę i milczał.



Mijały już dwa miesiące, odkąd Boheim spotykał się ze Stefanie. Pozbyła się w tym czasie nieśmiałości. Polubili się, może trochę za bardzo. Opowiedziała mu, że jej chłopak dwa tygodnie temu ją śledził. Boheim zaniepokoił się, zrozumiał, że musi z tym skończyć. To jest właśnie bez sensu w takich relacjach. Zazdrosny chłopak oznacza kłopoty.

Tego dnia spóźnił się, narada trwała długo. Włączył samochodowy telefon i wybrał numer Stefanie. Miło było słyszeć jej głos. Powiedział, że zaraz będzie. Ucieszona, stwierdziła, że jest już naga. Wjeżdżając do hotelowego garażu, rozłączył się. Powie jej, że to koniec. Najlepiej od razu, dzisiaj. Boheim nie był z tych, co się długo wahają.



Na biurku leżały otwarte akta. Tomów, oprawnych w czerwony karton jak zwykle przy sprawach karnych, było na razie dwa, ale zanosiło się, że ich przybędzie. Prokurator Schmied nie był zachwycony. Zamknął oczy i odchylił się w fotelu. Już tylko osiem miesięcy do emerytury, pomyślał. Od dwunastu lat kierował wydziałem śledczym w berlińskiej prokuraturze. I miał już dosyć. Jego ojciec pochodził z Wrocławia, Schmied czuł się Prusakiem do szpiku kości. Nie żywił nienawiści do przestępców, zwyczajnie należało do niego ich ściganie. Nie chciał żadnych więcej skomplikowanych przypadków, już lepiej parę prostych morderstw, dramatów rozgrywających się w rodzinach, łatwych do wyjaśnienia. Tylko proszę bez żadnych spraw, przy których by trzeba wszystko raportować szefowi prokuratury.

Przed Schmiedem leżał wniosek o tymczasowe aresztowanie Boheima. Prokurator ciągle go nie podpisywał. Wtedy się zaczęły cały ten obłąd z prasą, myślał. Już teraz brukowce rozpisywały się o nagiej studentce w wykwinnym hotelu. Schmied wyobrażał sobie, co będzie, kiedy prezes zarządu i główny udziałowiec zakładów Boheima trafi do aresztu. Rozpęta się piekło, a rzecznik prasowy prokuratury codziennie będzie dostawał nowe polecenia, co powiedzieć.

Prokurator westchnął i jeszcze raz sięgnął po notatkę służbową, którą napisał nowy kolega. Dobry fachman, trochę jeszcze zapaleniec, ale z czasem to minie.

Notatka starannie streszczała akta.

O piętnastej dwadzieścia sześć odnaleziono martwą Stefanie Becker. Jej głowę zmiażdżyły liczne ciosy, zadane z dużą siłą. Narzędziem popełnienia przestępstwa był żeliwny stojak od lampy, który należał do standardowego wyposażenia pokoju. Uderzenie tępym narzędziem, jak się na to mówi w medycynie sądowej.

Ostatnią osobą, która dzwoniła na telefon komórkowy ofiary, był Percy Boheim. Nazajutrz po przestępstwie odwiedzili go w berlińskim biurze dwaj funkcjonariusze z wydziału zabójstw. „To tylko parę rutynowych pytań”, powiedzieli. Boheim poprosił firmowego adwokata, by asystował przy rozmowie. W raporcie policyjnym napisano, że poza tym wykazywał zupełną obojętność. Pokazano mu zdjęcie zabitej, oświadczył, że nie zna tej dziewczyny. Połączenie telefoniczne tłumaczył pomyłką, lokalizację sygnału telefonu - faktem, że przejeżdżał obok hotelu. Policjanci zaprotokołowali jego zeznania od razu w biurze Boheima. Przejrzał je i podpisał.

W tym czasie wiadomo już było, że tamta rozmowa ze Stefanie trwała prawie minutę, o wiele za długo jak na pomyłkę. Policjanci mu tego jednak nie wytknęli. Jeszcze nie. Nie zdradzili też, że jego nazwisko zachowane zostało wśród „Kontaktów” w telefonie zabitej. Boheim ściągnął na siebie podejrzenia.

Dzień później przyszła ocena zabezpieczonych śladów, we włosach i na skórze zabitej były ślady spermy. W bazie danych nie znaleziono tego kodu DNA. Poproszono Boheima, by dobrowolnie oddał próbkę śliny. Błyskawicznie ją zbadano - DNA zgadzało się ze spermą.

Taka była pokrótce treść tego raportu.

Komplet zdjęć z obdukcji, w żółtej okładce, był dla Schmieda jak zawsze czymś nieprzyjemnym. Pobieźnie tylko przerzucił te nienaturalnie ostre zdjęcia na niebieskim tle, w które trzeba się było wpatrzeć na siłę, żeby ich widok w ogóle dał się znieść.

Schmied pomyślał o tych wielu godzinach, jakie spędził na wydziale medycyny sądowej. Wszystko odbywało się tam cicho, nic, tylko szmery pił i skalpeli, lekarze w skupieniu mówili do dyktafonów i odnosili się do zmarłych z szacunkiem. Dowcipy przy stole prosektoryjnym - to dobre w powieściach kryminalnych. Tylko z zapachem, typową wonią zgnilizny ciągle się nie potrafił oswoić; nie inaczej wyglądało to z większością lekarzy. Nie bardzo też można było sobie nakładać mentol pod nosem, niektóre ślady ujawniał dopiero zapach zmarłego. Schmied w pierwszych swoich latach jako prokurator czuł odrazę, kiedy chochlami czerpano z ciał krew i ją ważono albo kiedy po oględzinach zwłok z powrotem wkładano do nich narządy. Później pojął, że zaszycie trupa po obdukcji wymaga nie lada kunsztu, by się nie rozlaź; zrozumiał też, że lekarze rozmawiają o tym z całą powagą. Był to świat równoległy, jak i jego świat. Schmied przyjaźnił się z szefem tego wydziału; niemal rówieśnicy, prywatnie nigdy nie rozmawiali o swojej pracy.

Prokurator Schmied westchnął po raz drugi. Podpisał wniosek o tymczasowe aresztowanie i zaniósł go sędziemu śledczemu.

Już dwie godziny później sędzia sporządził nakaz, sześć godzin później Boheima aresztowano w jego mieszkaniu. W tym samym czasie przeszukano wszystkie biura, domy i mieszkania państwa Boheim w Dusseldorfie, Monachium, Berlinie i na wyspie Sylt. Policja dobrze wszystko zorganizowała.

Kiedy ogłoszono postanowienie o tymczasowym aresztowaniu, było przy tym trzech adwokatów. W pokoiku sędziego śledczego ci cywiliści, sownicy opłacani fachowcy od przejęć i postępowań arbitrażowych, wyglądali jak ciała obce. Żaden od lat nie pojawił się przed sądem, ostatni raz prawem karnym zajmowali się na studiach. Nie wiedzieli, jakie składać wnioski, a jeden z nich tonem pogroźki powiedział, że do sprawy wkroczą politycy. Sędzia śledczy mimo to zachował spokój.

Melanie Boheim siedziała na drewnianej ławce przy drzwiach pokoju posiedzeń. Nikt jej przedtem nie powiedział, że nie będzie mogła się zobaczyć z mężem - że nie jest to posiedzenie jawne. Kiedy ogłaszano

postanowienie, Boheim milczał, za radą swoich adwokatów. Mieli oni przy sobie czek in blanco i zaświadczenie z banku potwierdzające jego pokrycie na pięćdziesiąt milionów euro. Sędziego ta suma zezłościła, to pachniało tak, jakby niektórzy ludzie byli równiejsi. Odrzucił wniosek o kaucję, mówiąc: „To nie Ameryka”. Zapytał adwokatów, czy chcą wystąpić o zbadanie podstaw aresztowania.

Obecny przy tym prokurator Schmied prawie nic nie mówił; czuł się, jakby słyszał gong na rozpoczęcie walki.

\*

Percy Boheim robił wrażenie. Nazajutrz po tym, jak został aresztowany, odwiedziłem go w zakładzie karnym, bo radca prawny jego firmy poprosił mnie o poprowadzenie obrony. Boheim siedział za stołem w pokoju widzeń, jakby był u siebie w biurze, i przywitał mnie serdecznie. Zaczęliśmy mówić o błędnej polityce podatkowej rządu i o przyszłości branży samochodowej. Zachowywał się jak na bankiecie, a nie w trakcie postępowania przed sądem przysięgłych.

Kiedy przeszliśmy do sedna sprawy, od razu oświadczył, że przesłuchiwany przez policję powiedział nieprawdę, chciał chronić żonę i ratować małżeństwo. Na wszystkie dalsze pytania odpowiadał precyzyjnie, w skupieniu i bez wahań:

Tak, znał Stefanie Becker, oczywiście. Była jego kochanką, poznał ją z ogłoszenia w którymś tam berlińskim dodatku miejskim. Płacił jej za seks. Studentka. Miła dziewczyna, nawet myślał sobie, czy by jej po studiach nie zaproponować stażu w którejś ze swoich firm. Nie, nigdy nie pytał, dlaczego się prostytutkuje, ale był jej jedynym klientem, co do tego ma pewność. Była nieśmiała. Początkowo. Dopiero z czasem nabrała luzu. „Teraz to wszystko brzmi nieładnie”, powiedział, „ale właśnie tak było. Lubilem ją”.

W dniu popełnienia przestępstwa miał naradę. Do trzynastej dwadzieścia. I gdzieś za piętnaście druga dotarł do hotelu. Stefanie już czekała. Robili to ze sobą, a potem wziął prysznic i ruszył dalej. Od razu, bo chciał pobyć sam i przygotować się do następnego spotkania. Stefanie została w pokoju. Chciała się jeszcze wykapać i pojechać dopiero potem. Tak



mówiła. Że dopiero o wpół do czwartej. Włożył jej do torebki pięćset euro, taka była umowa.

Windą, tą zaraz obok apartamentu, zjechał do garażu podziemnego. Dojście do samochodu zabrało mu z minutę, może dwie. Z hotelu wyjechał o jakiejś wpół do trzeciej. Zaparkował pod Tiergarten, największym parkiem w Berlinie, i spacerował tam prawie godzinę. Zastanawiał się nad swoim związkiem ze Stefanie i doszedł do wniosku, że musi z tym skończyć. Komórkę miał wyłączoną, nie chciał, żeby mu przeszkadzano.

O czwartej pojawił się na Kurfürstendamm, miał tam naradę. Brało w niej udział jeszcze czterech panów. Między wpół do trzeciej a czwartą nie widział się z nikim. Przez telefon nie rozmawiał. Nie, nikogo też nie spotkał, wychodząc z hotelu.

Między obrońcą w procesie karnym a jego klientem panuje szczególna relacja. Adwokat nie zawsze chce wiedzieć, co się naprawdę stało. Przyczyna tego leży także w kodeksie postępowania karnego - kiedy obrońca wie, że klient zabił kogoś w Berlinie, nie wolno mu wnioskować o przesłuchanie „świadków obrony”, którzy by powiedzieli, że tego dnia klient był w Monachium. Karkołomnie trudna sprawa. W innych przypadkach adwokat musi znać prawdę bezwarunkowo. Wiedza o rzeczywistych okolicznościach może wtedy dawać tę drobną przewagę, jaka uchroni klienta przed skazaniem. Nieważne wówczas, czy adwokat wierzy w jego niewinność. Ma za zadanie obronę klienta. Tylko tyle i aż tyle.

Jeżeli relacja Boheima zgadzała się z prawdą, jeżeli opuścił pokój o czternastej trzydzieści, a sprzątaczką znalazła zabitą o piętnastej dwadzieścia sześć, to pozostałaby godzina. Rzeczywisty sprawca miałby czasu pod dostatkiem, zdążyłby wejść do pokoju, zamordować dziewczynę i zniknąć przed przybyciem sprzątaczką. Zeznanie Boheima nie znajdowało potwierdzenia w dowodach. Sprawa byłaby łatwiejsza, gdyby przy pierwszym przesłuchaniu milczał. Jego kłamstwa pogorszyły sytuację, a nie było śladu innego sprawcy. Nie dopuszczałem możliwości, by z końcem rozprawy głównej sąd go skazał. Wątpiłem jednak, czy sędzia już teraz uchylił nakaz aresztowania. Podejrzanie wciąż istniało.



Dwa dni później zadzwonił sędzia śledczy, chcąc ustalić termin badania podstaw aresztowania. Wybraliśmy następnny dzień. Prokuratura zezwoliła na wgląd w akta i mogłem je sprowadzić przez gońca.

Akta zawierały dalsze rezultaty śledztwa. Przepytano wszystkie osoby widniejące na liście kontaktów w telefonie zabitej. Przyjaciółka, której Stefanie Becker się zwierzyła, wyjaśniła policjantom motywy jej prostytutce.

Co jednak znacznie ciekawsze, policja wytropiła tymczasem Abbasa. Był uprzednio karany - włamanie, handel narkotykami, a dwa lata wcześniej przestępstwo z użyciem przemocy, bójka przed dyskoteką. Przesłuchano go. Powiedział, że z zazdrości poszedł raz pod hotel, ale że ona miała wytłumaczenie dla tamtej wizyty. Przesłuchanie ciągnęło się całymi stronicami, w każdej linijce czuło się nieufność funkcjonariuszy. Ale na koniec, mając motyw, nie mają dowodu.

Późnym popołudniem odwiedziłem prokuratora Schmieda w jego pokoju służbowym. Jak zwykle rozmawiał ze mną jak życzliwy fachowiec. On też miał nieciekawe wrażenie co do Abbasa. Zazdrość to przecież, jak powiedział, zawsze silna pobudka, Abbas ten hotel znał, Stefanie była jego dziewczyną, a sypiała z innym, i trudno go wykluczyć jako możliwego sprawcę. Jeżeli tam był, to mógł zabić. Wytłumaczyłem Schmiedowi, czemu Boheim kłamał, i powiedziałem:

- Sypiać z jakąś studentką to w końcu nie przestępstwo.

- Tak, ale i nic ładnego.

- Dzięki Bogu nie o to tutaj chodzi - odpowiedziałem. - Cudzołóstwo nie jest już czynem zabronionym. - Schmied też miał kilka lat temu romans z pewną panią prokurator i w tutejszym świątku prawniczym wszyscy o tym wiedzieli. - Nie widzę motywu, dla którego Boheim miałby zabić kochankę.

- Ja na razie też nie - odpowiedział Schmied. - Ale przecież wie pan, że dla mnie motywy nie są takie ważne. Podczas przesłuchania naprawdę łągał jak najęty.

- To budzi podejrzenia, ale w sumie niczego nie dowodzi. Poza tym jego pierwsze zeznanie byłoby na rozprawie głównej prawdopodobnie

nieprzydatne.

- Tak?

- Policjanci mieli już wtedy zbadane rozmowy telefoniczne. Wiedzieli, że rozmawiał z ofiarą długo. Na podstawie stacji przekaźnikowej, z której obszarem połączył się jego telefon, ustalili, że samochód był blisko hotelu. Wiedzieli, że to Boheim wynajął pokój, w którym zamordowano dziewczynę - dodałem. - Policjanci powinni byli więc rozmawiać z nim jak z podejrzanym, a tymczasem przesłuchali Boheima jako świadka i tylko jako świadka go ostrzegli.

Schmied kartkował protokół przesłuchania.

- Ma pan rację - powiedział w końcu i odsunął akta od siebie. Drażniły go takie gierki policji, w rzeczywistości donikąd nigdy nie prowadziły.

- Poza tym na narzędziu zbrodni, na lampie, którą zabito studentkę, nie było odcisków palców - ciągnąłem. - Badanie śladów wykazało tam tylko jej DNA.

- To prawda - odparł Schmied. - Ale sperma we włosach dziewczyny pochodzi od pańskiego klienta.

- No nie, panie prokuratorze, to przecież nonsens. Najpierw by na dziewczynę trysnął nasieniem, a następnie włożył rękawiczki i ją zabił? Przecież Boheim nie jest idiotą. - Schmied uniósł brwi. - A wszystkie inne ślady, jakie zabezpieczono na szklankach z wodą, klamkach drzwi, uchwytach okiennych i tak dalej, należy w związku z jego pobyt w hotelu uznać za nieobciążające - ciągnąłem.

Dyskutowaliśmy prawie godzinę, a na koniec prokurator powiedział:

- Jeżeli pański klient przy badaniu podstaw aresztowania obszernie opisze swoje relacje z zabitą, zgadzam się, żeby od jutra nie wykonywano pozbawienia wolności.

Wstał i podał mi rękę na pożegnanie. Kiedy byłem już w drzwiach, dodał:

- Ale Boheim będzie musiał zdać paszport, zapłacić kaucję i zgłaszać się na policji dwa razy w tygodniu. Zgoda?

Oczywiście odparłem, że zgoda.

Kiedy wychodziłem, Schmied czuł zadowolenie: sprawa ucichnie. Nigdy

naprawdę nie sądził, by sprawcą miał być Percy Boheim. On nie wyglądał na takiego, co w szale zacznie bez końca walić studentkę po głowie. No ale, pomyślał Schmied, kto tam zna drugiego człowieka. Dlatego prokurator rzadko uważał motywy czynu za rozstrzygające.

Dwie godziny później już miał zamknąć drzwi pokoju służbowego i pójść do domu, kiedy odezwał się u niego telefon. Schmied zaklął, wrócił, podniósł słuchawkę i opadł na fotel. Dzwonił prowadzący śledztwo w tej sprawie funkcjonariusz wydziału zabójstw. Sześć minut później Schmied, odkładając słuchawkę, spojrzął na zegarek. Wyjął swoje stare pióro wieczne, napisał notatkę służbową o tej rozmowie telefonicznej i wpiął ją do akt na samym wierzchu. Zgasił światło i chwilę jeszcze siedział w ciemności. Teraz był pewien, że zabił Percy Boheim.



Nazajutrz prokurator ponownie wezwał mnie do swojego biura. Wyglądając na lekko zasmuconego, podsunął mi zdjęcia. Widać było na nich wyraźnie Boheima, siedzącego za szybą swojego samochodu.

- Przy wyjeździe z garażu podziemnego zainstalowano w tym hotelu kamerę wideo wysokiej rozdzielczości. Dostałem te fotografie dzisiaj rano. Wydział zabójstw dzwonił do mnie zaraz po naszej rozmowie, ale wczoraj nie udało mi się już pana złapać.

Spojrzałem na niego pytająco.

- Zdjęcia pokazują pana Boheima, kiedy opuszcza hotelowy garaż. Proszę zobaczyć godzinę na pierwszym zdjęciu, kamera wideo w lewym dolnym rogu podaje zawsze czas. Mamy piętnastą dwadzieścia sześć i pięćdziesiąt pięć sekund. Sprawdziliśmy czas na kamerze, jest poprawny - powiedział Schmied. - Sprzątaczką znalazła zabitą o piętnastej dwadzieścia sześć. Tutaj czas też się zgadza, potwierdza to pierwszy telefon wzywający policję, połączenie z piętnastej dwadzieścia dziewięć. Przykro mi, ale nie może być innego sprawcy.

Mogłem już tylko wycofać prośbę o badanie podstaw aresztowania. Boheim aż do procesu miał pozostać w areszcie śledczym.

Przez następne miesiące trwały przygotowania do procesu. Brali w nich

udział wszyscy adwokaci z kancelarii, ponownie sprawdzano każdy szczegół zawarty w aktach - obszar stacji przekaźnikowej, analizę DNA, kamerę w garażu. Wydział zabójstw wykonał dobrą robotę i teraz trudno było się doszukać błędu. Zakłady Boheima zatrudniły agencję detektywistyczną, która też jednak nie wykryła nic nowego. On sam obstawał przy swojej opowieści, mimo że dowody wskazywały na coś odmiennego. I choć widoki były marne, zachowywał spokój i dobry humor.

Policja w swojej pracy wychodzi z założenia, że nic się nie dzieje przypadkiem. Dochodzenia i śledztwa w dziewięćdziesięciu pięciu procentach polegają na pracy biurowej, ocenie dowodów rzeczowych, pisaniu notatek służbowych, przesłuchiwaniu świadków. W powieści kryminalnej sprawca przyznaje się do winy, jak się na niego nakrzyczy; w rzeczywistości to nie takie proste. A kiedy nad trupem pochyła się mężczyzna z nożem ociekającym krwią, to znaczy, że morderca. Żaden rozsądny policjant nie uwierzy, że tamten akurat sobie tędy przechodził i chcąc się na coś przydać, wyciągnął nóż ze zwłok. To scenarzyści wymyślili zdanie komisarza policji kryminalnej, że jakieś rozwiązanie jest za proste. Prawda wygląda odwrotnie. Co oczywiste, to również prawdopodobne. I prawie zawsze też trafne.

Adwokat natomiast próbuje znaleźć lukę w konstrukcji dowodowej zbudowanej przez organa ścigania. Jego sprzymierzeńcem jest przypadek, a zadaniem - niedopuszczenie do tego, by pochopnie uznano pozory prawdy za wiążące. Pewien funkcjonariusz policji powiedział kiedyś sędziemu jednego z trybunałów federalnych, że obrońcy to tylko hamulce u wozu sprawiedliwości. Sędzia odparł, że wóz bez hamulców jest do niczego. Proces karny toczy się prawidłowo tylko dzięki takiej grze sił.

Szukaliśmy więc przypadku, który by ocalił naszego klienta.

Boheimowi przyszło spędzić Boże Narodzenie i Nowy Rok w areszcie. Prokurator Schmied hojnie udzielił mu specjalnych zezwoleń na rozmowy z jego dyrektorami zarządzającymi, rewidentami i adwokatami prawa cywilnego. Boheim przyjmował ich co drugi dzień i ze swojej celi kierował firmami. Solidarność z nim wyrazili publicznie koledzy z zarządu i załoga.

Regularnie odwiedzała go żona. Zrezygnował tylko z wizyt syna, nie chcąc, by Benedykt oglądał ojca w więzieniu.

Ciągle jednak nie pojawiał się choćby przebłysk nadziei co do procesu, a już tylko cztery dni zostały do jego rozpoczęcia. Prócz postawienia kilku wniosków procesowych nikt nie miał ogólnego pomysłu na obronę rokującą powodzenie. Nie wchodziło tu w grę żadne „coś za coś”, żadne układy, jakie zna kiedy indziej wymiar sprawiedliwości karnej. Morderstwo podlega karze dożywotniego pozbawienia wolności, zabójstwo - karze pięciu do piętnastu lat. Nie miałbym czego negocjować z sędzią.

Na stole bibliotecznym w kancelarii leżały wydrukowane zdjęcia wideo. Kamera z całą ostrością, niby w poklatkowym filmiku z sześciu kadrów, uchwyciła to, jak Boheim lewą ręką naciska włącznik. Szlaban się podnosi. Przed kamerą przejeżdża samochód.

I nagle wszystko się wyjaśniło. Rozwiązanie od czterech miesięcy tkwiło w aktach - śmiech mnie wziął, że tak proste. Przeoczyliśmy je wszyscy.

\*

Proces odbywał się w sali 500 sądu na Moabicy. Prokuratura wniosła oskarżenie o zabójstwo, a reprezentował ją Schmied we własnej osobie. Kiedy odczytywał zarzuty, w sali zaległa cisza. Boheim, którego przesłuchano jako oskarżonego, był dobrze przygotowany. Ponad godzinę mówił bez kartki. Głos miał sympatyczny, słuchało się go z przyjemnością. W skupieniu opowiadał o swoich relacjach ze Stefanie Becker. Niczego nie pominął, nie pozostawił żadnych niedomówień. Opisał przebieg spotkania w dniu przestępstwa oraz to, jak o czternastej trzydzieści opuścił hotel. Na późniejsze pytania sądu i prokuratury odpowiadał obszernie i precyzyjnie. Oświadczył, że płacił Stefanie za seks i dlaczego to robił. Jak dodał, absurdem byłoby sądzić, że zabił dziewczynę, z którą, poza tym jednym, nic go nie łączyło.

Boheim miał przewagę nad innymi uczestnikami procesu. Widać po nich było, jak się źle czują. Sytuacja wyglądała dziwnie - nikt nie był skory go podejrzewać o tamten czyn, tyle że zwyczajnie nie mógł zabić nikt inny. Świadków wezwano dopiero na następny dzień rozprawy.

Nazajutrz także pojawiły się w prasie brukowej nagłówki: „Milioner zabiłby piękną studentkę?”. W nich się właśnie wszystko zawierało.

Drugiego dnia rozprawy głównej wezwano sprzątaczkę Consuełę. Ciężko przeżyła znalezienie tych zwłok. Co do pory podała wiarygodne informacje. Prokuratura i obrona nie miały do niej więcej pytań.

Drugim świadkiem był Abbas, pogrążony w żałobie. Sąd pytał o jego związek z zabiłą, a przede wszystkim o to, czy i co Stefanie mówiła o oskarżonym. Abbas nie potrafił nic o tym powiedzieć.

Następnie przewodniczący sądu pytał o spotkanie ze Stefanie przed hotelem, o jego zazdrość, o szpiegowanie; postąpił fair, zrobił wszystko, by wykryć, czy w dniu popełnienia przestępstwa Abbas był w hotelu. Ten zaprzeczał wszelkim sugerującym to pytaniom. Opisał swój nałóg, swoje długi, to, że się teraz wyleczył i dostał ograniczone pozwolenie na pracę jako pomywacz w pizzerii, dzięki czemu może te długi spłacić. Nikt się w sądzie nie zastanawiał, czy on nie kłamie - kto dobrowolnie ujawnia sprawy tak osobiste, ten mówi prawdę także w innych sprawach.

Nawet prokurator Schmied próbował różnych sposobów, a jednak Abbas obstawał przy swojej opowieści. Na miejscu dla świadka był już od prawie czterech godzin.

Nie zadałem mu żadnego pytania. Przewodniczący spojrzał na mnie zdziwiony, w końcu prócz oskarżonego Abbas był jedynym potencjalnie podejrzanym. Ja miałem inne zamiary. Podczas przesłuchania świadków najważniejszą zasadą dla obrońcy jest nie zadawać pytań, na które się nie zna odpowiedzi. Niespodzianki nie zawsze bywają miłe, a nie wolno igrać losem klienta.

Innych nowych faktów rozprawa główna raczej nie ujawniła, krok po kroku odtwarzano zawartość akt. Jedynie przyjaciółka, której Stefanie przyznała się do przyczyn swojej prostytutki, rzuciła pewien cień na Boheima. Bądź co bądź wykorzystywał on trudne położenie dziewczyny. Ławniczka, co do której sądziłem, że jest po naszej stronie, wierciła się niespokojnie na krześle.

W czwartym dniu rozprawy, jako dwunastego świadka, wezwano

policjanta, na którego czekaliśmy. W wydziale zabójstw pracował dopiero od niedawna. Jego zadaniem było zabezpieczyć nagranie wideo z kamery kontrolnej w garażu podziemnym. Przewodniczący zażyczył sobie opisanie, jak ochrona hotelowa wydała je policjantowi. Ten potwierdził, że na miejscu porównał czas podany w nagraniu z czasem, jaki wyświetlały monitory w biurze ochrony. Tak, stwierdził zaledwie półminutową różnicę w stosunku do rzeczywistej pory, no i zresztą napisał w tej sprawie notatkę służbową.

Kiedy udzielono głosu obronie, dla potwierdzenia spytałem najpierw, czy nagranie wideo policjant zabezpieczył na pewno dwudziestego dziewiątego października. Owszem. To był poniedziałek, gdzieś koło siedemnastej.

- Czy świadek - zapytałem - dowiadywał się, czy dwudziestego ósmego października ochrona hotelowa przestawiła czas na zimowy?

- Co takiego? Nie, to był poprawny czas. Przecież sprawdzałem...

- Nagranie jest z dwudziestego szóstego. Tego dnia jeszcze obowiązywał czas letni. Dopiero dwa dni później, dwudziestego ósmego, przestawiono czas na zimowy.

- Nie rozumiem... - odpowiedział policjant.

- To bardzo proste. Możliwe, że zegar tej kamery kontrolnej pokazuje stale czas zimowy. Gdyby podawał piętnastą w lecie, byłaby w rzeczywistości czternasta, gdyby ją natomiast podawał w zimie, czas byłby poprawny.

- Zgadza się.

- W dniu popełnienia przestępstwa, dwudziestego szóstego października, obowiązywał czas letni. Zegar pokazał piętnastą dwadzieścia sześć. Gdyby zegara nie przestawiono, byłaby to w istocie czternasta dwadzieścia sześć. Czy świadek zrozumiał?

- Tak, ale to wszystko teoria.

- O nią właśnie chodzi. Pytanie więc, czy zegar był poprawnie nastawiony. Bo w przeciwnym razie oskarżony opuściłby pokój na godzinę przed tym, jak sprzątaczką znalazła zwłoki. Przez tę godzinę mógłby zabić ofiarę ktokolwiek inny. Dlatego, proszę świadka, tamto pytanie do ochrony hotelowej byłoby czymś decydującym. Dlaczego świadek go nie zadał?

- Nie pamiętam, czy go nie zadałem. Może ochrona mówiła mi...



- Mam tu wypowiedź szefa ochrony, jaką spisaliśmy kilka dni temu. Powiedział, że jeszcze nigdy nie przestawiano tego zegara. Od chwili zainstalowania kamery szedł zawsze według tego samego czasu, a mianowicie zimowego. Łatwiej teraz świadkowi przypomnieć sobie, czy zadał to pytanie? - Wręczyłem sądowi i prokuraturze kopię wypowiedzi.

- Ja go, ja go chyba nie zadałem...

- Czy pan sędzia mógłby z dokumentacji,teczka B, pokazać świadkowi zdjęcia od dwunastego do osiemnastego? To te, na których widać, jak oskarżony opuszcza garaż.

Przewodniczący wyszukał tę żółtą teczkę i rozłożył przed sobą wydruki z kamery. Świadek podszedł do jego stołu i spojrział na zdjęcia.

- Przecież - powiedział - jest napisane: piętnasta dwadzieścia sześć i pięćdziesiąt pięć sekund. Taki jest czas.

- Owszem, błędny czas. Czy mogę zwrócić uwagę świadka na zdjęcie czwarte i rękę oskarżonego? Proszę się dokładnie przyjrzeć. Właśnie naciska on włącznik i widać dobrze jego lewą rękę. Pan Boheim nosił tego dnia zegarek Patek Philippe. Czy świadek poznaje cyfry na zdjęciu?

- Tak, łatwo je poznać - odparł policjant.

- Którą godzinę świadek odczytuje?

- Czternastą dwadzieścia sześć.

W ławie prasowej, zapelnionej do ostatniego miejsca, dało się wyczuć niepokój. Prokurator Schmied także podszedł teraz do stołu sędziego, by zobaczyć zdjęcia w oryginale. Nie spiesząc się, brał je kolejno do ręki i dokładnie oglądał. Wreszcie skinął głową - to było tych sześćdziesiąt minut, których brakowało do domniemania innego sprawcy i do uniewinnienia Boheima, a teraz proces szybko się zakończy, innych dowodów przeciw oskarżonemu nie ma. Przewodniczący oświadczył, że sąd potrzebuje przerwy.

Pół godziny później, na wniosek prokuratury, uchylono nakaz aresztowania Boheima, a w następnym dniu procesu, bez dalszego postępowania dowodowego, został on uniewinniony.



Prokurator Schmied pogratulował Boheimowi uniewinnienia i długim korytarzem wrócił do swojego pokoju. Sporządził tam notatkę służbową o zakończeniu postępowania i otworzył następne akta leżące na biurku. Trzy miesiące później przeszedł na emeryturę.

Jeszcze tego samego wieczoru aresztowano Abbasa. Przesłuchujący go funkcjonariusz postąpił zręcznie. Oznajmił mu, że Stefanie prostytuowała się tylko dla jego uratowania, i przeczytał zeznanie przyjaciółki, której Stefanie o wszystkim opowiedziała. Abbas nagle zrozumiał jej poświęcenie. Zemdłał.

Oswojony z policją, nie przyznał się jednak do winy, i do dzisiaj nie wykryto sprawcy. Dowody były niewystarczające, by oskarżyć Abbasa.

W miesiąc po zakończeniu procesu Boheima Melanie wystąpiła o rozwód.

Dopiero w kilka miesięcy po przejściu na emeryturę Schmied naprawdę zrozumiał sprawę ze zmianą czasu - a ponieważ był łagodny jesienny dzień, pokręcił głową. Rzecz by nie wystarczyła, by wznowić postępowanie, i nie wyjaśniłaby też godziny na zegarku Boheima. Kopnął leżący kasztan i szedł tą aleją dalej, myśląc sobie, jakie dziwne jest życie.



## Obrona konieczna

Lenzberger i Beck przechadzali się peronem. Łyse głowy, spodnie z demobilu, buty zwane glanami, luzackie ruchy. Beck na kurtce miał napis „Thor Steinar”, Lenzberger na T-shircie - „Pitbull Germany”.

Beck, trochę niższy niż Lenzberger, jedenaście razy dostawał wyroki za przestępstwa z użyciem przemocy. Pierwszego uszkodzenia ciała dopuścił się, gdy miał czternaście lat, poszedł ze starszymi skopać pewnego Wietnamczyka. Potem było gorzej. Mając lat piętnaście, trafił pierwszy raz do zakładu karnego dla nieletnich, mając szesnaście, kazał sobie zrobić tatuaż. Na czterech palcach jego prawej ręki widniały przy nasadzie litery tworzące razem słowo „H-A-S-S” - nienawiść. Na lewym kciuku nosił swastykę.

Lenzberger w rejestrze karnym miał tylko cztery pozycje, ale za to w rękę - nowy kij baseballowy z metalu. W Berlinie sprzedaje się piętnaście razy więcej kijów niż piłek.

Beck zbluzgał jakąś starszą panią, nastraszył ją. Roześmiał się i z uniesionymi rękami zrobił dwa duże kroki w jej stronę. Podreptała szybciej, ściskając torebkę, wreszcie znikła.

Lenzberger walnął kijem baseballowym w kosz na śmieci. Łomot rozniósł się echem po dworcu, tę blachę można było wgnieść bez trudu. Peron był prawie pusty, najbliższy pociąg, Intercity Express do Hamburga, odjeżdżał za czterdzieści osiem minut. Siedli na jednej z ławek. Beck rozwalił się z nogami do góry, Lenzberger usiadł na oparciu. Znudzeni, rzucili na tory ostatnią butelkę piwa. Szkło się stłukło, etykiетка pomału wypuczyła.

Aż odkryli tamtego mężczyznę. Siedział dwie ławki dalej, czterdzieści kilka lat, łysiejący, okulary w czarnej oprawce na receptę, szary garnitur.

Pomyśleli, że to jakiś tam ślamazarny księgowy albo urzędnik, na którego w domu czekają żona i dzieci. Wyszczерzyli się jeden do drugiego - idealna ofiara, taki, co się będzie bał. Na razie im nie szło tej nocy, żadnych kobiet, na nic naprawdę fajnego nie mieli pieniędzy. Dopiero co w piątek odeszła dziewczyna Becka, obrzydło jej picie i wrzaski. W taki poniedziałkowy ranek życie było do dupy - aż się nawinał ten tutaj. Podniecając się wizjami przemocy, walnęli jeden drugiego po ramieniu i razem podeszli do mężczyzny.

Beck siadł na ławce koło tamtego i czknął mu w ucho. Rozszedł się smród alkoholu i niestrawionego jedzenia.

- I co, koleś, pojebałeś sobie z rana?

Mężczyzna wyjął z kieszeni marynarki jabłko i przecierał je rękawem.

- Chyba coś do ciebie mówię, ty pierdoło! - Beck wytrącił mu jabłko i rozdeptał, miąższ prysnął na glany.

Tamten na niego nie spojrzał. Siedział dalej, bez ruchu, wzrok spuszczone. Obaj odebrali to jako prowokację. Beck zaczął wskazującym palcem świdrować jego pierś.

- Aaa, ktoś tu nie chce odpowiedzieć? - Dał mu w twarz. Okulary zsunęły się, mężczyzna ich nie poprawił. Nadal nie ruszał się, więc Beck wyjął zza cholewki nóż. Długi, z dwustronnie zaostrzonym szpicem i ząbkowanym grzbietem. Machnął nim raz, drugi przed twarzą mężczyzny, a ten nic, tylko patrzył przed siebie. Lekko więc dźgnął go w dłoń, niegłęboko, jakby ukłuł szpilką. Z nadzieją spojrzał na mężczyznę, któremu z wierzchu dłoni wypłynęła kropla krwi. Przejęty Lenzberger, ciesząc się na to, co będzie, walnął kijem baseballowym w ławkę. Beck rozmazał palcem kroplę krwi.

- No co, lepiej ci, pierdoło?

Tamten wciąż nie reagował. Beck wpadł we wściekłość. Nóż dwa razy świsnął w powietrzu z prawej strony w lewą, na kilka centymetrów przed pierś mężczyzny.

Za trzecim razem trafił. Rozpruł koszulę i naciął skórę; rana, prawie pozioma, miała dwadzieścia centymetrów długości, trochę krwi wsiąkło w materiał, tworząc falistą czerwoną kreskę.

Na peronie naprzeciwko stał pewien lekarz, który porannym pociągiem wybierał się na konferencję urologiczną do Hanoweru. Miał później zeznać, że mężczyzna prawie nie drgnął, wszystko potoczyło się bardzo szybko. Peronowa kamera, która zarejestrowała to zdarzenie, pokazywała tylko pojedyncze czarno-białe klatki.

Beck znowu się zamachnął, Lenzberger zawył z radości. Mężczyzna złapał trzymającą nóż dłoń, uderzając napastnika w zgięcie prawego ramienia. Cios zmienił kierunek noża, który jednak nie stracił rozpędu. Ostrze zakreśliło łuk. Mężczyzna poprowadził czubek noża między trzecie a czwarte żebro Becka, a ten sam siebie dźgnął w pierś. Kiedy stał wniknęła w skórę, tamten mocno uderzył w pięść zaciśniętą na rękojeści. Wszystko to był jeden płynny ruch, niemal taniec. Całe ostrze znikło w ciele. Rozcięło serce. Beck pożył jeszcze czterdzieści sekund. Stał ze spuszczonym wzrokiem, jakby siebie oglądał. Ciągle dzierżył klingę noża i zdawało się, że odczytuje tatuaż na swoich palcach. Nie czuł bólu, synapsy jego nerwów nie przekazywały już sygnałów. Nie rozumiał, że zaraz umrze.

Mężczyzna obrócił się i spojrzał na tego drugiego. Nie przybrał specjalnej pozycji, tylko stał. Czekał. Nadal wyglądał jak księgowy, więc Lenzberger, który nie wiedział, czy uciekać, czy walczyć, podjął błędną decyzję. Gwałtownie uniósł kij baseballowy. A tamten uderzył go tylko raz, w szyję, ruchem tak szybkim, że nie utrzymała tego dworcowa kamera. A potem usiadł i przestał zwracać uwagę na przeciwników.

Cios był precyzyjny. Ugodził tak zwaną *karotis sinus*, zatokę tętnicy szyjnej wewnętrznej. W tym trudno uchwytnym punkcie znajduje się cała wiązka zakończeń nerwowych. Te zrozumiały wstrząs jako skrajny skok ciśnienia i dały kresomózgowiu znak, żeby zdławiło bicie serca. Pracowało ono już coraz wolniej, krwiobieg doznał zapaści. Lenzberger osunął się na kolana, kij baseballowy upadł za jego plecami, odbił się jeszcze dwa razy od ziemi, potoczył po peronie i zleciał na torowisko. Cios okazał się tak mocny, że rozdarł kruchą ściankę zatoki. Wdarła się tam krew i podrażniła nerwy. Stale już wysyłały sygnał, by wstrzymać pracę serca. Lenzberger upadł twarzą na ziemię, na jasne rowkowanie peronu pocięło trochę krwi, która

spiętrzyła się przy jakimś niedopałku. Umarł, serce zwyczajnie przestało mu bić.

Beck stał jeszcze dwie sekundy, po czym też się zwałił. Głową klasnął o ławkę, zostawiając na niej czerwoną strużkę. Odtąd leżał z otwartymi oczami, jakby wpatrywał się w buty mężczyzny. Ten poprawił okulary, założył nogę na nogę, zapalił papierosa i czekał na zatrzymanie.

Pierwsza na miejsce zbrodni przybyła policjantka w randze sierżanta. Wysłano ją tam razem z kolegą po tym, jak obaj łysogłowi weszli na peron. Zobaczyła trupy, nóż w piersi Becka, rozciętą koszulę mężczyzny, i skonstatowała, że on pali. W jej mózgu wszystkie informacje działały równie alarmująco. Wyjęła broń służbową, wymierzyła w tamtego i krzyknęła: - Na terenie całego dworca palenie wzbronione!



Prosił nas o pomoc pewien kluczowy klient. „Zajmij się proszę tą sprawą, pokryjemy koszty”, powiedział adwokat. Dzwonił niby z Nowego Jorku, ale głos brzmiał, jakby rozmówca siedział koło mnie. Nalegał. Był to starszy partner kancelarii z rodzaju tych, co mają choćby jedną filię w każdym uprzemysłowionym kraju. *Key-client* jest kimś, na kim kancelaria zarabia szczególnie duże pieniądze, klientem na specjalnych prawach. Zapytałem, o co tutaj chodzi, ale adwokat nic nie wiedział. Do jego sekretarki ktoś zadzwonił z policji, że było jakieś zatrzymanie na dworcu, „zabójstwo albo coś w tym rodzaju”, żadnego nazwiska, więcej się nie dowiedziała. Ale to na pewno któryś z kluczowych klientów, tylko im się podaje ten numer telefonu.

Pojechałem na Keithstrasse, gdzie ma siedzibę wydział zabójstw. Nie ma znaczenia, czy dana jednostka policji mieści się w nowoczesnym wieżowcu ze szkła i stali, czy w dwustuletnim odwachu - wszystkie prezentują się tak samo. Pachnie środkami czystości, korytarze wykładane szarozielonym linoleum, w pokojach przesłuchań wiszą gigantyczne plakaty z kotami oraz wakacyjne widokówki od kolegów. Na drzwiach szaf i monitorach przyklejone wycinki z żartobliwymi sentencjami. Pije się filtrowaną lurę z pomarańczowo-żółtych ekspresów, które wszystkie mają przypaloną płytę

grzejną. Na stołach stoją toporne kubki z napisem „I love Hertha”, nabyte w hipermarkecie jasnozielone pojemniki na długopisy, a gdzieś na ścianie wisi w antyramie zrobione przez jakiegoś funkcjonariusza zdjęcie zachodu słońca. Umeblowanie jest praktyczne i jasnoszare, pokoje za ciasne, krzesła zbyt ergonomiczne, a na parapetach stoją rośliny w doniczkach z keramzytu.

Komisarz policji kryminalnej Dalger prowadził już setki przesłuchań. Kiedy szesnaście lat temu zaczynał pracę w wydziale zabójstw, była to śmietanka policji. Czuł wtedy dumę, że mu się tak udało, i wiedział, że awans zawdzięcza przede wszystkim jednej zalecie: cierpliwości. Potrafił w razie potrzeby słuchać godzinami, nigdy nie miał dosyć i po długich latach służby w policji wciąż go jeszcze wszystko ciekawiło. Unikał przesłuchiwań przy pierwszej okazji, kiedy sprawa była świeża i słabo ją znał. On wydobywał przyznanie się do winy. Nie uznawał żadnych sztuczek, szantażu ani upokarzania.

Pierwsze przesłuchanie raczej zostawiał młodemu, sam wolał wypytywać dopiero, kiedy we własnym poczuciu wiedział już o danej sprawie wszystko. Miał doskonałą pamięć do szczegółów. Nie polegał na swoich wrażeniach, mimo że nigdy go jeszcze nie zmyliły. Był świadom, że najbardziej niedorzeczne historie bywają prawdą, a najbardziej wiarygodne - łgarstwem. Mawiał do młodszych kolegów, że przesłuchania to ciężka robota. I zawsze pamiętał, by dodać: „Każde morderstwo się wyjaśni, byle iść tropem pieniędzy albo spermy”.

Choć zazwyczaj między Dalgerem a mną zachodziła sprzeczność interesów, mieliśmy jeden do drugiego szacunek. I kiedy teraz, po długich poszukiwaniach, znalazłem go wreszcie w pokoju przesłuchań, wyglądał wręcz na ucieszonego moim widokiem.

- Utknęliśmy w miejscu - tak brzmiały jego pierwsze słowa. Ciekaw był, kto mnie najął. Podałem nazwę tamtej kancelarii gospodarczej, wzruszył ramionami. Chcąc porozmawiać swobodnie z moim klientem, poprosiłem wszystkich o wyjście z pokoju. Dalger odparł z uśmiechem:

- No to życzę powodzenia.

Dopiero kiedy zostaliśmy sami, mężczyzna podniósł oczy. Przedstawiłem się, uprzejmie skinął głową, ale nic nie powiedział. Próbowałem po niemiecku, po angielsku i dosyć kiepską francuszczyzną. Spojrzał na mnie, ale się nie odezwał ani słowem. Odsunął pisak, jaki przed nim położyłem. On nie chciał mówić. Podetknąłem mu druk pełnomocnictwa, dla zasugerowania, że mam go reprezentować. Chwilę się jakby zastanawiał, aż nagle zrobił coś dziwnego: odemknął wieczko stojącej na biurku gąbki pod stemple, zabarwił w niej na niebiesko prawy kciuk, a potem odcisnął go na pełnomocnictwie w polu „Podpis”.

- Tak też można - powiedziałem, zabierając pełnomocnictwo, i poszedłem do biura Dalgera. Komisarz zapytał, kim ten człowiek jest. Tym razem ja wzruszyłem ramionami, na co on szczegółowo opowiedział, co się wydarzyło.

Dzień wcześniej przejął tamtego od policji federalnej odpowiedzialnej za dworzec. Mężczyzna w chwili zatrzymania, w drodze i przy pierwszym przesłuchaniu na Keithstrasse ani pisnął. Próbowano z różnymi tłumaczami, pokazano mu w szesnastu językach pouczenie dla przesłuchiwanym - i nic.

Dalger zarządził kontrolę osobistą, ale nic nie znaleziono. Mężczyzna nie miał portfela, kluczy, dowodu tożsamości. Z protokołu tej kontroli komisarz pokazał mi teraz tak zwaną część B, listę znalezionych przedmiotów. Znajdowało się na niej siedem pozycji:

1. chusteczki jednorazowe marki Tempo z metką cenową dworcowej apteki,
2. pudełko papierosów, w środku sześć sztuk, banderola akcyzy niemieckiej,
3. zapalniczka plastikowa, żółta,
4. bilet na przejazd drugą klasą do stacji Hamburg Hauptbahnhof, bez miejscówki,
5. 16 540 euro w banknotach,



6. 3,62 euro w bilonie,

7. bilet wizytowy kancelarii adwokackiej Lorguis, Metcalf & Partners w Berlinie, z dopisanym bezpośrednim numerem telefonu.

Co jednak najciekawsze, na jego ubraniu nie było ani jednej metki. Spodnie, marynarkę i koszulę mógł uszyć krawiec, ale mało kto zamawia sobie na miarę skarpetki i kalesony. Tylko buty miały jakiś rodowód - pochodziły od alzackiego szewca Henschunga, jednak jego wyroby nabyć można także w dobrych sklepach poza Francją.

Mężczyznę zajęła się służba śledcza. Zrobiono mu zdjęcia, pobrano odciski palców. Dalger kazał sprawdzić wszystkie bazy danych - żadnych znalezisk, organa dochodzeniowe nie знаły tego człowieka. Nic też nie wniosło pochodzenie biletu, kupiony był w dworcowym automacie.

Tymczasem zbadano też nagranie wideo z dworca, przesłuchano lekarza z peronu naprzeciwko i wystraszoną starszą panią. Policja wykonała pracę równie wnikliwą, jak bezskuteczną. Mężczyzna został tymczasowo zatrzymany i spędził noc na posterunku. Nazajutrz Dalger zadzwonił pod numer na wizytówce, co starał się jak najdłużej odwlec. Adwokaci, myślał, nigdy takich spraw nie ułatwiają.

Siedzieliśmy z komisarzem w jego pokoju, pijąc lurę. Po dwukrotnym obejrzeniu nagrania wideo powiedziałem mu, że to ewidentna, prawie podręcznikowa sytuacja obrony koniecznej. Nie chciał wypuścić tego mężczyzny.

- Coś z nim nie gra - powiedział.

- Jasne - odparłem. - To widać wyraźnie. Ale oprócz pańskiego wrażenia nie ma powodu, by go przetrzymywać, o tym pan wie.

- Nie znamy nawet jego tożsamości.

- Inaczej, panie komisarzu. Tylko tożsamości.

Dalger zadzwonił do prokuratora Kestinga. W prokuraturze tym rodzajem postępowań zajmował się wydział śledczy. Kesting znał już ten przypadek z pierwszego raportu Dalgera. Był bezradny, ale zdecydowany - cecha, która się nieraz prokuraturze przydaje. Dzięki temu postanowił o

doprowadzeniu mężczyzny przed sędziego śledczego. Po kilku rozmowach telefonicznych wyznaczono nam u sędziego termin o piątej po południu.

Sędzia śledczy nazywał się Lambrecht. Mimo wiosny miał na sobie sweter z norweskiej wełny. Cierpiał na niedociśnienie, marzył przez całe życie i równie długo był w kiepskim humorze. Ten pięćdziesięciodwulatek chciał mieć jasność - w rzeczach powinien być ład, a on nie będzie zabierał do domu jakiegoś pandemonium.

Lambrecht wygłaszał na wyższej uczelni gościnne wykłady z prawa karnego procesowego, słynące z przypadków, jakimi je ilustrował. Mawiał do studentów, że błędem jest zakładać, jakoby sędziowie chętnie wydawali wyroki skazujące. „Skazują, kiedy to do nich należy, ale nie wtedy, kiedy mają wątpliwości”. W istocie niezawisłość sędziów bierze się stąd, że i oni chcą spokojnie spać. Studenci zawsze śmiali się na takie słowa, a jednak były prawdziwe, Lambrecht raczej nie napotkał wyjątków od tej reguły.

Sędzia śledczy ma być może najciekawsze zajęcie, jakie oferuje wymiar sprawiedliwości karnej. Może się krótko przyjrzeć każdej sprawie, nie musi wysiadywać na nudnych rozprawach głównych ani być komukolwiek posłusznym. Jednak druga strona medalu to samotność. Sędzia śledczy rozstrzyga sam jeden. Wszystko zależy od niego, on osadza człowieka w więzieniu lub go wypuszcza. Bywają łatwiejsze profesje.

Lambrecht nie przepadał za obrońcami. Ale i za prokuratorami nie przepadał. Skupiał się na samym przypadku i podejmował decyzje trudne do przewidzenia. Większość na niego psioczyła, dziwne wrażenie sprawiały jego blade usta i o wiele za duże okulary, ale wszyscy sędziego szanowali. Na dwudziestolecie służby prezes sądu rejonowego wręczył mu dyplom. Zapytał wtedy Lambrechta, czy po tylu latach jeszcze lubi swój zawód. Ten odparł, że na razie nie polubił. Cóż, był niezawisły.

Lambrecht przeczytał zeznania świadków, a kiedy i on nie zdołał skłonić mężczyzny do mówienia, zażądał wyświetlenia wideo. Przyszło nam bodaj sto razy z rzędu oglądać z nim te sceny, umiałbym je wtedy już narysować, trwało to całą wieczność.

Proszę wyłączyć to ustrojstwo - powiedział wreszcie do szeregowego

policjanta i odwrócił się w naszą stronę. - A teraz słucham panów.

Oczywiście Kesting przekazał wcześniej projekt postanowienia o tymczasowym aresztowaniu, bez którego nie dostalibyśmy terminu. Występował o areszt za podwójne zabójstwo, ze względu na uzasadnioną obawę ucieczki, ponieważ nie daje się ustalić tożsamości mężczyzny.

- Z pewnością można by uznać, że zachodzi sytuacja obrony koniecznej - powiedział teraz prokurator. - Ale wtedy przekroczone by jej granice.

Prokuratura zmierzała więc do zarzutu tak zwanego ekscesu. Atakowany ma prawo się bronić, dobór środków nie podlega ograniczeniom. Można użyć pałki przeciw pięści, pistoletu przeciw nożowi, nie trzeba wybierać środka najłagodniejszego. Jednak nie wolno przesadzić - przeciwnikowi, którego się już unieszkodliwiło strzałem, nie należy jeszcze ucinać głowy. Takich ekscesów prawo nie toleruje.

- Przekroczenie polegało na tym, że mężczyzna uderzył w nóż będący w piersi ofiary - stwierdził Kesting.

- Aha - odpowiedział Lambrecht ze zdziwieniem w głosie. - Pan obrońca proszę.

- Wiemy wszyscy, że to nonsens - zacząłem. - Nikt nie ma obowiązku tolerować ataku nożem i oczywiście miał on prawo się bronić w taki sposób. Prokuraturze nie chodzi też o te kwestie. Prokurator Kesting jest zbyt doświadczony, by liczyć na przeforsowanie takiego zarzutu przed sądem przysięgłych. Chodzi zwyczajnie o to, że chciałby ustalić tożsamość mężczyzny i potrzebuje na to czasu.

- Czy to prawda, panie prokuratorze? - spytał Lambrecht.

- Nie. Prokuratura nie stawia wniosków o nakaz aresztowania, jeśli nie traktuje ich poważnie.

- Aha - odparł znowu sędzia, tym razem z ironią, i zwrócił się do mnie: - Czy pan może nam powiedzieć, kim jest ten mężczyzna?

- Pan sędzia wie, że nie mógłbym, nawet gdybym potrafił. Ale mogę podać adres dla doręczeń. - Byłem bowiem po drugiej rozmowie z adwokatem, który mnie najął. - Można tego mężczyznę wezwać za pośrednictwem pewnej kancelarii, o zgodzie prowadzącego ją adwokata

zapewniam ustnie. - Przekazałem Lambrechtowi adres.

- Widzi pan sędzia? - zawołał Kesting. - On nie chce powiedzieć. Wie znacznie więcej, a nie chce powiedzieć.

- To nie jest postępowanie przeciwko mnie - odpowiedziałem. - Jednak rzecz ma się następująco: nie wiemy, dlaczego podejrzany milczy. Możliwe, że nie zna naszego języka. Ale możliwe też, że milczy z innych powodów...

- Narusza w ten sposób paragraf 111 ustawy o wykroczeniach - przerwał mi Kesting. - Nie ma dwóch zdań, że narusza.

- Proszę panów, byłbym wdzięczny, gdybyście mówili po kolei - powiedział Lambrecht. - Paragraf 111 stanowi, że każdy ma obowiązek podania swoich danych osobowych. Co do tego przyznaję rację prokuraturze. - Sędzia co chwila zdejmował i wkładał okulary. - Ale nie jest to oczywiście przepis, który by usprawiedliwiał nakaz aresztowania. Dla stwierdzenia tych danych wolno kogoś przetrzymywać jedynie dwanaście godzin. A one, panie prokuratorze, dawno minęły.

- Poza tym - dodałem - podejrzany nie zawsze też musi podawać dane osobowe. Ma prawo milczeć, gdyby ujawnieniem danych zgodnych z prawdą naraził się na postępowanie karne. Więc jeżeli ten mężczyzna, mówiąc, kim jest, spowodowałby swoje aresztowanie, to ma on oczywiście prawo do milczenia.

- No i widzi pan, panie sędzio - wtrącił Kesting. - Tamten nie mówi, kim jest, a my nic nie możemy zrobić.

- Otóż to - powiedziałem. - Nie możecie.

Mężczyzna siedział niewzruszony na ławie. Miał na sobie koszulę z moimi inicjałami, którą mu na moją prośbę dostarczono. Leżała dobrze, a jednak dziwnie wyglądała.

Panie prokuratorze - zapytał Lambrecht - czy sprawcę z ofiarami łączyły wcześniej jakiekolwiek relacje?

- Nie, nic nam o tym nie wiadomo.

- Czy ofiary były pod wpływem alkoholu? - Sędzia znów słusznie zapytał. W obronie koniecznej przed pijanym należy raczej robić uniki.

- 0,4 i 0,5 promila.

- To nie wystarczy - powiedział Lambrecht. - Czy znaleziono przy sprawie cokolwiek, o czym by nie mówiły akta? Czy coś by wskazywało na inne przestępstwo lub inny nakaz aresztowania? - Sędzia jakby odhaczał pozycje z listy.

- Nie - odparł Kesting, świadomy, że każde kolejne „nie” oddala go od celu.

- Czy jakichś elementów śledztwa jeszcze brak?

- Owszem, nie rozporządzamy jeszcze dokładnym raportem z sekcji zwłok. - Kesting czuł satysfakcję, że jednak coś się znalazło.

- No ale panie prokuratorze, ci dwaj raczej nie umarli na udar słoneczny. - Głos Lambrechta złagodniał, co nie wróżyło prokuraturze powodzenia. - Podejmę teraz decyzję, jeżeli prokuratura nie może przedstawić nic ponad to, co mam na biurku.

Kesting pokręcił głową.

- Panowie - mówił dalej sędzia. - Usłyszałem dostatecznie dużo. - Odchylił się w fotelu. - Sytuacja obrony koniecznej jest więcej niż ewidentna. Ktoś, komu wygrażają nożem i kijem baseballowym, kogo nawet szturchają i dźgają, ma prawo się bronić. Może się bronić w sposób, który ostatecznie zakończy ten atak, i nic innego nie zrobił podejrzany. - Po krótkiej przerwie Lambrecht ciągnął: - Zgadzam się z prokuraturą, że sprawa wygląda niezwykle. Spokój, z jakim obwiniony odnosił się do ofiar, uważam za coś zatrważającego. Ale nie wiem, na czym by tutaj polegał domniemany eksces. Słuszność mojego rozumowania wynika także z faktu, że na pewno wydałbym nakaz aresztowania obu tych zabijaków, gdyby teraz siedzieli przede mną, a nie leżeli na stole w zakładzie medycyny sądowej.

Kesting zamknął swoje akta. Trzask był za głośny.

Lambrecht podyktował do protokołu:

- Wniosek prokuratury o wydanie postanowienia o tymczasowym areszcie zostaje odrzucony. Podejznanego należy niezwłocznie zwolnić. - Po czym zwrócił się do Kestinga i do mnie: - To wszystko. Miłego wieczoru.

Protokółantka sporządzała zaświadczenie o zwolnieniu, a ja tymczasem wyszedłem na korytarz. Czekał tam Dalger, siedząc na ławce dla

interesantów.

- Dobry wieczór, pan tutaj? - spytałem. Kiedy indziej policjantów aż tak nie ciekawi wynik doprowadzenia przed sędziego.

- Zwolniony?

- Tak, to była ewidentnie obrona konieczna.

Dalger pokręcił głową i powiedział: - Wiedziałem. - Ten dobry policjant miał za sobą dwadzieścia sześć godzin bez snu. Najwyraźniej sprawa drażniła komisarza, co także było do niego niepodobne.

- A co się stało? - spytałem.

- No tak, pan nie zna tamtej historii.

- Jakiej?

- Tego samego ranka, kiedy zatrzymano pańskiego klienta, w dzielnicy Wilmersdorf znaleźliśmy zabitego człowieka. Cios nożem w serce. Nie ma odcisków palców, DNA, włókien, nic. Wszyscy z otoczenia ofiary mają alibi, a trzy doby lecą.

Zasada siedemdziesięciu dwóch godzin głosi, że po upływie tego czasu gwałtownie maleją szanse wykrycia sprawcy morderstwa lub zabójstwa.

- Do czego pan zmierza?

- To zrobił fachowiec.

- Przecież ciosy nożem w serce zdarzają się nieraz - odparłem.

- I tak, i nie. W każdym razie raczej nie tak precyzyjne. Większość musi dźgnąć kilka razy albo nóż utkwi w żebrach. Na ogół jest więcej niedoróbek.

- I co?

- Mam takie jakieś wrażenie... Pański klient...

Oczywiście, to było więcej niż wrażenie. Co roku w Niemczech wychodzi na jaw około dwóch tysięcy czterystu zabójstw, z czego mniej więcej sto czterdzieści przypada na Berlin. To wprawdzie więcej niż we Frankfurcie nad Menem, w Hamburgu i Kolonii razem wziętych, ale przy dziewięćdziesięciu pięciu procentach wykrywalności pozostaje jakichś siedem przypadków, kiedy się nie udaje schwytać sprawcy. A tu właśnie zwolniono człowieka pasującego jak ulał do teorii Dalgera.

- Panie komisarzu, pańskie wrażenie...

Nie dał mi skończyć:

- Tak, tak, wiem. - Odwrócił się.

Zawołałem za nim, żeby zadzwonił, jak będą jakieś wieści. Poszedł do domu, niezrozumiale mamrocząc coś jakby:

- Nie powód... Ci adwokaci... Zawsze to samo...

\*

Mężczyznę zwolniono od razu w pokoju rozpraw, otrzymał z powrotem pieniądze i inne przedmioty, które w jego imieniu pokwitowałem. Poszliśmy do mojego samochodu. Odwiozłem go na dworzec, tam, gdzie trzydzieści pięć godzin wcześniej zabił dwóch mężczyzn. Wsiadł bez słowa i zniknął w tłumie. Nigdy więcej go nie zobaczyłem.

Tydzień później spotkałem się na obiedzie z szefem kancelarii prawa gospodarczego.

- Kim jest ten wasz kluczowy klient, który chciał, żeby się zająć nieznajomym? - zapytałem.

- Nie wolno mi powiedzieć, znasz go. A kim jest nieznajomy, sam nie wiem. Ale mam coś dla ciebie - powiedział i wyciągnął papierową torbę. Była w niej koszula, którą dałem tamtemu mężczyźnie, wyprana i wyprasowana.

Idąc na parking, wyrzuciłem ją do śmieci.



## Zielona

Znowu zjawili się z kolejną owcą. Ci czterej chłopcy w gumiakach stali dokoła, wpatrzeni w nią. Przywieźli zwierzę pikapem na dziedziniec dworu, a teraz pośród mżawki leżało na niebieskiej folii. Gardło owcy było podcięte, a ubłocona sierść - pełna ran kłutych. Zakrzepła krew pomału rozpląwała się na deszczu, w czerwonych strużkach ściekała po folii i wsiąkała między kamienie bruku.

Każdy z nich hodował bydło i sam szlachtował. Ale chociaż obyci ze śmiercią, na widok tego truchła czuli grozę - była to owca *bleu de marine*, płodna rasa o niebieskawej głowie i wypukłych oczach. Wyrwano jej gałki oczne, a na skraju ciemnych oczodołów leżały włókniste pozostałości po nerwach wzrokowych i wiążkach mięśni.

Hrabia Nordeck przywitał mężczyzn lekkim ukłonem, nikomu nie było do rozmów. Popatrzył krótko na zwierzę i pokręcił głową. Z kieszeni marynarki wyjął portfel, odliczył czterysta euro i dał jednemu z tamtych. Było to ponad dwa razy więcej niż wartość owcy. Któryś z chłopów, wyrażając myśli wszystkich, powiedział:

- Tak dalej nie może być.

Kiedy mężczyźni wyjeżdżali z dziedzińca, hrabia Nordeck podniósł kołnierz płaszcza. Mają rację, pomyślał. Muszę z nim pomówić.



Angelika Petersson, od dwudziestu dwu lat policjantka w Nordeck, była kobietą tęgą i zadowoloną z życia. Jeszcze nigdy nie zdarzyła się w jej gminie zbrodnia, a ona nigdy nie musiała w akcji wyciągać broni. Robota na dzisiaj była zamknięta, raport o pijanym kierowcy gotowy. Kiwała się na krześle, mimo deszczu z radością myśląc o weekendzie. Wreszcie będzie miała kiedy powklejać zdjęcia z ostatnich wakacji.



Kiedy odezwał się dzwonek, jęknęła. Nacisnęła brzęczyk, a ponieważ nikt nie wszedł, więc stękając i narzekając, wyszła na ulicę. Miała ochotę powiedzieć do słuchu tym wiejskim chłopakom, których ciągle bawiły dowcipy z dzwonkiem.

Mało brakowało, a nie poznałaby Philippa von Nordeck. Stał na chodniku przed posterunkiem. Łało strumieniami i twarz przesłaniały mu grube strąki mokrych włosów; kurtka ociekała błotem i krwią. Ścisnął nóż kuchenny tak mocno, że przeświecały białą kostki dłoni. Po ostrzu spływała woda.

Philippa, teraz dziewiętnastoletniego, Petersson znała, odkąd był dzieckiem. Podeszła wolno, mówiąc do niego cicho i kojącym tonem, jak niegdyś zagadywała do koni w obejściu ojca. Wyjęła mu nóż z ręki, pogłaskała go po głowie, nie sprzeciwił się. Objęła Philippa ramieniem, po dwóch kamiennych stopniach wprowadziła do niskiego budynku i pokierowała do toalety.

- Najpierw się może umyć, strasznie wyglądasz - powiedziała, bo nie była z policji kryminalnej. Zwyczajnie żał się jej zrobiło Philippa.

Długo płukał dłonie w gorącej wodzie, zabarwiły się na czerwono, lustro zaszło parą. Następnie pochylił się i umył twarz. Krew i błoto zatkały odpływ umywalki.

Patrzając w jej dno, wyszeptał:

- Osiemnastka.

Petersson nie zrozumiała. Zaprowadziła go do swojego biurka w niewielkiej wartowni. Pachniało tam herbatą i pastą do podłóg.

- A teraz proszę opowiedz, co się stało - powiedziała, sadzając go na krześle dla interesantów. Philipp oparł czoło o kant biurka, zamknął oczy i milczał.

- Wiesz co, zadzwonimy do twojego ojca.

Nordeck przyjechał od razu, ale Philipp tylko powtarzał:

- Osiemnastka, to była osiemnastka.

Petersson oświadczyła jego ojcu, że zawiadamia prokuraturę. Nie wie, czy się nie wydarzyło coś złego, a Philipp nie mówi do rzeczy. Nordeck skinął głową:

- Oczywiście. - I pomyślał: No, tośmy się doczekali.



Prokurator wydelegował dwóch funkcjonariuszy policji kryminalnej z miasta powiatowego. Kiedy przyjechali, Petersson i Nordeck pili w wartowni herbatę. Philipp siedział przy oknie, wyglądał na zewnątrz i już na nic nie reagował.

Funkcjonariusze wygłosili oficjalną formułkę zatrzymania i zostawili go pod dozorem Petersson. Chcieli pojechać z Nordeckiem do dworu, żeby przeszukać pokój Philippa. Hrabia pokazał im dwa zajmowane przez syna pomieszczenia na pierwszym piętrze. Jeden z policjantów rozglądał się po nich, tymczasem drugi stanął z Nordeckiem w holu. Na ścianach wisiały setki trofeów z Afryki oraz rodzimych poroży. Było zimno.

Funkcjonariusz stał przed wypchaną olbrzymią głową bawołu kafryjskiego z Afryki Wschodniej, a Nordeck próbował mu wyjaśnić sprawę z owcami:

- Otóż... - zaczął, szukając właściwych słów. - W ostatnich miesiącach Philipp zabił kilka owiec. No cóż, podcinał im gardła. Powiedzieli mi o wszystkim chłopci, którzy go kiedyś na tym przyłapali.

- Ach tak, gardła - odpowiedział policjant. - Te bawoły to chyba ważą ponad tonę, prawda?

- Tak, są dosyć niebezpieczne. Z dorosłym osobnikiem lew nie ma szans.

- Czyli że chłopak ubijał owce, tak? - Funkcjonariusz nie bardzo potrafił odwrócić się od bawołu. Nordeck uznał to za dobry omen:

- Oczywiście za te owce płaciłem i chcieliśmy co do Philippa jakoś zadziałać, ale trochę mieliśmy nadzieję, że to minie... Chyba byliśmy w błędzie. - Sprawę dźgania i oczu lepiej pominę, pomyślał hrabia.

- Czemu on robi coś takiego?

- Nie wiem, pojęcia nie mam.

- To brzmi dziwnie, mam rację?

- Owszem, dziwnie. Musimy jakoś zadziałać - powtórzył Nordeck.

- Na to wygląda. Czy pan wie, co się dzisiaj stało?

- To znaczy?

- No, czy to też była owca? - Policjant, nie mogąc się oderwać od bawołu, dotykał rogów.

- Tak, owca. Przedtem zadzwonił do mnie na komórkę jeden z chłopów. Znalazł kolejną.

Funkcjonariusz z roztargnieniem skinał głowę. Drażniło go, że spędza piątkowy wieczór z mordercą owiec, ale bawół był niezły. Policjant zapytał Nordecka, czy w poniedziałek mógłby przyjechać do miasta, żeby w komendzie złożyć małe zeznanie. Nie chciało mu się teraz odwalać papierkowej roboty, wołał już wrócić do domu.

- Oczywiście - odparł hrabia.

Schodami zszedł drugi policjant. W ręku miał stare pudełko na cygara z żółto-brązowym napisem „Villiger Kilonia”.

- Musimy to pudełko zabezpieczyć - powiedział.

Nordeck spostrzegł, że w głosie tego funkcjonariusza brzmiał ton urzędowy. Wrażenie oficjalności potęgowały plastikowe rękawiczki na jego dłoniach.

- Skoro pan tak uważa - odparł hrabia. - Co jest w środku? Philipp nie pali.

- Znalazłem to pudełko za luźnym kaflem w łazience - oświadczył policjant. Nordecka zirytowało, że w jego domu mogą być luźne kafle. Funkcjonariusz ostrożnie uchylił wieka. Jego kolega i hrabia pochylili się nad pudełkiem i obaj zaraz cofnęli.

Pudełko, wyłożone plastikiem, podzielone było na dwie przegródki. Z każdej wyzierała nie do końca wysuszona, lekko przygnieciona gałka oczna. Na wewnętrznej stronie wieka widniało przyklejone zdjęcie dziewczyny. Hrabia od razu ją rozpoznał: to Sabina, córka Gerikego, nauczyciela w szkole podstawowej. Dopiero co wczoraj obchodziła szesnaste urodziny, Philipp na nich był, a i wcześniej nieraz mówił o Sabinie. Nordeck cały czas myślał, że syn się w niej zakochał. Teraz jednak hrabia poblądł - dziewczyna na zdjęciu nie miała oczu.

Wycięto je.

Nordeck w spisie kontaktów swojego telefonu wyszukał numer do

nauczyciela. Ręce mu drżały. Trzymał komórkę tak, żeby policjanci słyszeli rozmowę. Gerikego zdziwiło, że hrabia dzwoni. Nie, Sabiny nie ma, od razu po przyjęciu urodzinowym pojechała do przyjaciółki w Monachium. Nie, jeszcze nie dawała znać, ale z nią tak bywa. Nauczyciel uspokajał Nordecka:

- Z pewnością wszystko w porządku, na ten nocny pociąg odprowadził ją Philipp.



Policja wypytała dwóch pracowników dworca, postawiła na głowie dom Nordecka, przesłuchała wszystkich zaproszonych na przyjęcie urodzinowe i nie wpadła na żaden trop, który wskazywałby miejsce pobytu Sabiny.

Lekarz medycyny sądowej zbadał oczy w pudełku po cygarach. Należały do owcy. Także krew na ubraniu Philippa pochodziła od zwierzęcia.

Kilka godzin po zatrzymaniu Philippa pewien chłop znalazł za swoim obejściem jeszcze jedną owcę. Zarzucił ją sobie na ramiona i wiejską drogą zaniósł w deszczu pod posterunek. Zwierzę było ciężkie, jego sierść nasiąkała wodą i krwią, które spływały po woskowanej kurtce rolnika. Rzucił owcę na stopnie posterunku, mokra sierść klasnęła o drzwi i zostawiła na drewnie ciemny ślad.

W połowie drogi między dworem a wsią, złożoną z około dwustu niewysokich domów, odgałęziała się polna dróżka. Prowadziła pod opuszczony, kryty strzechą dom w stylu fryzyjskim, stojący na grobli i zwany po prostu *Dikhüs*. Za dnia przyciągał bawiące się dzieci, w nocy pod pergola spotykały się zakochane pary. Słysząc było stąd morze i krzyki mew.

Funkcjonariusze policji kryminalnej znaleźli w mokrym owsie telefon komórkowy Sabiny. Niedaleko leżała też opaska do włosów. Miała ją na urodzinach, powiedział Gerike. Teren zamknięto, po czym tamtejsze podmokłe łąki przeczesano stu policjantów, którzy przywieźli psy tresowane do znajdowania zwłok. Sprowadzono techników do zabezpieczania śladów; ubrani w białe kombinezony z tyveku, szukali dalszych środków dowodowych. Ale niczego więcej nie znaleźli.

Razem z zastępem policjantów przyjechała do Nordeck także prasa i ktokolwiek pokazał się na drodze, przeprowadzano z nim wywiad. Mało kto

już wychodził z domu, zaciągano zasłony, nawet wiejska gospoda świeciła pustkami. Przesiadawali w niej tylko dziennikarze z kolorowymi torbami na ramię. Otwierali laptopy, klęli, że połączenia z internetem za wolne, i opowiadali sobie wiadomości, których nie było.

Od wielu dni padało bez przerwy, nocami na niskich dachach zalegała mgła. Nawet bydło zrobiło się jakby mrukliwe. Mieszkańcy wsi rozmawiali o jednej sprawie. Nie kłaniali się już Nordeckowi.

Piątego dnia po zatrzymaniu Philippa rzecznik prasowy prokuratury zarządził publikację zdjęcia Sabiny i ogłoszenie w gazetach o jej zaginięciu. Nazajutrz na drzwiach dworu widniał nabazgrany czerwoną farbą napis „Morderca”.

Philipp był w więzieniu. Przez pierwsze trzy dni prawie się nie odzywał, a jeżeli już, to niezrozumiale. Czwartego dnia oprzytomniał. Policjanci przesłuchali go, był szczery i odpowiadał na pytania. Tylko kiedy chcieli pomówić o owcach, spuszczał głowę i milkł. Rzecz jasna, funkcjonariuszy bardziej ciekawiła Sabina, ale Philipp raz po raz oświadczał, że odprowadził ją na dworzec. No a wcześniej poszli do domu na grobli i tam rozmawiali. Jak przyjaciele”, twierdził. I może to wtedy zgubiła opaskę i telefon. Nie, on jej nic nie zrobił. Więcej nie dało się z niego wydobyć. Na rozmowę z psychiatrą się nie zgadzał.



Dochodzeniem kierował prokurator Krauther. Przez te dni źle sypiał i jak przy śniadaniu mówiła mu żona, w nocy zgrzytał zębami. Jego kłopot polegał na tym, że w gruncie rzeczy jak dotąd nic się nie zdarzyło. Philipp von Nordeck zabił kilka owiec, ale było to tylko uszkodzenie cudzej własności i naruszenie ustawy o ochronie zwierząt. Nie powstały straty finansowe, ojciec Philippa płacił za owce, i żaden z rolników nie złożył doniesienia o przestępstwie. Sabina nie dotarła wprawdzie do przyjaciółki w Monachium. „Ale to przecież dziewczyna, i może się nie odzywać z tysiąca przyczyn”, powiedział prokurator do żony. Chociaż jak na razie sędzia śledczy przychylił się do wniosku o nakaz aresztowania, o który wystąpił Krauther, jednak pudełkiem na cygara trudno byłoby dowieść, że Philipp

zabił Sabinę. Prokurator miał się nieszczęśliwie.

Ponieważ tutaj na wsi niewiele przypadków wymagało badań somatycznych, przynajmniej w tej kwestii szybko zapadło rozstrzygnięcie. U Philippa nie stwierdzono zmian organicznych w mózgu, zachorowań ośrodkowego układu nerwowego ani anomalii w garniturze chromosomowym. Ale, pomyślał Krauther, to oczywiście kompletny wariat.

Kiedy spotkałem prokuratora pierwszy raz, mijało sześć dni od aresztowania, a na dzień następny przypadało badanie jego podstaw. Krauther wydawał się zmęczony, ale zadowolony z tego, że ma się z kim podzielić przemyśleniami.

- Zdaniem Rascha - powiedział - perwersje mają skłonność do nasilania się. Czy jeżeli dotychczas ofiarami Philippa były same owce, to nie mogą się teraz nimi stać ludzie?

Wilfried Rasch do końca życia uchodził za nestora psychiatrii sądowej. Jedną z jego teorii naukowych głosi, że perwersje z czasem przybierają na sile. Ale po tym, czegośmy się już dowiedzieli o czynach Philippa, w ogóle mi one nie wyglądały na perwersje.

Przed wizytą u Krauthera rozmawiałem z weterynarzem, który na zlecenie Nordecka niszczył ciała zabitych owiec. Policja miała lepsze zajęcia niż przesłuchiwać akurat jego, albo może zwyczajnie nikt o tym nie pomyślał. Był on wnikliwym obserwatorem, a zdarzenia te go tak dziwiły, że o każdej martwej owcy sporządził krótki raport. Zapiski weterynarza wręczyłem prokuratorowi, on zaś je szybko przejrzał. Każda owca miała osiemnaście ran kłutych. Krauther spojrzał na mnie. Policjantka też mówiła, że Philipp nic tylko powtarzał „osiemnastka”. Mogło to więc mieć z tą liczbą coś wspólnego.

Powiedziałem, że nie sądzę, by Philipp miał zaburzenia na tle seksualnym, lekarz medycyny sądowej zbadał ostatnią z owiec i nie znalazł oznak tego, by ich uśmiercanie podniecało chłopca seksualnie. Nie znaleziono na zwierzętach spermy ani śladów penetracji.

- Nie sądzę, żeby Philipp był zboczeńcem - powiedziałem.

- To kim w takim razie jest? - spytał Krauther.

- Prawdopodobnie schizofrenikiem.

- Schizofrenikiem?

- Tak, czegoś się boi.

- Bardzo możliwe. Ale nie chce rozmawiać z psychiatrą.

- Bo też nie musi - odparłem. - W gruncie rzeczy sprawa jest, panie prokuratorze, bardzo prosta. Nie ma pan nic. Nie ma pan trupa, nie ma dowodów jakiegokolwiek przestępstwa ani nawet powodów, by przestępstwo domniemywać. Kazał pan osadzić Philippa von Nordeck w areszcie, bo zabijał owce. Ale nakaz aresztowania wydano pod zarzutem zabójstwa Sabiny Gerike. Co za nonsens. Philipp jest w areszcie tylko dlatego, że pan ma złe przeczucia.

Krauther w duchu przyznawał mi rację. A ja wiedziałem, że ją przyznaje. Czasami obrońca ma łatwiej niż prokurator. Moim zadaniem były osłanianie klienta i stronniczość, a zadaniem Krauthera - bezstronność. Nie był do niej zdolny.

- Żeby tak wychynęła skądś ta dziewczyna - powiedział.

Prokurator siedział plecami do okna. Deszcz walił o szyby i sływał szerokimi smugami. Krauther odwrócił się na krześle biurowym i w ślad za mną spojrział na szare niebo. Prawie pięć minut siedzieliśmy tak, patrząc tylko w deszcz, i żaden z nas się nie odezwał ani słowem.

\*

Nocowałem u Nordecków, gdzie ostatni raz byłem dziewiętnaście lat temu na chrzcie Philippa. Jedliśmy kolację, kiedy kamień stłukł szybę. Hrabia powiedział, że to piąta w tym tygodniu, nie ma sensu wzywać policji. Tylko lepiej, żebym wprowadził samochód do którejś stodoły w obejściu, inaczej rano zastanę przekłute opony.

Koło północy, kiedy leżałem w łóżku, do mojego pokoju weszła Viktoria, pięcioletnia siostra Philippa. Miała na sobie bardzo kolorowy szlafrok.

- Zrobisz tak, żeby Philipp wrócił? - zapytała.

Wstałem, posadziłem sobie Viktorię na ramionach i zaniósłem do jej łóżka. Drzwi były na tyle wysokie, że nie uderzała głową o framugę - jedna z niewielu zalet starego domu. Siadłem na łóżku dziewczynki i ją przykryłem.

- Czy miałaś kiedyś katar? - zapytałem.

- Tak.

- Wiesz, Philipp ma w głowie coś jak katar. Jest trochę chory i musi wyzdrowieć.

- Jak on w głowie kicha? - zapytała. Mój przykład nie był chyba zbyt fortunny.

- Nie można kichać w głowie. Philipp ma w niej po prostu zamęt. Pewnie taki jak ty, kiedy ci się coś złego przyśni.

- Ale jak się obudzę, to już jest dobrze.

- Właśnie. Philipp musi się obudzić.

- Zrobisz tak, żeby wrócił?

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Spróbuję.

- Nadine mówiła, że Philipp był niedobry.

- Kto to jest Nadine?

- Nadine to moja najbliższa przyjaciółka.

- Viktorio, Philipp nie jest niedobry. A teraz zaśnij.

Nie chciała zasnąć. Była niezadowolona, że tak mało wiem. Martwiła się o brata. W końcu poprosiła, żebym jej opowiedział historyjkę. Wymyśliłem taką, żeby w niej nie występowały żadne owce ani choroby. Kiedy zasnęła, poszedłem po laptopa i akta i pracowałem w jej pokoju do rana. Dwa razy się jeszcze budziła, podnosiła na chwilę głowę, spoglądała na mnie i z powrotem zasypiała. Koło szóstej pożyczyłem sobie jedną z par gumiaków hrabiego, których kilka stało w holu, i wyszedłem na dziedziniec zapalić papierosa. Panował wilgotny ziąb, byłem niewyspany, a już za osiem godzin miało się odbyć badanie podstaw aresztowania.

Tego dnia nadal nic nie było słyhać o Sabinie. Mijał już tydzień, odkąd znikła. Prokurator Krauther wystąpił o utrzymanie aresztu w mocy.

Badanie podstaw aresztowania to zwykle uciążliwa rozmowa. Prawo głosi, że należy sprawdzić, czy wobec aresztowanego istnieje tak zwane uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa. Brzmi to jednoznacznie i klarownie, w realnym świecie jednak nie bardzo daje się uchwycić. W tej fazie dochodzenie nieraz dopiero rusza, postępowanie ledwo się zaczyna i



wiele rzeczy jest jeszcze trudnych do ogarnięcia. Sędzia nie ma prawa iść na łatwiznę, rozstrzyga o wolności niewinnego być może człowieka. Badanie podstaw aresztowania przebiega z wyłączeniem jawności, o wiele mniej formalnie niż rozprawa główna; sędziowie, prokuratorzy i obrońcy są bez tóg, a w praktyce wszystko sprowadza się do poważnej rozmowy o utrzymaniu aresztu w mocy.

Sędzią śledczym w sprawie karnej przeciwko Philippowi von Nordeck był młody człowiek, który dopiero co zakończył okres próbny. Denerwował się, nie chciał zrobić błędu. Po półgodzinie oświadczył, że wysłuchał argumentów, a decyzję wyda „drogą wydziałową”. Znaczyło to, że wykorzysta czternastodniowy termin, by poczekać na dalsze wyniki dochodzenia. Nikogo to nie zadowoliło.

Kiedy wychodziłem z sądu rejonowego, wciąż jeszcze lało.

\*

Na międzypokładzie promu kursującego do Flensburga z Kollund siedziała na drewnianej ławce Sabina. Wcześniej w tej miejscowości, mogącej zaoferować niewiele więcej niż sklep meblowy i niewielką plażę, spędziła szczęśliwy, choć deszczowy tydzień z Larsem. Był to młody robotnik budowlany, na plecach miał wytatuowaną nazwę swojego klubu piłkarskiego. Jej ojciec nie lubił Larsa, więc ten tydzień z nim przemilczała przed rodzicami. Mieli do Sabiny zaufanie, myślała, że i tak sami nie zadzwonią.

Lars odprowadził ją na statek, a teraz czuła strach. Już kiedy wchodziła na nieduży prom, wpatrywał się w nią ten mężczyzna w wyświechtanej marynarce. Ciągle spoglądał dziewczynie prosto w twarz, a teraz jeszcze podszedł. Już miała wstać i się oddalić, kiedy zapytał:

- Pani Sabina Gerike?

- Yhym...Tak.

- Na miły Bóg, dziewczyno, proszę czym prędzej zadzwonić do domu, wszędzie pani szukają. Niech no pani zajrzy do tej gazety.

Wkrótce potem u jej rodziców odezwał się telefon, a w pół godziny później zadzwonił do mnie prokurator Krauther. Sabina zwyczajnie dała

dyla z chłopakiem, powiedział. Spodziewają się jej po południu. Dodał, że Philipp zostanie zwolniony, ale obowiązkowo będzie musiał się leczyć psychiatrycznie - co i tak już uzgodniłem wcześniej z nim i jego ojcem. Krauther wymógł na mnie obietnicę, że tej sprawy dopilnuję.

\*

Zakład karny wyglądał jak zbudowany z plastikowych klocków. Kiedy stamtąd odebrałem Philippa, cieszył się oczywiście, że jest na wolności i że z Sabiną wszystko w porządku. W drodze powrotnej do jego rodzinnego domu zapytałem, czy nie chciałby się przejść. Stanęliśmy przy polnej drodze. Nad nami rozpościerało się niebo jak na obrazach Emila Noldego, deszcz przestał padać i słychać było wrzaski mew. Rozmawialiśmy o jego internacie i zamiłowaniu do motocykli, a także o muzyce, jakiej obecnie słuchał. Nagle ni stąd, ni zowąd powiedział coś, czego nie chciał powiedzieć psychiatrze:

- Ja w ludziach i zwierzętach widzę liczby.

- To znaczy?

- Kiedy widzę jakieś zwierzę, ma swoją liczbę. Na przykład tamta krowa to trzydzieści sześć. Mewa to dwadzieścia dwa. Sędzia był pięćdziesiąt jeden, a prokurator dwadzieścia trzy.

- Dochodzisz do tego po namyśle?

- Nie, ja to widzę. Od razu, jak inni widzą jakąś twarz. Nie zastanawiam się. Tak po prostu jest.

- Czy ja też mam jakąś liczbę?

- Tak. Pięć. To dobra liczba. - Obaj się roześmieliśmy, pierwszy raz od jego aresztowania. Jakiś czas szliśmy obok siebie w milczeniu.

- Philipp, co to jest z tą osiemnastką?

Spojrzał na mnie przestraszony.

- Osiemnastką?

- Podałeś tę liczbę policjantce i zabijałeś owce osiemnastoma dźgnięciami.

- Nie, to nieprawda. Zabijałem je najpierw, a dopiero potem dźgałem po sześć razy w oba boki i grzbiet. Musiałem też wyjmować oczy. To było bardzo trudne, pierwsze się zepsuły.

Philipp zaczął drzeć, po czym wyrzucił z siebie:

- Boję się osiemnastki. To diabeł. Trzy razy szóstka. Osiemnastka. Rozumiesz?

Spojrzałem na niego pytająco.

- Apokalipsa, Antychryst. To liczba zwierzęcia i diabła! - wykrzyczał prawie.

Rzeczywiście, sześćset sześćdziesiąt sześć jest liczbą biblijną, która występuje w Objawieniu św. Jana. Mowa w nim: *Tu jest mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć.* Według ludowych wierzeń ewangelista miał nią określić diabła.

- Jak nie pozabijam owiec, to oczy spalą ziemię. Gałki oczne to grzeszne owoce, jabłka z drzewa poznania. One wszystko zniszczą. - Philipp się rozplakał, zanosił szlochom jak dziecko, drżał na całym ciele.

- Posłuchaj proszę. Boisz się owiec i ich obrzydliwych oczu. To mogę zrozumieć. Ale cała ta sprawa z Objawieniem to kompletny nonsens. Święty Jan nie miał na myśli diabła, to była ukryta aluzja do rzymskiego cesarza Nerona.

- Co?

- Liczba sześćset sześćdziesiąt sześć wychodzi, jak dodamy do siebie wartości liczbowe hebrajskich liter tworzących imię „Nero”. O nic innego nie chodziło, tyle że święty Jan nie mógł tego napisać wprost. Musiał dla cesarza znaleźć szyfr, a ten nie ma nic wspólnego z Antychrystem.

Philipp ciągle jeszcze płakał. Nie miało sensu tłumaczyć mu, że Biblia nigdzie nie mówi o jabłkach w raju. On żył w osobnym świecie. W pewnej chwili uspokoił się i poszliśmy do samochodu. Czyste po deszczu powietrze miało smak soli.

- Miałbym jeszcze jedno pytanie - powiedziałem po dłuższej chwili.

- Tak?

- Co to wszystko ma wspólnego z Sabiną? Czemu zrobiłeś tamto z jej oczami?

- Parę dni przed jej urodzinami widziałem te oczy w moim pokoju.

Sabina dostała owczych oczu. I wtedy zrozumiałem. Powiedziałem jej to w domu na grobli, wieczorem po urodzinach. Przestraszyła się.

- Co zrozumiałeś?

- I jej imię, i nazwisko składają się z sześciu liter.

- Miałeś zamiar ją zabić?

Długo na mnie patrzył, po czym powiedział:

- Nie, ja nie mam zamiaru zabijać ludzi.

\*

Tydzień później zawiozłem Philippa do pewnej kliniki psychiatrycznej w Szwajcarii. Nie chciał tam pojechać z ojcem. Po tym jak rozpakowaliśmy jego walizki, przyjął nas dyrektor szpitala i pokazał jasne, nowoczesne budynki. Chłopiec dobrze trafił, jeśli można coś takiego powiedzieć o domu bez klamek.

Wcześniej odbyłem długą rozmowę telefoniczną z ordynatorem. On także, już na odległość, wyraził pogląd, że wszystko świadczy o schizofrenii paranoidalnej. Nie jest to rzadka choroba, uważa się, że raz w życiu zapada na nią mniej więcej jeden procent ludności. Często występuje w rzutach, prowadząc do formalnych i treściowych zaburzeń myślenia i postrzegania. Większość pacjentów słyszy głosy, wielu uważa się za prześladowanych albo winnych klęskom żywiołowym, kiedy indziej, jak Philippa, dręczą ich urojenia. Chorobę tę zwalcza się lekarami i długą terapią. Pacjenci muszą mieć zaufanie i się otworzyć. Szanse całkowitego wyzdrowienia wynoszą około trzydziestu procent.

Na koniec oprowadzania Philipp towarzyszył mi do bramy. Był z niego już tylko zwykły samotny, smutny i zalękniony chłopiec. Powiedział:

- Nigdy nie pytałeś, jaka jest moja liczba.

- Rzeczywiście, nie. A jaka?

- Zielona - odparł, odwrócił się i poszedł do kliniki.



## Cierń

Feldmayer w swoim życiu miał już niejedną robotę. Piekł pizzę, był listonoszem, kelnerem, fotografem i przez pół roku kowalem. W wieku trzydziestu pięciu lat zgłosił się do pracy jako strażnik w miejskim muzeum starożytności i ku swojemu zdziwieniu został przyjęty.

Po wypełnieniu wszystkich formularzy, udzieleniu odpowiedzi na pytania i dostarczeniu zdjęć do identyfikatora wręczono mu w magazynie z odzieżą roboczą trzy szare uniformy, sześć niebieskich koszul i dwie pary czarnych butów. Przyszły kolega oprowadził go po budynku, pokazał bufet, pokój socjalny, toalety, i objaśnił obsługę zegara kontrolnego. Na koniec Feldmayer zobaczył pomieszczenie, którego miał później pilnować.

Kiedy chodził po muzeum, pani Truckau, jedna z dwóch pracownic działu kadr, uporządkowała jego dokumenty, część wysłała do księgowości, założyła teczkę. Nazwiska strażników nanosiło się na fiszki i włączało do szufladki w kartotece. Dzięki temu co sześć tygodni przydzielano strażników do innego muzeum miejskiego, by urozmaicić im pracę.

Pani Truckau myślała o swoim narzeczonym. Wczoraj w kawiarni, gdzie od prawie ośmiu miesięcy spotykali się po pracy, oświadczył się jej. Rumienił się i jąkał, dłonie miał wilgotne, ich zarysy zostawiały ślad na marmurowym stoliku. Pani Truckau podskoczyła wtedy z radości, pocałowała go przy wszystkich, a potem oboje pobiegli do jego mieszkania. Teraz, ledwo żywa ze zmęczenia, miała od różnych planów mętlik w głowie; zaraz go zobaczy, obiecał, że po nią przyjdzie. Spędziła pół godziny w toalecie, ostrzyła ołówki, sortowała spinacze, snuła się po korytarzu, aż wreszcie się doczekała. Narzuciła kurtkę, zbiegła schodami do wyjścia i padła mu w ramiona. Zapomniała zamknąć okna.

Kiedy później sprzątaczką otworzyła drzwi biura, nie do końca jeszcze

wypisaną fiszkę podmuch wiatru zwiął na podłogę, skąd została zmieciona. Także nazajutrz Feldmayera nie włączono do „szufladki rotacyjnej”, bo pani Truckau myślała o wszystkim, tylko nie o tej fiszce. Rok później, po urodzeniu dziecka, odeszła z pracy, a o nim zupełnie zapomniano.

Feldmayer nigdy się nie skarżył.

\*

Sala, prawie pusta, miała osiem metrów wysokości i prawie sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni. Ściany i półokrągłe sufity były z cegły, której czerwień, tłumiona przez warstwę wapna, przebijała ciepłym odcieniem. Podłogę pokrywał szaroniebieski marmur. Sala była ostatnią z dwunastu kolejnych w bocznym skrzydle muzeum. W jej środku stała rzeźba zamontowana na szarym kamiennym cokole. Przy środkowym z trzech wysokich okien znajdowało się krzesło, na parapecie lewego okna stał pod kloszem higrometr. Cicho tykał. Za oknem, na dziedzińcu, rósł kasztanowiec. Następny strażnik pełnił służbę cztery pomieszczenia dalej, czasami Feldmayer słyszał dalekie skrzypienie gumowych podeszew na kamiennej posadzce. Poza tym było cicho. Feldmayer usiadł i czekał.

Przez pierwsze tygodnie był niespokojny, co pięć minut wstawał, chodził szybko po sali i cieszył się każdym zwiedzającym. Szukał zajęcia. Wymierzył salę, jako narzędzia używając jedynie drewnianej linijki przyniesionej z domu. Najpierw określił długość i szerokość jednej płyty marmurowej, i na tej podstawie obliczył wielkość podłogi. Później zauważył, że zapomniał o spoinach, więc je zmierzył i doliczył. Trudniejsze były ściany i sufity, ale Feldmayer miał czas.

Założył szkolny zeszyt, do którego wpisywał każde obliczenie. Mierzył drzwi oraz ich pływiny, wgłębienia na zamki, długość klamek, listwy przypodłogowe, osłony kaloryferów, uchwyty okien, odstęp między podwójnymi szybami, obwód higrometru i włączniki światła. Wiedział, ile w tym pomieszczeniu jest metrów sześciennych powietrza, jak daleko i do której płyty sięgają promienie słoneczne którego dnia, znał średnią wilgotność powietrza i jej odchylenia rano, w południe i wieczorem. Zanotował, że dwunaste spojenie, licząc od wejścia, jest o pół milimetra

węższe. Drugi uchwyt okienny od lewej miał na spodzie odprysk niebieskiej farby, którego Feldmayer nie potrafił sobie wytłumaczyć, bo w sali nie było nic niebieskiego. Osłonę kaloryferów w jednym miejscu nie do końca pokryto lakierem, a cegły ściany w głębi miały trzy dziury wielkości szpilki.

Liczył zwiedzających - to, jak długo byli w jego sali, od której strony oglądali posąg, jak często wyglądali oknem, kto skinął do niego głową. Ujmował statystyką osoby płci męskiej i żeńskiej, dzieci, wycieczki szkolne i nauczycieli, kolor kurtek, płaszczy, swetrów, koszul, spódnic, spodni zwiedzających i ich skarpetek. Liczył, ile razy ktoś w sali zrobił wdech i wydech, utrwał to, jak często stawano na której marmurowej płycie, ile wymawiano słów i jakie. Powstała statystyka koloru włosów, oczu i skóry, kolejna dotyczyła szalików, torebek i pasków, jeszcze inna - łysin, bród i ślubnych obrączek. Liczył muchy, próbował uchwycić system ich ruchu w powietrzu i lądowisk.



Muzeum odmieniło Feldmayera. Wszystko zaczęło się od tego, że wieczorami nie mógł znieść dźwięku swojego telewizora. Przez pół roku włączał go jeszcze bez fonii, później w ogóle już nie używał, wreszcie podarował telewizor parze studentów, która wprowadziła się do mieszkania naprzeciwko. Następnie przyszła kolej na obrazki. Miał kilka reprodukcji dzieł sztuki - *Jabłka i chustę*, *Słoneczniki* i *Widok na szczyt Watzmanna*. W pewnej chwili zaczęły go drażnić kolory, zdjął te obrazki ze ściany i wyniósł na śmieci. Po trochu uprzętał z mieszkania rzeczy: magazyny ilustrowane, ozdobne popielniczki, podkładki pod naczynia, liliowy obrus i dwa talerze z motywem Toledo. Wyrzucał wszystko. Zdarł tapety, ściany zaszpachlował na gładko, wybielił wapnem, usunął dywan i oczyścił parkiety.

Po kilku latach życie Feldmayera toczyło się już niezmiennym trybem. Wstawał co rano o szóstej. Następnie, nie zważając na pogodę, szedł pięć tysięcy czterysta kroków okrężną drogą przez park. Poruszał się niespiesznie i zawsze trafiał na moment, gdy światło przy przejściu dla pieszych przeskoczy na zielone. Kiedy czasem nie zdołał utrzymać tego rytmu, przez resztę dnia źle się czuł.

Co wieczór wkładał stare spodnie i na kolanach polerował parkiet w mieszkaniu - męcząca robota, która trwała prawie godzinę i dawała mu satysfakcję. Starannie wykonywał domowe prace i sypiał spokojnym, głębokim snem. W niedzielę zachodził zawsze do tej samej gospody, zamawiał kurczaka i wypijał do niego dwa piwa. Zwykle ucinał sobie jeszcze pogawędkę z właścicielem, z którym się znali ze szkolnej ławy.

Do czasu muzeum Feldmayer stale miał kobiety, a potem coraz mniej go ciekawiły. Jak mawiał do właściciela gospody, zwyczajnie mu się przejadły. „Są hałaśliwe, zadają pytania, na które nie znam odpowiedzi, a o pracy też nie mam czego mówić”.

Jedynym jego hobby była fotografia; dawno temu po korzystnej cenie kupił niezłą używaną leikę, a w jednym z miejsc pracy nauczył się wywoływać zdjęcia. Kiedyś w mieszkaniu urządził sobie ze schowka ciemnię - ale po tych latach w muzeum zabrakło mu motywacji.

Regularnie dzwonił do matki i co trzy tygodnie ją odwiedzał. Po jej śmierci nie miał już rodziny. Zrezygnował z telefonu w mieszkaniu.

Życie upływało mu spokojnie, unikał podejmowania się czymkolwiek. Nie był ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy. Feldmayer był zadowolony z życia.

Póki nie zaprzątnęła go ta rzeźba.



Był to *Chłopiec wyciągający cierń*, motyw antyczny. Naga postać siedzi na głazie, plecy schylone, lewa noga zgięta i założona na prawe udo. Lewa dłoń trzyma grzbiet lewej stopy, z jej podeszwy prawa dłoń wyciąga cierń. Marmurowa figura w sali Feldmayera była rzymską stylizacją oryginału greckiego. Nie miała szczególnej wartości, takich kopii istnieje mnóstwo.

Feldmayer zdążył dawno wymierzyć figurę, przeczytał na jej temat wszystko, co mógł znaleźć, umiałby nawet z pamięci narysować cień, jaki rzucała na ziemię. Ale dopiero między siódmym a ósmym rokiem w muzeum - tego dokładnie nie pamiętał - wszystko się zaczęło. Siedział wtedy na krześle i patrzył na rzeźbę, nie widząc jej. Nagle zadał sobie pytanie, czy chłopiec znalazł cierń w stopie. Nie wiedział, skąd się wzięło to pytanie, zwyczajnie pojawiło się i nie chciało zniknąć.



Podszedł do figury i ją zbadał. Nie znajdował ciernia w stopie. Zdenerwował się - uczucie nieznane mu od lat. Im dłużej patrzył, tym mniej jasne dla niego było, czy nagi chłopiec w ogóle się doszukał ciernia. Tej nocy Feldmayer źle spał. Nazajutrz rano zrezygnował z rundki po parku i niechcący wylał kawę. Przyszedł do muzeum za wcześnie, musiał czekać pół godziny na otwarcie wejścia dla personelu. W kieszeni miał szkło powiększające. Niemal biegiem ruszył do swojej sali, zbadał lupą rzeźbę milimetr po milimetrze. Nie znalazł ciernia, ani między kciukiem a palcem wskazującym chłopca, ani w stopie. Zastanawiał się, czy aby chłopiec nie rzucił już ciernia na ziemię. Ślizgając się na kolanach, zbadał podłogę dokoła posągu. Zrobiło mu się niedobrze i w toalecie zwymiotował.

Feldmayer wolałby nigdy tej sprawy z cierniem nie odkryć.

Przez kolejne tygodnie jeszcze mu się pogorszyło. Codziennie siedział z chłopcem w sali i dumał. Wyobrażał sobie, jak tamten bawił się w chowanego albo grał w piłkę. Nie, pomyślał, przecież o tym czytał, to na pewno był wyścig, oni tam w Grecji ciągle jakieś urządzali. No i wtedy chłopiec nadepnął na maleńki cierń. Bolało, nie mógł odtąd stawiać stopy. Inni go wyprzedzili, a on musiał usiąść na głazie. I teraz już od wieków ten cholerny niewidoczny cierń tkwi w stopie i nie daje się wyciągnąć. Feldmayer popadał w coraz większy niepokój. Po kilku miesiącach już z chwilą obudzenia miewał ataki lęku. Rankami przesiadywał długo w świetlicy. Nikt inny tylko on, którego koledzy za plecami przezywali „mnichem”, w bufecie wdawał się w pogaduszki i robił wszystko, byle jak najpóźniej dotrzeć do swojej sali. Kiedy już się znalazł przy chłopcu, nie mógł na niego patrzeć.

Było już kiepsko. Feldmayer co jakiś czas oblewał się potem, cierpiał na częstoskurcz serca i obgryzał paznokcie. Nie bardzo potrafił spać, a kiedy go zmorzyło, miał koszmary i budził się cały mokry. Jego zewnętrzne życie było już tylko pustą powłoką. Wkrótce nabrał poczucia, że cierń jest w jego głowie i ciągle rośnie. Że drapie ścianę czaszki od wewnątrz, Feldmayer słyszał ten szmer. Wszystko, co w jego życiu było dotychczas pustką, spokojem i ładem, zamieniło się w chaos ostrych kolców. I nie było ucieczki. Nie czuł już

żadnych zapachów, miał trudności z oddychaniem. Czasami tak mu brakowało powietrza, że - a było to surowo zabronione - gwałtownie otwierał któreś okno w sali. Jadał już tylko maleńkie porcje, bo sądził, że inaczej się udławi. Nabrał przekonania, że chłopcu się zaogniła stopa, i kiedy rzucał tam okiem, był pewien, że posąg co dzień trochę rośnie. Należało go wyswobodzić, uwolnić od bólu. W ten sposób Feldmayer wpadł na pomysł z pinezkami.



W sklepie z artykułami piśmiennymi nabył pudełko pinezek o dobrze widocznych, jaskrawożółtych główkach. Kupił najmniejsze, jakie zdołał znaleźć, nie chcąc, żeby tamto za bardzo bolało. Trzy ulice dalej znajdował się sklep obuwniczy. Feldmayer nie musiał długo czekać. Jakiś chudy mężczyzna, który przymierzał but, krzyknął z bólu, po czym skacząc na jednej nodze, dotarł do ławki i wśród przekleństw wyciągnął sobie z poduszki stopy żółtą pinezkę. Trzymał ją między kciukiem a palcem wskazującym, oglądał pod światło i pokazywał innym klientom.

Na widok wyciągniętej pinezki mózg Feldmayera wydzielił tyle endorfin, że omal go to nie zważyło z nóg. Był uszczęśliwiony, przez wiele godzin przepełniało go to uczucie, wszelki lęk i niemoc nagle zniknęły, miał ochotę uścisnąć zranionego mężczyznę i cały świat. Po tym upojnym przeżyciu przespał całą noc, z powrotem po wielu miesiącach, i w kółko śnił jeden sen: chłopiec wyciąga cierń, ze śmiechem wstaje i kiwa mu ręką.

Minęło zaledwie dziesięć dni, a chłopiec znowu z wyrzutem pokazał mu zranioną stopę. Feldmayer jęknął, ale wiedział, co zrobić, pudełko z pinezkami ciągle trzymał w kieszeni.



Pracownikiem muzeum był już od dwudziestu trzech lat, a za kilka minut jego czas miał dobiec kresu. Feldmayer wstał i potrząsnął jedną, potem drugą nogą, ostatnio nieraz cierpły od długiego siedzenia. Dwie minuty, a wszystko się skończy. Odniósł krzesło pod środkowe okno, gdzie znajdowało się pierwszego dnia, starannie je tam ustawił i przetaił rękawem kurtki. Ostatni raz podszedł do posągu.

Przez minione dwadzieścia trzy lata ani razu nie dotknął *Chłopca wyciągającego cierń*. I nie planował niczego, co teraz się stało. Zobaczył sam siebie, jak oburącz chwyta rzeźbę, poczuł śliski, zimny marmur, zdejmując ją z cokołu. Ważyła więcej, niż się spodziewał. Trzymana teraz przed twarzą, była tuż tuż, Feldmayer unosił posąg nad głowę, coraz wyżej, stał na palcach stóp, wyprężając się, jak tylko potrafił. W tej postawie wytrzymał prawie minutę, aż zaczął drżeć. Zrobił możliwie najgłębszy wdech, z całej siły cisnął rzeźbą o ziemię i krzyknął.

Krzyczał głośno jak jeszcze nigdy w życiu. Jego krzyk rozchodził się echem po salach i niósł od jednej do drugiej ściany, tak straszliwy, że w kawiarni muzealnej, aż dziewięć pomieszczeń stąd, kelnerka upuściła zastawioną tacę. Rzeźba z głuchym hukiem roztrzaskała się o podłogę, jedna z marmurowych płyt pękła.

A wtedy stało się coś dziwnego. Feldmayer poczuł, jakby krew w jego żyłach zmieniła barwę, jakby nagle jasnoczerwona, tętniąca, od żołądka rozprzestrzeniła się po całym ciele, aż po palce u rąk i nóg, jakby od wewnątrz wypełniła go jasnością. Pęknięta płyta, zagłębienia w ceglanych ścianach i ziarenka kurzu nabrały plastyczności, wszystko się ku niemu wysklepiło, lecące odpryski marmuru zdawały się wisieć w powietrzu. I zobaczył cierń, świecący osobliwym blaskiem, zobaczył go ze wszystkich stron naraz, aż cierń się rozplątał i znikł.

Feldmayer osunął się na kolana. Powoli uniósł głowę i wyjrzał oknem. Kasztanowiec spowijała łagodna zieleń, taka zieleń, jaka się zdarza tylko w pierwsze dni wiosny, popołudniowe słońce rzucało na posadzkę sali niespokojne cienie. Nie było żadnych więcej bólów. Poczuci na twarzy ciepło, zaswędziało go nos, i w pewnej chwili Feldmayer wybuchnął śmiechem. Śmiał się, śmiał i trzymał za brzuch, już nie mogąc przestać.



Obu funkcjonariuszy policji porządkowej, którzy zawieźli Feldmayera do domu, zdziwiła spartańskość mieszkania. Posadzili go na jednym z dwóch kuchennych krzeseł, chcąc poczekać, aż się uspokoi i coś im może wyjaśni.

Jeden z policjantów szukał łazienki. Przez pomyłkę otworzył drzwi do

sypialni, stanął w tym ciemnym pomieszczeniu, znalazł po omacku włącznik światła. I wtedy zobaczył: ściany i sufit były wytapetowane tysiącami zdjęć ponaklejanych jedno na drugie, nie został ani milimetr wolnego miejsca. Fotografie leżały nawet na podłodze i stoliku nocnym. Ukazywały w różnych sceneriach zawsze taki sam motyw: mężczyźni, kobiety i dzieci siedzą na schodach, krzesłach, kanapach i parapetach, siedzą gdzieś na pływalniach, w sklepach z butami, na ławkach i brzegach jezior. I każde z nich wyciąga sobie ze stopy żółtą pinezkę.



Dyrekcja muzeum złożyła doniesienie o przestępstwie w związku z uszkodzeniem rzeczy i chciała pozwać Feldmayera o odszkodowanie. Prokuratura prowadziła dochodzenie w sprawie setek przypadków niebezpiecznego uszkodzenia ciała. Władny w tej sprawie szef wydziału prokuratury postanowił o poddaniu Feldmayera badaniu psychiatrycznemu. Wynikła z tego ciekawa ekspertyza. Psychiatra nie mógł się zdecydować. Twierdził że, co prawda Feldmayer zniszczył posąg na skutek psychozy, ale być może przez ten czyn sam się wyleczył. Niewykluczone, że jest groźny, a z pinezek zrobią się któregoś dnia noże. Ale też możliwe, że do niczego takiego nie dojdzie.

W końcu prokuratura wniosła oskarżenie przed sąd ławniczy. Należało się z tego domyślać, że zakładała wysokość kary od dwóch do czterech lat więzienia.

W razie wniesionego oskarżenia sąd musi rozstrzygnąć, czy zostaje ono dopuszczone do rozprawy. Sędzia wszczyna postępowanie, kiedy uzna skazanie za bardziej prawdopodobne niż uniewinnienie. Tak przynajmniej mówią podręczniki, w rzeczywistości grają rolę całkiem inne kwestie. Sędziowie nie lubią, kiedy ich decyzje uchyla sąd wyższej instancji, i dlatego nieraz, choć zakładają raczej uniewinnienie oskarżonego, wszczynają jednak postępowanie. Kiedy wolą go nie wszczynać, starają się czasem o rozmowę z prokuraturą, dla pewności, że ta nie wniesie zażalenia.

Siedzieliśmy z sędzią w jego pokoju, razem z prokuratorem dyskutując o tym przypadku. Dowody prokuratury wydawały mi się słabe. Nie istniały

inne oprócz zdjęć, oskarżyciele nie mogli wskazać żadnych świadków, i nie było jasne, ile zdjęcia mają lat - kto wie, czy aby te czyny nie uległy przedawnieniu. Ekspertyza biegłego niewiele dała, a Feldmayer nie przyznawał się do winy. Pozostawała sprawa rzeźby, czyli uszkodzenie rzeczy. Dla mnie jasne było, że główną winę ponosiła dyrekcja muzeum, która zapomniała o swoim pracowniku i na dwadzieścia trzy lata zamknęła go w jednym pomieszczeniu.

Sędzia przyznawał mi rację. Był rozsierdzony. Mówił, że na ławie oskarżonych wolałby zobaczyć dyrekcję, bądź co bądź miejski zarząd muzeów wykończył człowieka. Sędzia chciał, by z powodu znikomej szkodliwości społecznej umorzyć postępowanie. Wygarnął, co myśli. Na takie potraktowanie sprawy musi jednak się zgodzić organ ścigania karnego, a nasz prokurator nie był do tego skłonny.

A jednak kilka dni później otrzymałem decyzję o umorzeniu. Zadzwoiłem do sędziego, a on powiedział, że niespodziewanie przystał na nie przełożony naszego prokuratora. Powodu, rzecz jasna, nigdy oficjalnie nie podano, był jednak oczywisty: jeżeli nie przerwie się postępowania, dyrekcja muzeum na jawnym procesie stawia czoło niekoniecznie miłym pytaniom. Rozsierdzony sędzia da obronie dużą swobodę. Feldmayerowi wszystko ujdzie nieomal bezkarnie, a miasto i muzeum staną przed sądem.

Dyrekcja muzeum też w końcu zaniechała powództwa cywilnego. Podczas obiadu ze mną dyrektor powiedział, że mogło być gorzej. Gdyby Feldmayer pilnował „Sali Salome”...

Strażnik zachował prawo do renty. Muzeum wydało oświadczenie, które przeszło bez echa, a głosiło, że pewien posąg uległ uszkodzeniu wskutek wypadku. Nazwisko Feldmayera nie padło, a on nigdy już nie wziął pinezki do ręki.

\*

Skorupy rzeźby zebrano do kartonu i zanesiono do warsztatów muzeum. Zadanie rekonstrukcji przypadło młodej konserwatorce. Okruchy, które rozłożyła, zajęły cały nakryty czarnym sukniem stół. Każdy z nich sfotografowała i ponad dwieście odłamków skatalogowała w brulionie.

Kiedy zaczęła pracę, w warsztacie było cicho. Przez okno, które otworzyła, wniknęło tu wiosenne ciepło, a konserwatorka, paląc papierosa, przyglądała się skorupom. Była szczęśliwa, że po studiach dostała pracę właśnie tutaj. Wiedziała, że scalenie *Chłopca wyciągającego cierń*, jej pierwsze większe zadanie, potrwa długo, być może całe lata.

Pod przeciwległą ścianą stała pochodząca z Kioto niewielka drewniana głowa Buddy, starego jak świat. Miał na czole pęknięcie. Uśmiechał się.



## Miłość

Przysnęła z głową na jego udzie. Ciepłe letnie popołudnie, otwarte okna, błogość. Znali się już od dwóch lat, obydwójce studiowali w Bonn ekonomikę przedsiębiorstwa, chodzili na te same wykłady. Wiedziała, że Patrik ją kocha.

Głaskał ją po plecach. Książka go znudziła, nie lubił Hessego, a te wiersze czytywał na głos tylko dlatego, że ona tak chciała. Oglądał i palcami obrysowywał na jej nagiej skórze kręgosłup i łopatki. Na stoliku nocnym leżał scyzoryk, niedawno pokroił nim jabłko, które potem zjedli. Odłożył książkę na bok i sięgnął po ten właśnie scyzoryk. Zauważyła półotwartymi oczami, że Patrik dostał wzvodu. Uśmiechnęła się, dopiero co się kochali. Otworzył ostrze. Uniosła głowę w kierunku jego penisa, aż nagle coś ją zacięło w plecy. Krzyknęła, gwałtownie odepchnęła dłoń Patrika i się poderwała. Scyzoryk zleciał na parkiet, czuła, jak ścieka jej po plecach krew. Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem, dała mu w twarz, chwyciła swoje wiszące na krześle ubranie i pobiegła do łazienki. Jego studenckie mieszkanie znajdowało się na parterze starego budynku. Czym prędzej się ubrała, wyszła przez okno i pędem uciekła.

Cztery tygodnie później policja wezwała Patrika na przesłuchanie pismem wysłanym pod adres, gdzie był zameldowany. A ponieważ on się, jak to często studenci, nie przemeldował, wezwanie trafiło nie do Bonn, ale do rodzicielskiej skrytki pocztowej w Berlinie. Matka otworzyła je, sądząc, że to jakiś mandat. Wieczorem między rodzicami odbyła się długa dyskusja o tym, co źle zrobili, po czym ojciec zadzwonił do Patrika. Nazajutrz matka uzgodniła w moim sekretariacie termin spotkania i tydzień później rodzina zasiadła w kancelarii.

Byli to porządni ludzie - ojciec kierownik budowy, przysadzisty, bez

podbródka, o krótkich rękach i nogach, matka niegdyś sekretarka, pod pięćdziesiątkę, władcza i pełna energii. Patrik nie pasował do rodziców. Był wyjątkowo urodziwym chłopcem o wąskich dłoniach i piwnych oczach. Opisał przebieg czynu, wspominając, że są z Nicole od dwóch lat i ani razu się nie pokłócili. Matka przerywała mu w co drugim zdaniu, po czym stwierdziła - ona stwierdziła - że to był oczywiście wypadek. Patrik powiedział, że mu przykro. Kocha dziewczynę, chce ją przeprosić, ale jest nieosiągalna.

Matka trochę za bardzo podniosła głos:

- Może to i lepiej. Wolałabym, żebyś już jej nie widywał. Poza tym w przyszłym roku i tak jedziesz na uniwersytet do St. Gallen.

Ojciec mówił niewiele. Pod koniec konsultacji zapytał, czy to dla syna groźna sprawa.

Myślałem, że z tego pełnomocnictwa wywiążę się szybko. Policja odesłała już sprawę do prokuratury rejonowej. Zadzwoiłem do pani prokurator prowadzącej postępowanie. Kierowała dużym wydziałem - przemoc domowa. Co roku tysiące przypadków, których przyczyną są zwykle alkohol, zazdrość i kłótnie o dzieci. Przyrzekła mi rychły wgląd w akta.

Dwa dni później miałem już w komputerze tych niecałych czterdzieści stron. Zdjęcie pleców dziewczyny ukazywało ranę ciętą długości piętnastu centymetrów, o gładkich krawędziach. Zagoi się łatwo, nie zostanie blizna. Ale byłem pewien, że to nie wypadek. Nóż, który upada, rani inaczej.

Poprosiłem rodzinę na drugie spotkanie, a ponieważ sprawa nie była pilna, termin wypadł dopiero za trzy tygodnie.

Czwartkowego wieczoru pięć dni później, kiedy zamknąłem już kancelarię i włączyłem światło na klatce, zobaczyłem Patrika siedzącego na stopniach schodów. Powiedziałem, żeby wszedł, ale pokręcił głową. Oczywiście miał szkliste, w palcach trzymał niezapalonego papierosa. Przyniosłem z kancelarii popielniczkę, podałem mu ogień i siadłem obok. Wyłącznik czasowy cyknął. Pałac, siedzieliśmy w ciemności.

- Panie Patriku, co mogę dla pana zrobić? - zapytałem po dłuższej chwili.

- To takie trudne.



- To zawsze trudne - odpowiedziałem i czekałem dalej.

- Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

- Mamy czas, całkiem tu miło. - Było zimno i niewygodnie.

- Kocham Nicole, jak jeszcze nigdy nikogo nie kochałem. Przestała się odzywać, próbowałem wszystkiego. Napisałem nawet list, ale nie odpowiedziała. Komórkę ma wyłączoną. Dzwoniłem do jej najbliższej przyjaciółki, ale ona odłożyła słuchawkę.

- Tak bywa.

- Co mam robić?

- Z tej sprawy karnej można się wybronić. Nie pójdzie pan do więzienia. Czytałem pańskie akta...

- Naprawdę?

- Szczerze mówiąc, w pana historii coś nie gra. To nie był wypadek. Patrik zawahał się. Zapalił kolejnego papierosa.

- Zgadza się - powiedział. - To rzeczywiście nie był wypadek. Nie wiem, czy mogę panu powiedzieć, co to było naprawdę.

- Na adwokatów spoczywa obowiązek zachowania tajemnicy - odpowiedziałem. - Wszystko, co mi pan powie, zostanie między nami. Pan jeden zdecyduje, czy będę mógł o tym mówić i komu. Rodzice też się o tej rozmowie nie dowiedzą.

- Czy to dotyczy nawet policji?

- Przede wszystkim policji i innych organów ścigania. Muszę milczeć, inaczej bym sam popełnił przestępstwo.

- Mimo wszystko nie potrafię o tym opowiedzieć - odparł.

Nagle wpadłem na sposób:

- W mojej kancelarii pracuje adwokat, który ma pięcioletnią córeczkę. Niedawno coś opowiadała innej dziewczynce. Obie siedziały w kucki na podłodze. Córeczka, bardzo żywa, mówiła, mówiła i coraz bliżej przysuwała się do przyjaciółki. Była tak przejęta swoją opowieścią, że po chwili już prawie siedziała na tej drugiej dziewczynce. Gadała bez ustanku, aż nie wytrzymała, objęła przyjaciółkę i ze szczęścia, z zachwytu ugryzła ją w szyję.

Czułem, że to na Patrika podziałało. Walczył ze sobą, wreszcie

powiedział:

- Chciałem ją zjeść.

- Pańską dziewczynę?

- Tak.

- Czemu pan to chciał zrobić?

- Pan jej nie zna, trzeba zobaczyć jej plecy, spiczaste łopatki, jędrną i białą skórę. Moja taka porowata, jakby dziurawa, a skóra Nicole jest gładka i szczelna. Ma takie maleńkie jasne włoski.

Próbowałem sobie przypomnieć zdjęcie tych pleców zawarte w aktach.

- Czy pierwszy raz pan tego chciał?

- Tak. I jeszcze raz przedtem, ale to nie było takie silne. Na wakacjach w Tajlandii, kiedy leżeliśmy na plaży. Trochę ją wtedy za mocno ugryzłem.

- Jak pan zamierzał to zrobić tym razem?

- Nie wiem. Myślę, że chciałem po prostu kawałeczek wyciąć.

- Czy chciał pan kiedyś zjeść jeszcze kogoś?

- Nie, oczywiście, że nie. Chodzi o nią, tylko o nią. - Zaciągnął się papierosem. - Czy ja zwariowałem? Chyba nie jest ze mnie Hannibal Lecter? A może jednak? - Czuł strach przed samym sobą.

- Nie, nie. Chociaż nie jestem lekarzem, myślę, że poniosła pana miłość do niej. Sam pan o tym wie, nawet sam pan o tym mówi. Sądzę, że jest pan bardzo chory. Tu trzeba pomocy. I to szybko.

Bywają różne rodzaje kanibalizmu. Ludzie zjadają ludzi z głodu, z przyczyn rytualnych albo właśnie wskutek silnych zaburzeń osobowości, które często mają tło seksualne. Patrik sądził, że to Hollywood wynalazł Hannibala Lectera, tymczasem on istnieje od zarania dziejów. W osiemnastowiecznej Styrii Paul Reisinger pochłoniął sześć „dygocących serc dziewczycych”, przekonany, że kiedy zje dziewięć, stanie się niewidzialny. Peter Kürten wypijał krew swoich ofiar, Joachim Kroll w latach siedemdziesiątych zjadł co najmniej osiem zabitych przez siebie osób, a Bernard Oehme spożył w 1948 roku własną siostrę.

W historii prawa znalazłoby się wiele takich przykładów nie do wyobrażenia. Kiedy w roku 1924 ujęto Karla Denke, w jego kuchni

znaleziono wszelkie możliwe ludzkie szczątki: ochłapy mięsa marynowane w occie, wiadro kości, garnki z wytrąconym tłuszczem oraz worek z setkami zębów. Miał szelki zrobione z wyciętych pasów ludzkiej skóry, dały się na nich rozpoznać sutki. Liczba jego ofiar jest do dziś nieznana.

Panie Patriku, czy słyszał pan kiedyś o Japończyku Issei Sagawie?

- Nie, kto to?

- W tej chwili felietonista kulinarny w Tokio.

- I co?

- W roku 1981 w Paryżu zjadł swoją partnerkę. Powiedział, że za bardzo ją kochał.

- Zjadł całą?

- Co najmniej pewne kawałki.

- No i co? - Głos Patrika drżał. - Czy powiedział, jak było?

- Nie pamiętam dokładnie. Chyba mówił, że smakowała jak tuńczyk.

- Aaa...

- Lekarze zdiagnozowali wtedy ciężkie zaburzenia psychotyczne.

- Czy ja je też mam?

- Nie bardzo wiem, ale chciałbym, żeby pan poszedł do lekarza. - Włączyłem światło. - Proszę poczekać, pójdę po numer na ostry dyżur psychiatryczny. Zawiozę pana teraz, jeśli pan chce.

- Nie - odparł. - Chciałbym się najpierw zastanowić.

- Nie mogę pana zmusić. Ale niech pan jutro rano przyjdzie do mojej kancelarii. Pójdziemy do sensownego psychiatry. Zgoda?

Wahał się. W końcu powiedział, że przyjdzie, i wstaliśmy.

- Mogę jeszcze o coś zapytać? - powiedział Patrik, zniżając głos. - Co się stanie, jak nie pójdę do psychiatry?

- Boję się, że będzie gorzej. - Z powrotem otwarłem drzwi kancelarii, żeby znaleźć numer telefonu i odnieść popielniczkę. Gdy wróciłem na klatkę schodową, Patrika już nie było.

Nie przyszedł także nazajutrz. Tydzień później dostałem od jego matki czek i list. Odebrała mi pełnomocnictwo, a pismo nabrało ważności przez to, że podpisał je również Patrik. Zadzwoiłem do niego, ale nie chciał ze mną

rozmawiać. W końcu zrezygnowałem z obrony.

Dwa lata później wygłaszałem referat w Zurychu. Podczas przerwy zagadnął mnie starszy wiekiem adwokat z St. Gallen. Wspomniał nazwisko Patrika i zapytał, czy był moim klientem, bo coś takiego mówił. Zapytałem, co się stało. Mój kolega odparł:

- Dwa miesiące temu zabił kelnerkę. Z jakich pobudek, kompletnie do dziś nie wiadomo.



## Etiopczyk

Błady mężczyzna siedział na samym środku trawnika. Miał odstające uszy, rude włosy i dziwnie krzywą twarz. Nogi wyciągnął przed siebie, w rękach, które spoczywały na udach, ścisnął plik banknotów. Wpatrywał się w gnijące jabłko, które leżało obok. Obserwował, jak mrówki wygryzały z owocu drobne kawałki i dokądś je transportowały.

Była pełnia lata, krótko po dwunastej, jeden z takich berlińskich straszliwie upalnych dni, kiedy w południe nikt rozsądny nie wyjdzie dobrowolnie z domu. Na tym niewielkim placu między wieżowcami, który wymyślili urbaniści, budowle ze szkła i stali odbijały słońce, a nad ziemią gromadził się żar. Zraszacz do trawników wysiadł, było widać, że do wieczoru trawa zwiędnie.

Nikt na tego mężczyznę nie zwracał uwagi, nawet kiedy w banku naprzeciwko zawyła syrena alarmowa. Trzy radiowozy, jakie wkrótce nadjechały, minęły go pędem. Policjanci wbiegli do banku, inni otoczyli plac, ciągle ich przybywało.

Z banku, w towarzystwie policjantów, wyszła kobieta w kostiumie. Ocieńla dłonią oczy, zbadała trawnik spojrzeniem i wreszcie wskazała bladego mężczyznę. W ślad za jej wyciągniętą ręką błyskawicznie uformował się strumień zielonych i niebieskich mundurów. Policjanci zaczęli na tego mężczyznę krzyczeć, jeden z nich wydobyl broń służbową i wrzeszczał, żeby tamten podniósł ręce.

Mężczyzna nie reagował. Sierżant policji, który przez cały dzień wynudził się pisaniem raportów na komendzie, chcąc być teraz pierwszy, podbiegł i się na niego rzucił. Wykręcił mu prawą rękę. Banknoty wzleciały w powietrze, ktoś wykrzykiwał rozkazy, nikt ich nie słuchał, wreszcie wszyscy obstąpili mężczyznę i zaczęli zbierać pieniądze. Leżał na brzuchu,

policjant przygniatał mu plecy kolanem i wciskał jego twarz w trawę. Ziemia była ciepła. Między wysokimi butami policjantów mężczyzna znowu widział jabłko. Mrówki bez wrażenia pracowały dalej. Zamknął oczy i z powrotem znalazł się w Etiopii.



Jego życie zaczęło się jak w ponurej baśni: był podrzutkiem. W niewielkiej parafii pod Gießen stała na schodach plebanii świetlicie zielona wanienka z plastiku. Noworodek leżał na sfilcowanym kocu i był wyziębiony. Ktokolwiek go tam porzucił, nie zostawił mu nic - żadnego listu, zdjęcia, wspomnienia. Takie wanienki były w każdym domu towarowym, koc pochodził z wyposażenia Bundeswehry.

Proboszcz zawiadomił natychmiast policję, ale matki nie znaleziono. Niemowlę trafiło do domu dziecka, a po trzech miesiącach władze wydały zgodę na jego przysposobienie.

Państwo Michalka, którzy sami nie mieli dzieci, adoptowali go i ochrztili imionami Frank Xaver. Ci surowi, małomówni ludzie, hodowcy chmielu ze spokojnych okolic Górnej Frankonii, nie mieli doświadczenia z dziećmi. Jego przybrany ojciec mawiał często: „Życie nie jest takie słodkie”, i zawsze wtedy oblizywał usta sinawym językiem. Człowieka, bydlę i tyczkę chmielu traktował z równym szacunkiem i równą surowością. Kłócił się z żoną, kiedy była dla chłopca za miękka. „Jeszcze mi go zepsujesz”, mawiał, myśląc o pasterzach, co nigdy nie głaszczą owczarków.

W przedszkolu się z niego wyśmiewali, do szkoły przyjęli, gdy miał sześć lat. Nic mu się nie wiodło. Był brzydki, za wysoki, a przede wszystkim zbyt dziki. Nauka szła mu ciężko, ortografia tragicznie, z prawie każdego przedmiotu dostawał najgorsze stopnie. Dziewczyny bały się Michalki albo brzydziły się jego wyglądu. Był niepewny swego i przez to zarozumiały. Rude włosy robiły z niego outsidera. Większość uważała go za głupka, tylko nauczycielka niemieckiego mówiła, że ma inne talenty. Prosiła go czasem o drobne naprawy w swoim domu i podarowała mu jego pierwszy scyzoryk. Na gwiazdkę Michalka zмайstrował dla niej wiatrak z drewna. Wystarczyło dmuchnąć, a skrzydła się obracały. Nauczycielka wyszła za mężczyznę z

Norymbergi i w czasie letnich wakacji wyprowadziła się ze wsi. Nie powiedziała o tym chłopcu, a kiedy przyszedł do niej następnego razu, przed domem, w pojemniku na gruz, zobaczył wiatrak.

Dwa razy zostawał na drugi rok. Po skończeniu dziewięcioklasowej szkoły zaczął terminować u stolarza w najbliższym większym mieście. Nikt się już z niego nie wyśmiewał, miał metr dziewięćdziesiąt osiem wzrostu. Egzamin czeladniczy zdał tylko dzięki temu, że w części praktycznej był bezkonkurencyjny. Służbę wojskową odbył w jednostce łączności niedaleko Norymbergi. Posprzeczał się z przełożonym i jeden dzień spędził w celi.

Po zwolnieniu pojechał autostopem do Hamburga. Widział kiedyś film, którego akcja toczyła się w tym mieście - były tam piękne kobiety, szerokie ulice, port i prawdziwe nocne życie. Tam będzie lepiej, bo przecież, jak gdzieś przeczytał, „W Hamburgu mieszka wolność”.

Właściciel stolarni budowlanej w Fuhlsbüttel dał mu zatrudnienie i pokój nad halą fabryczną. Pokój był schludny, Michalka sprawny. Spisywał się dobrze. Mimo że często brakowało mu określeń, rozumiał rysunki techniczne, poprawiał je i umiał zrealizować. Kiedy w firmie ukradziono pieniądze z szafy, zwolniono jego. Pracował w firmie najkrócej, a wcześniej nigdy tutaj nie było kradzieży. Dwa tygodnie później policja znalazła kasetkę z pieniędzmi w mieszkaniu pewnego narkomana - Michalka nie miał z tym nic wspólnego.

W dzielnicy St. Pauli spotkał kumpla z wojska, a on naraił mu pracę dozorczy w burdelu. Michalka został popychadłem. Poznał margines społeczny, lichwiarzy, stręczycieli, prostytutki, narkomanów, zabijaków. Starał się trzymać od tego z daleka. Dwa lata mieszkał w suterenie burdelu, w ciemnym pokoju, aż zaczął pić. Nie mógł znieść nędzy dokoła siebie. Kobiety w burdelu go lubiły i opowiadały mu swoje losy. Nie radził sobie z tym. Robił długi u niewłaściwych ludzi. Ponieważ nie mógł się wypłacić, rosły odsetki. Został pobity, leżał w bramie i zabrała go policja. Zrozumiał, że w ten sposób marnie skończy.

Postanowił spróbować za granicą, obojętne, w jakim kraju. Niewiele myśląc, od jednej z kobiet w burdelu wzięła pończochę. Wszedł do oddziału

kasy oszczędnościowej, naciągnął sobie pończochę na twarz zgodnie z tym, co widział na pewnym filmie, zagroził kasjerce plastikowym pistoletem i zagrał dwanaście tysięcy marek. Policja zablokowała ulice i sprawdzała każdego przechodnia, ale Michalka, jakby w transie, wsiadł do autobusu jadącego na lotnisko. Kupił bilet *economy class* do Addis Abeby, ponieważ sądził, że to miasto leży w Azji czy w każdym razie daleko. Nikt go nie zatrzymywał. Cztery godziny po napadzie siedział w samolocie, jego jedynym bagażem była plastikowa torba. Kiedy maszyna odrywała się od ziemi, przeżył chwile strachu.

Po sześciu godzinach lotu, pierwszego w swoim życiu, wylądował w stolicy Etiopii. Na lotnisku wykupił wizę na sześć miesięcy.

Pięć milionów mieszkańców, sześćdziesiąt tysięcy dzieci na ulicy, prostytutka, drobna przestępczość, ubóstwo, niezliczona masa żebraków, na poboczach niepełnosprawni, pokazujący swoje upośledzenia, by wzbudzić litość - po trzech tygodniach zrozumiał, że w Hamburgu i Addis Abebie nędza z grubsza ta sama. Napotkał trochę Niemców, kolonię życiowych rozbitków. Warunki higieniczne były katastrofalne, zaraził się tyfusem, nabawił gorączki, wysypki i biegunki, aż jego znajomy ściągnął kogoś w rodzaju lekarza i Michalka dostał antybiotyk. Znów miał dosyć.

Był już pewien, że świat to jeden wielki śmietnik. Nie miał przyjaciół, żadnych perspektyw, żadnego punktu oparcia. Po sześciu miesiącach w Addis Abebie postanowił skończyć z życiem - samobójstwo bilansowe. Ale chciał chociaż nie umierać w gnoju. Z pieniędzy zostało jeszcze koło pięciu tysięcy marek. Wsiadł w pociąg do Dżibuti. Parę kilometrów za Dire Dawa zaczął wędrówkę przez tereny pasterskie. Spał na ziemi albo w tanich hotelikach, od ukąszenia moskita zachorował na malarię. Jechał wtedy autobusem na wyżyny, choroba objawiła się po drodze, dostał dreszczy. Wysiadł z autobusu byle gdzie, otumaniony i chory chodził po plantacjach kawy, świat rozmywał mu się przed oczami. Potknął się i upadł między kawowe krzewy. Zanim stracił przytomność, pomyślał jeszcze: To wszystko był jeden wielki syf.

Obudził się w przerwie między nawrotami gorączki. Dotarło do niego, że



leży w łóżku. Obstępowali go lekarz i wielu obcych ludzi, wszyscy czarnoskórzy. Zrozumiał, że mu pomagają, i z powrotem zapadł w koszmarny gorączkującego. Malaria była brutalna. Tu na wyżynach nie zdarzały się moskity, ale dobrze tę chorobę znano i leczono. Dziwny przybysz, którego znaleźli na plantacji, miał przeżyć.

Gorączka powoli opadała, przespał prawie dobę. Kiedy się zbudził, leżał sam w pobielonym pomieszczeniu. Na jedynym krześle w tym pokoju ktoś starannie rozwiesił jego spodnie i kurtkę, uprane. Obok stał plecak. Kiedy spróbował wstać, nogi się pod nim ugięły, pociemniało mu w oczach. Przesiedział kwadrans na łóżku i spróbował po raz drugi. Musiał pilnie pójść do toalety. Otworzył drzwi i wyszedł do sieni. Podeszła do niego jakaś kobieta i żywo gestykulując, pokręciła głową.

- No, no, no - powtarzała po angielsku.

Wzięła go pod ramię i zaciągnęła z powrotem do pokoju. Dał do zrozumienia, że się musi załatwić, przytaknęła i pokazała mu wiadro pod łóżkiem. Pomyślał, że ładna, i zasnął.

Następny raz obudził się z lepszym samopoczuciem. Zajrzał do plecaka, pieniędzy nie ubyło. Zdołał opuścić pokój. Był sam w tym maleńkim domu, złożonym z kuchni i dwóch izb. Wszystko tu wyglądało schludnie i porządnie. Wyszedł z domu na wiejski plac. Powietrze było rześkie. Opadły go roześmiane dzieci. Zrozumiał, że chcą dotknąć jego rudych włosów, i pozwolił na to, siadając na kamieniu. Dzieci miały niezłą zabawę. W pewnej chwili podeszła ładna kobieta, u której mieszkał. Mówiąc coś ze złością, zaciągnęła go siłą do domu i poczęstowała podplomykami. Zjadł wszystkie. Uśmiechała się do niego.

Po trochu poznawał tę wioskę hodowców kawy. Oni go wtedy znaleźli na plantacji, przywlekli tutaj i sprowadzili lekarza z miasta. Byli dla Michalki życzliwi. Kiedy odzyskał siły, chciał im pomóc. Zdziwieni, w końcu się zgodzili.

Po pół roku nadal mieszkał u kobiety. Pomału poznawał jej język. Najpierw imię kobiety: Ayana. W zeszycie zapisywał pismem fonetycznym słówka. Śmieli się, kiedy coś błędnie wymawiał. Czasami ona przegarniała

jego rude włosy. Pewnego razu się pocałowali. Mąż dwudziestojednoletniej Ayany zginął w wypadku, dwa lata wcześniej, w stolicy prowincji.

Michalkę zastanawiała ta uprawa kawy. Ręczne, mozolne zbiory trwały od października do marca. Szybko zrozumiał problem - wioska była ostatnim ogniwem w handlowym łańcuchu. Mężczyzna, który przyjeżdżał po suszone ziarna kawy, zarabiał więcej pieniędzy za mniejszą pracę. Ale on miał starą ciężarówkę, a nikt w wiosce nie prowadził samochodu. Michalka za tysiąc czterysta dolarów kupił lepszy samochód i zaczął sam wozić plony do fabryki. Dostawał dziewięć razy większą cenę i dzielił zysk między chłopów. Nauczył też jeździć młodego mężczyznę z wioski, który miał na imię Dereje. Obaj odbierali ziarna także z sąsiednich wiosek, płacąc mieszkańcom cenę trzykrotnie większą niż dotychczasowa. Wkrótce stać ich było na kupno drugiej ciężarówki.

Michalka myślał, jakby tu ułatwić pracę. Pojechał do stolicy prowincji, nabył wiekową prądnicę dieslowską, po czym ze stalowych lin i używanych felg samochodowych zbudował kolejkę linową z plantacji do wioski. Wyciosał w drewnie wielkie skrzynie, które miały służyć jako pojemniki do transportu. Kolejka dwa razy się zawaliła, zanim znalazł odpowiednie odstępy między drewnianymi filarami i dla wzmocnienia dorobił im ukośne podpory ze stali. Naczelnik wioski przyglądał się jego próbom podejrzliwie, ale pierwszy poklepał Michalkę po plecach, kiedy kolejka zadziałała. Ziarna kawy dały się dzięki niej szybciej transportować, chłopci już ich nie dźwigali na plecach do wioski. Szybciej mogli zbierać plony, praca mniej ich męczyła. Dzieci uwielbiały kolejkę linową, na skrzyniach malowały twarze, zwierzęta i mężczyznę o rudych włosach.

Michalka chciał dalej poprawić wyniki zbiorów. Dotychczas chłopci rozkładali ziarna na stelażach i obracali je pięć tygodni, aż prawie całkiem wyschły. Stelaż stał przed chatą albo na jej dachu. Ziarna psuły się od byle zmoknięcia, trzeba je było rozkładać cienkimi warstwami, inaczej gniły. Tę męczącą pracę każdy musiał wykonywać sam. Teraz Michalka kupił cement, mieszał beton. Utworzył za wioską pusty plac, gdzie wszyscy mieszkańcy wsi mogli magazynować zbiory. Skonstruował wielkie sita, i chłopci do spółki

obracali ziarna. Nad placem rozpięli osłonę przeciwdeszczową z przezroczystej folii, dzięki czemu kawa szybciej schła. Byli zadowoleni, mieli mniej pracy i nic się już nie psuło.

Michalka zrozumiał, że można dodatkowo podnieść jakość kawy, kiedy obróbka ziaren nie będzie polegała na samym ich suszeniu. Obok wsi płynęła rzeczka z czystą źródlaną wodą. Spróbował ręcznie myć świeże ziarna i sortować je do trzech zbiorników z wodą. Za pośrednictwem pewnego handlarza kupił za niewielkie pieniądze maszynę, która oddzielała miąższ kawowych owoców od ziaren. Z pierwszych prób nic nie wyszło, oczyszczone w ten sposób ziarna za szybko i za mocno fermentowały. Nauczył się, że trzeba utrzymywać te urządzenia w absolutnej czystości, jedno nieuprzątnięte ziarno potrafiło zepsuć cały proces. Wreszcie się udało. Po obróbce na mokro płukał ziarna kawy, obłuskiwał je z resztek pergaminowej błonki i suszył na wydzielonym kawałku betonowego placu. Kiedy zawiózł do handlarza worek takich ziaren, dostał za nie trzy razy większą cenę. Objął tę procedurę chłopom. Dzięki kolejce linowej mogli oni zwozić zbiory tak szybko, że ziarna przechodziły obróbkę na mokro w ciągu dwunastu godzin. Po dwóch latach wioska produkowała najlepsze ziarna kawy w okolicy.

Ayana zaszła w ciążę. Cieszyli się na dziecko. Kiedy urodziła się dziewczynka, dali jej imię Tiru. Michalka był dumny i szczęśliwy. Wiedział, że zawdzięcza Ayanie życie.

Wioska zrobiła się zamożna. Po trzech latach było w niej pięć ciężarówek, zbiory przebiegały perfekcyjnie, plantacje kawowe mieszkańców się rozrastały, założyli oni system nawadniający i posadzili drzewa dla osłony przed wiatrem. Michalka cieszył się szacunkiem i zyskał rozgłos w całej okolicy. Część swoich zysków chłopci wpłacali do wspólnej kasy. Michalka sprowadził z miasta młodą nauczycielkę i dbał o to, by dzieci z wioski uczyły się czytać i pisać.

Kiedy zachorował ktoś z mieszkańców, zajmował się nim. Lekarz skompletował apteczkę i wpoił Michalce podstawowe wiadomości z medycyny, a ten się szybko uczył. Patrzył, jak się leczy zakażenia krwi,

pomagał przy porodach. Wieczorami lekarz często przesiadywał u niego i Ayany, opowiadał o długiej historii tego biblijnego kraju. Zostali przyjaciółmi.

W razie sporów proszono o radę mężczyznę z rudymi włosami. Był nieprzekupny, wyrokował jak dobry sędzia, nie mając względu na plemię ani wioskę. Ludzie mieli do niego zaufanie.

Znalazł sobie miejsce w życiu, on i Ayana się kochali, Tiru rosła zdrowo. Nie posiadał się ze szczęścia. Czasem tylko, coraz rzadziej, miewał koszmarny sny. Ayana budziła się wtedy i go głaskała. Mówiła, że w jej języku nie istnieje czas przeszły. Przez te lata z nią zrobił się łagodny i spokojny.



W pewnej chwili na Michalkę zwróciły uwagę władze i zapragnęły zobaczyć jego paszport. Dawno skończyła mu się wiza, mieszkał w Etiopii już od sześciu lat. Urzędnicy byli uprzejmi, jednak uparli się, żeby pojechał do stolicy i tam wyjaśnił sprawę. Żegnając się, miał złe przeczucia. Dereje zawiózł go na lotnisko, rodzina machała mu, Ayana płakała.

W Addis Abebie odesłano go do ambasady niemieckiej. Urzędnik zajrzał tam do komputera i znikł z paszportem Michalki, kazać mu godzinę czekać. Wreszcie wrócił z poważną miną, przyprowadzając dwóch policjantów. Michalkę zatrzymano, urzędnik odczytał nakaz aresztowania wydany przez sędziego w Hamburgu. Napad na bank, którego dowodziły pozostawione na bankowej ladzie odciski palców. Wcześniej utrwalono je, bo był wmieszany w pewną bójkę. Próbował się teraz wyrwać, ale powalono go na ziemię i skuto kajdankami. Spędził noc w celi, mieszczącej się w piwnicy ambasady, po czym z dwoma ochroniarzami poleciał do Hamburga i został doprowadzony przed sędziego śledczego. Po trzech miesiącach skazano go na karę minimalną, wynoszącą pięć lat - wyrok łagodny, bo czyn popełniony był w odległej przeszłości, a Michalka nie miał kar uprzednich.

Nie mógł napisać listu do Ayany, bo nawet by go nie miał jak zaadresować. Ambasada niemiecka w Addis Abebie nie potrafiła mu pomóc albo nie chciała. W wiosce nie było oczywiście telefonu. Nie miał żadnego

zdjęcia. Przestał się odzywać i unikał towarzystwa. Jednakowo mijał mu dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem.

\*

Po trzech latach pierwszy raz mu złagodzano warunki odbywania kary i dano przepustkę. Chciał polecieć czym prędzej do domu, nie potrafił wrócić do więzienia. Nie miał jednak ani pieniędzy na samolot, ani paszportu. Wiedział, jak dostać jedno i drugie, w więzieniu skombinował adres pewnego fałszerza. Powędrował tam, a tymczasem znowu zaczęto go szukać. Znalazł fałszerza, ale ten chciał najpierw, żeby mu zapłacić. Michalka nie miał czym.

Wpadł w desperację. Trzy dni kręcił się po mieście, nic nie jedząc ani nie pijąc. Walczył ze sobą, nie chciał znowu popełnić czynu zabronionego, ale musiał wrócić do domu, do swojej rodziny, do Ayany i Tiru.

Wreszcie na dworcu, za resztkę zarobionych w areszcie pieniędzy, kupił pistolet zabawkę i wszedł do pierwszego banku, jaki zobaczył. Trzymając plastikową broń lufą w dół, spojrzął na kasjerkę. W ustach mu zaschło.

Powiedział cichutko:

- Przepraszam bardzo, potrzebuję pieniędzy, naprawdę.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, po czym jednak dała mu pieniądze. Jak później powiedziała, „z litości”. Pieniądze te pobrała ze specjalnego stosu na ewentualność napadu, włączając tym samym cichy alarm. Michalka je wziął, odłożył pistolet na ladę i powiedział:

- Pani wybaczy, tak mi przykro.

Przed bankiem był zielony trawnik. Michalka już nie potrafił uciec biegiem. Szedł wolniutko. Wreszcie usiadł i zwyczajnie czekał. Już po raz trzeci miał dosyć.

\*

Jego towarzysz z celi poprosił, żebym się zajął sprawą Michalki. Powiedział, że zna go z Hamburga i pokryje koszty obrony. Odwiedziłem Michalkę w zakładzie karnym na Moabicy. Pokazał mi nakaz aresztowania na zwykłym czerwonym papierze, jakiego używa do tych celów wymiar sprawiedliwości - napad na bank, a do tego dwadzieścia miesięcy nieodbytej

kary z dawnego wyroku hamburskiego. Zdawało się, że nie ma sensu go bronić - był ujęty na gorącym uczynku, a wcześniej karany za taki sam czyn. Chodziło więc jedynie o wymiar kary, a ten się zapowiadał straszliwie surowy. Ale coś mi w Michalce imponowało, coś go różniło od innych przypadków. Nie był typowym sprawcą napadu na bank. Podjąłem się jego obrony.

Przez kolejne tygodnie często Michalkę odwiedzałem.

Początkowo nie bardzo chciał rozmawiać. Wyglądało na to, że skończył ze wszystkim. Wreszcie pomału się otworzył i po trochu opowiedział swoją historię. Nic nie chciał zdradzić, bał się, że narazi żonę i córkę, kiedy w więzieniu wymówi ich imiona.

Obrona może wystąpić o zbadanie oskarżonego przez psychiatrę albo psychologa. Sąd przychyliła się do takiego wniosku, jeżeli uda się przytoczyć fakty sugerujące, że oskarżony cierpi na chorobę, zaburzenie psychiczne lub zaburzenie osobowości. Oczywiście, opinia biegłego nie jest dla sądu wiążąca - psychiatra nie może rozstrzygnąć o niepoczytalności lub ograniczonej poczytalności oskarżonego. O tym wyrokują tylko sędziowie. Jednak autor opinii pomaga im, dostarcza podstaw naukowych.

Było rzeczą oczywistą, że Michalka, popełniając tamten czyn, cierpiał na jakieś zaburzenie. Kto napada na bank, ten nie przeprasza, nie siada z łupem na trawniku i nie czeka na zatrzymanie. Sąd zatrudnił psychiatrę i po dwóch miesiącach powstała pisemna ekspertyza. Biegły stwierdził załamanie równowagi. Wszystko inne chciał wyłożyć na rozprawie głównej.

\*

Proces odbywał się pięć miesięcy po aresztowaniu Michalki. Skład sędziowski stanowili przewodnicząca sądu, młodszy wiekiem sędzia zawodowy i dwie ławniczki. Na rozprawę przewodnicząca przeznaczyła zaledwie jeden dzień.

Michalka przyznał się do napadu na bank. Mówił z ociąganiem i za cicho. Policjanci zrelacjonowali jego zatrzymanie. Opisali, jak siedział na trawniku. Sierżant, który „namierzył” oskarżonego, powiedział, że nie stawiał on oporu.

Kasjerka stwierdziła, że się nie bała, napastnik budził w niej raczej litość. Robił takie smutne wrażenie. „Jak pies”, powiedziała. Prokurator zapytał, czy ona teraz przy pracy czuje strach, czy dostała zwolnienie lekarskie, czy musiała przejść terapię ofiar. Wszystkiemu zaprzeczyła, mówiąc, że napastnik to jakiś zwykły biedaczek, uprzejmiejszy niż większość klientów. Prokurator nie mógł nie zadać tych pytań - gdyby kasjerka naprawdę przeżywała strach, byłby to argument za zwiększeniem kary.

Oględzinom poddano plastikowy pistolet, tani model z Chin. Ważył zaledwie parę gramów i nie wyglądał groźnie. Jedna z ławniczek wzięła go do ręki, upadł jej. Kawalek plastiku się odkruszył. Taką broń trudno było brać poważnie.

Po tym jak postępowanie pozwoli wykryć sprawcę czynu, przyjęte jest wypytywanie oskarżonego o jego „sytuację osobistą”.

Przez cały ten czas Michalka był nieobecny duchem, z trudem udało się go nakłonić, by opowiedział choćby skrótowo o własnym życiu. Próbował je odtworzyć bardzo powoli, bardzo fragmentarycznie. Nie umiał, nie znajdował słów. Jak wielu ludzi, tak i on miał trudności z wyrażaniem uczuć. Łatwiej było poprosić, by życiorys oskarżonego przedstawił psychiatra.

Ten dobrze przygotowany biegły, który na wypytywanie Michalki przeznaczył wyjątkowo dużo wizyt, ze szczegółami opisał teraz jego życie. Sąd znał je z pisemnej opinii, dla ławniczek jednak było nowością. Słuchały uważnie. Kiedy psychiatra skończył, przewodnicząca spytała oskarżonego, czy biegły odtworzył wszystko zgodnie z prawdą.

- Ano zgodnie - odpowiedział Michalka.

Padło pytanie, jak biegły ocenia naukowo sylwetkę psychiczną oskarżonego w chwili napadu na bank. Psychiatra oświadczył, że trzy dni włączygi po mieście bez jedzenia i picia spowodowały załamanie równowagi. Oskarżony nie bardzo wiedział już, co robi, prawie nie był już zdolny rozeznaczyć znaczenia czynu.

Zamknięto postępowanie dowodowe.

W jednej z przerw rozprawy Michalka powiedział, że przecież to wszystko bez sensu, szkoda sobie nim zawracać głowę, i tak go skazała.

W procesie karnym mowę wygłasza najpierw prokurator. Niemiecka prokuratura, w odróżnieniu od amerykańskiej czy angielskiej, nie jest stroną, ale zachowuje neutralność. Kierując się obiektywizmem, śledzi także okoliczności łagodzące, dzięki czemu nie wygrywa ani nie przegrywa, lecz angażuje się wyłącznie w służbę prawu. Wiąże ją tylko sprawiedliwość. Tak to przynajmniej wygląda teoretycznie. A w trakcie postępowania przygotowawczego z reguły tak też jest. W ferworze procesu jednak relacje te często się zmieniają i cierpi na tym obiektywizm. Rzecz ludzka, bo cóż, dobry oskarżyciel zawsze nim pozostanie, i trudno oskarżać, a jednocześnie zachować neutralność. Być może jest to jakaś usterka w naszym kodeksie postępowania karnego, być może zwyczajnie prawo za dużo wymaga.

Dla Michalki prokurator wystąpił o dziewięć lat. Powiedział, że nie wierzy w prawdziwość opowiedzianej przez niego historii. „Zbyt mało wiarygodna, pewnie zmyślona”. Dodał, że nie zakłada też ograniczonej poczytalności, wywody psychiatry bowiem opierają się tylko na informacjach oskarżonego i nie są w żaden sposób udokumentowane. Faktem jest tylko, że Michalka dopuścił się napadu na bank.

- Najniższy ustawowy wymiar kary za taki napad wynosi pięć lat - powiedział prokurator. - Oskarżony popełnił taki sam czyn już drugi raz. Za okoliczności łagodzące można uznać jedynie to, że przyznał się do winy i że zabezpieczono łup. Dlatego stosowne do czynu i winy oskarżonego jest dziewięć lat.

Oczywiście nie może rozstrzygać to, czy informacjom oskarżonego ktoś wierzy. Przed sądem rozstrzygają dowody. Oskarżony jest tu w lepszej sytuacji, nie musi udowadniać niczego. Ani własnej niewinności, ani prawdziwości swoich zeznań. Prokuraturę i sąd obowiązują jednak inne zasady - nie wolno im twierdzić czegoś, czego nie można zarazem udowodnić. Brzmi to znacznie prościej, niż wygląda w praktyce. Nikt nie jest na tyle obiektywny, by zawsze odróżnił domysły od rzeczy dowiedzionych. Sądząc, że coś wiemy, gubimy drogę, a z powrotem znaleźć ją wcale niełatwo.

W naszych czasach dla procesu nie są decydujące mowy prokuratora ani



obrońcy. Nie zwracają się oni do przysięgłych, ale do sędziów i ławników. Nie do zniesienia jest fałszywy ton, rozdierający gest czy napuszone sformułowanie. Wielkie oracje na koniec należą do minionych wieków. Niemcy nie lubią już patosu, było go zwyczajnie za dużo.

Czasem jednak można sobie pozwolić na drobną inscenizację, niespodziewany ostatni wniosek. Sam Michalka się go nie domyślał.

Pomogła mi znajoma dyplomatka, będąca na placówce w Kenii. Okrężnymi drogami dotarła do zaprzyjaźnionego z Michalka lekarza, który mieszkał w stolicy prowincji i znał doskonale angielski. Zadzwoiłem do niego i poprosiłem, by złożył tutaj zeznanie. Wyśmiał moją propozycję, że pokryję koszty przelotu. Powiedział, jaki jest szczęśliwy, że jego przyjaciel żyje. Byle go tylko zobaczyć, poleci na koniec świata. A teraz stał pod drzwiami sali sądowej i czekał.

Ledwo ten świadek wszedł na salę, Michalka raptownie się obudził. Chcąc podbiec do lekarza, poderwał się, po twarzy płynęły mu łzy. Strażnicy powstrzymali go, ale przewodnicząca gestem kazała puścić oskarżonego. Obaj uścisnęli się na środku sali, Michalka podniósł i przytulił drobnego mężczyznę. Lekarz miał ze sobą kasetę wideo, posłano strażnika po magnetowid.

Wszyscy teraz obejrzeliby tę wioskę, kolejkę linową, ciężarówkę, dorosłych i dzieci, co ze śmiechem kiwają do kamery i wołają „Frroank, Frroank!”. A wreszcie zobaczyliśmy Ayane i Tiru. Michalka na zmianę śmiał się i płakał. Nie panował nad sobą. Siedział obok przyjaciela i wielkimi dłońmi omal mu nie zmiądzzył palców. Przewodnicząca i jedna z ławniczek miały łzy w oczach. Nie była to bynajmniej scena typowa dla sądu.

Nasze prawo karne opiera się na zasadzie winy. Według niej wymierzamy karę, pytając, w jakiej mierze możemy obarczyć danego człowieka odpowiedzialnością za jego postęпки. Skomplikowana sprawa. Łatwiejsza była w średniowieczu - karano tylko za czyn. Złodziejowi odrąbywano rękę, i to zawsze, obojętne, czy ukradł z chciwości, czy dlatego, że inaczej umarłby z głodu. Kary tworzyły wtedy rodzaj matematyki, każdy czyn podlegał ściśle ustalonym ich wymiarowi. Nasze współczesne prawo

karne lepiej oddaje sprawiedliwość życiu, jest mądrzejsze, ale zarazem trudniejsze. Obrabowanie banku to nie zawsze jego zwyczajne obrabowanie. Co takiego mogliśmy zarzucić Michalce? Czy nie postępował według czegoś, co tkwi w nas wszystkich? Czy my byśmy na jego miejscu zrobili co innego? Czy nie wszyscy ludzie tęsknią za tym, by wrócić do tych, których kochają?

Skazano go na trzy lata. Tydzień po zakończeniu procesu na jednym z długich korytarzy moabickiego sądu spotkałem przewodniczącą tamtego składu. Powiedziała, że ławniczki złożyły się dla Michalki na bilet lotniczy.

Po odbyciu połowy tej kary zwolniono go na okres próby. Przewodniczący izby wykonawczej, postać jak sędziwy Stechlin z powieści Fontanego, wysłuchał najpierw jeszcze raz całej historii.

- Niesssamowite - rzucił pod nosem, po czym zarządził zwolnienie.

Michalka, znowu teraz mieszkając w Etiopii, przyjął tamtejsze obywatelstwo. Tiru ma już siostrę i brata. Ich ojciec czasami do mnie dzwoni. Ciągle jeszcze twierdzi, że jest szczęśliwy.

*To nie jest jabłko.*

# Spis rzeczy

Strona tytułowa  
Wstęp  
Fähner  
Tanata i jego czarka  
Wiolonczela  
Jeż  
Szczęście  
Summertime  
Obrona konieczna  
Zielona  
Cierń  
Miłość  
Etiopczyk